

Richards Emilie

Poznaj moją mamę 01

Splątane ścieżki



ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Cholera, tu też nikogo nie ma. Musieli dostać cynk.

Farrell Riley kiwnął tylko głową. Próbował jak najdłużej wstrzymać oddech, bo obrzydliwie brudny dom cuchnął odpychająco. W stosach śmieci i odpadków zalegających podłogę wyżłobione zostały korytarze. Szczur, niezrażony hałasem wywołanym przez kilkunastu policjantów z brygady antynarkotykowej, ucztował niespełna pół metra od jego buta.

- Prysnęli dosłownie chwilę przed otoczeniem domu - ciągnął Cal.

Farrell domyślał się, że partner, podobnie jak on, czuje zniechęcenie. Od wielu dni prowadzono obserwację domu, starannie zaplanowano obławę. Harleton, małe miasto w Ohio, miało co prawda z narkotykami pewne problemy, ale ani

ich liczba, ani skala nie były jednak zbyt duże. Tym bardziej więc przegrana bitwa z handlarzami stała się powodem frustracji. Trzaskanie drzwiami i wściekłe okrzyki kolegów potwierdzały jego myśli.

- Chyba nie jesteśmy już potrzebni. - Farrell z obrzydzeniem odepchnął szczura butem. Gryzoń liczył chyba na jakiś smakowity kąsek. Farrella i Cala wezwano do pomocy w akcji, ale w obecnej sytuacji można było się spodziewać, że policjanci z wydziału do walki z narkotykami poradzą sobie sami.

- Pójdę się dowiedzieć. - Cal wsunął pistolet do kabury i zostawił partnera sam na sam ze szczurem.

Farrell rozejrzał się po pokoju, który od biedy można było nazwać sypialnią. W kącie straszył wyłażącymi wnętrzościami goły materac, na podłodze obok leżał zmiętoszony śpiwór. Błat zdezelowanej komody pokrywały niezliczone butelki i fiolki. Kuchnia służyła za prowizoryczne laboratorium, pokój natomiast najwidoczniej spełniał rolę magazynu. Pudła z chemikaliami stały w rogu pokoju. Cal, podczas pobieżnego przeszukania, znalazł je także w szafie.

Czemu ludzie skazują się na takie życie, zastanawiał się Farrell, przeczesując ręką niesforne" ciemne włosy. Dlaczego ileś tam osób świadomie zdecydowało się, żeby mieszkać, spać i jeść w ta-

kim piekleś Produkowali i sprzedawali zabójcze dla ciała i umysłu prochy, a w zamian mieli brud, szczury, na dodatek zaś, jak w tej chwili, gliniarzy, którzy przeczesywali i bebeszyli ich dom.

Farrell był niemal pedantem. Każdy przedmiot miał u niego swoje ustalone miejsce, dzięki czemu potrafił odnaleźć wszystko w mgnieniu oka. Bałagan go denerwował.

Zwariowałby, gdyby musiał zostać tu na noc. I chociaż nie zamierzał wcale porządkować tego śmietnika, zamknął przynajmniej drzwi od szafy, nim ruszył na poszukiwanie Cala.

- Nie!

Zatrzymał się w pół kroku. Czyżby wyobraźnia płatała mu figla i Miał wrażenie, że usłyszał krzyk dziecka. Jednak pokój był przecież pusty. Jedynym dźwiękiem, który tu docierał, były kroki policjantów w przyległym korytarzu. Głos mógł dochodzić tylko z szafy. Ponownie otworzył szeroko jej drzwi i oświetlił wnętrze latarką. Po chwili już wiedział, że jego partner jednak coś przegapił.

- Och, biedactwo! - Przykucnął na podłodze, by zajrzeć za stosy pudeł. Nad trzęsącymi się ustami i mokrym od łez noskiem zobaczył wpatrzoną w siebie parę intensywnie niebieskich, zapłakanych oczu.

Dziewczynka - tak przynajmniej podejrzewał,

sądząc z długości włosków - próbowała wcisnąć się głębiej.

- Nie wiedziałem, że tu siedzisz. Pewno cię okropnie wystraszyłem - starał się mówić łagodnie, ścisząc głos, żeby nie przerazić dziecka swoim dudniącym barytonem. Nawet nie mrugnęła. Nie spuszczała z niego wzroku, jakby oczekując, że za chwilę podniesie na nią pięść.

Coś mu drgnęło w sercu.

- Musi ci być smutno samej. - Przysiadł na podłodze, żeby dać dziewczynce do zrozumienia, że nie zamierza jej skrzywdzić. - Mnie na twoim miejscu byłoby bardzo przykro.

Usta jej zadrżały, z nosa kapało, ale nadal nie poruszyła nawet powieką.

- A poza tym strasznie bym zgłodniał - ciągnął. - Jesteś głodna

Nie kiwnęła głową, ale coś się zmieniło w wyrazie jej oczu.

Żałował, że nie ma przy sobie nic, czym mógłby małą poczęstować. Może przekonałby ją wtedy o swoich dobrych zamiarach. W wozie Cal trzymał paczkę herbatników, ale Farrell wiedział, że nie powinien zostawiać dziewczynki samej.

- Mam coś dla ciebie. Pójdiesz ze mną - uśmiechnął się z trudem. Tak dawno tego nie

robił, że kłopot sprawiło mu rozciągnięcie warg, a mięśnie policzków omal nie zaskrzypiały.

Nie spuszczała z niego wzroku, chłonąc wszystko od spokojnych szarych oczu po czubki wypolerowanych butów, nie poruszyła się jednak.

Nie wiadomo, które z nich zrobiłoby pierwszy ruch, gdyby o tym nie przesądziło zachowanie się szczura. Bezczelny gryzoń podszedł blisko, by sprawdzić, co się dzieje.

Dziecko spojrzało na niego i z okrzykiem przerażenia rzuciło się w stronę policjanta.

Złapał dziewczynkę niemal w locie. Ze szlochem wtuliła się w niego, wyrzucając z siebie niezrozumiałe słowa. Chudymi ramionkami objęła kurczowo szyję Farrella. Podniósł się i odrzucił szczura butem. Z dzieckiem przyklejonym do piersi poszedł złożyć raport o swoim znalezisku.

Dziewczynka była brudna i prawie naga. Chociaż wiosenny wieczór nie należał do ciepłych, a dom pozbawiony był ogrzewania, miała na sobie wyłącznie bawełniane majteczki. W mieszkaniu nie było nic, w co dałoby się ją ubrać, ale Cal wyciągnął z auta sportową bluzę, która zresztą sięgała małej do kostek.

Siedziała teraz w wozie patrolowym u Farrella na kolanach i skubała ciasteczko. Myślał, że pochłonie herbatnik jednym kęsem i z przykrością patrzył, jak je powolutku, jakby chciała, żeby

starczył na dłużej. Bała się widocznie, że znów wiele czasu upłynie, nim trafi się jej następny posiłek. Czekali z Calem na kogoś z dziecięcego pogotowia opiekuńczego. Rudowłosa, trochę już brzuchaty, mimo swoich dwudziestu czterech wiosen, partner Farrella stał obok samochodu.

- Jak myślisz, ile może mieć lat?-Farrell wzruszył ramionami.

- Nie znam się na dzieciach.

- Ja bym dał jej ze dwa. Mam siostrzeńców w tym wieku.

Zona Cala spodziewała się pierwszego dziecka. Farrell zdążył się zorientować, że jego partnera ciekawiło wszystko, co dotyczyło życia rodzinnego.

- Ale ci jej rówieśnicy to z pewnością szczęśliwe i dobrze odżywione dzieci, *coż*

- Taak... - Calowi załamał się głos, więc zaczął jeszcze raz: - Czasem żałuję, że tylko egzekwujemy prawo, zamiast je ustanawiać.

- Po to chodzimy do urn wyborczych - bez przekonania odparł Farrell. Z jego głosu przebijała złość na system, który nie chronił wystarczająco cierpiących dzieci.

- Taa... Ja w każdym razie nie głosowałem za prawem, które pozwala rodzicom krzywdzić własne dzieci.

Farrell zgromił partnera wzrokiem. Dziew-

czynka była malutka, ale trudno powiedzieć, co jest w stanie zrozumieć z rozmowy dorosłych.

- Dziś w każdym razie będzie miała opiekę. To już coś.

- Właśnie: zaledwie coś.

Do samochodu podszedł potężny oficer w kamizelce kuloodpornej. Sierżant Archie Weathers-tone służył w policji od dwudziestu lat i widział już niejedno, również nieudane obławy na handlarzy narkotyków. Dziś jednak nawet Archiem wstrząsnął widok dziewczynki.

- Mam złą nowinę.

- A miewasz kiedykolwiek dobrej - zakpił Cal.

- Ludzie z pogotowia opiekuńczego nie dotrą wcześniej niż za godzinę.

- To co robimy?- Zabieramy ją na posterunek? - Farrell rzucił okiem na dziecko. Nie miał najmniejszego zamiaru narażać jej na kolejne przykre przeżycia. - Nie podoba mi się to.

- Nie ma potrzeby. Dali mi adres domu, gdzie można dziecko zostawić na noc. Możesz sam ją tam zawieźć. Jak tylko pogotowie będzie miało wolnych pracowników, pojedą tam po nią.

- Dorni

- No tak. Zawiadomili już o twoim przyjeździe kobietę, która tam mieszka.

- Dom z łóżkiem?- Jedzeniem?

- W każdym razie nie ma krat w oknach ani nie

trzymają tam młodocianych przestępców. Zwykły dom.

Farrell poczuł, że supeł w jego żołądku zaczął się trochę rozluźniać.

- Dobra, jedziemy.

- Myślisz, że uda ci się uwolnić od niej na chwilę, żeby przypiąć ją pasami[^]

Spróbował zdjąć dziecko z kolan, ale dziewczynka natychmiast zeszywniała, a jej usteczka zaczęły niepokojąco drżeć.

- Takie są przepisy - przypomniał Archie.

- Jak to daleko £

- Galeon.

Jakieś piętnaście minut drogi od Keller Avenue. Wiedział, że to dzielnica willowa, najbardziej chyba znana z tego, że większość znajdujących się tam starych domów gwałtownie domagała się remontu.

Farrell otoczył dziewczynkę ramionami.

- Mówisz, Galeon?- Możemy pojechać bocznymi ulicami.

- Rób, jak uważasz. Ja tam cię nie zaaresztuję. - Archie podał mu adres i odszedł.

- Będę jechał ostrożnie - obiecał Cal. - Wiesz, do twarzy ci z tym dzieciakiem.

Farrell okrył stopy dziewczynki skrajem bluzy.

- No, to rób zdjęcie. Masz ostatnią szansę, więcej ci się taka okazja nie trafi.

- Eee tam. Przecież prosiliśmy cię z Sheilą na ojca chrzestnego. Zapomniałeś?
Farrell poprawił się na siedzeniu. W objęciach nadal trzymał dziecko, które coraz bardziej zasypywało okruszkami herbatników jego idealnie odprasowane spodnie.

- Dobra, ruszajmy.

Gemma Hancock po raz trzeci sprawdziła, czy wszystko w porządku. Dziecko. Wreszcie przywiozą jej dziecko. Uśmiechnęła się z trudem. Skoro przywożono je w środku nocy, musiało przeżyć tragedię. Zal jej było wszystkich opuszczonych maleństw. W idealnym świecie nie potrzebne byłyby domy dziecka i rodziny zastępcze. Ale chociaż naprawdę pragnęła, żeby nadszedł dzień, kiedy jej praca stanie się zbędna, cieszyła się, że w tej chwili będzie mogła ofiarować temu dziecku dom, miłość i zdrowe podejście do życia. Dziecko. Mała dziewczynka.

Gdy rozległ się dzwonek telefonu, omal nie zrzuciła aparatu na podłogę.

- Halo!

Marge Tremaine, pracownica pogotowia opiekuńczego, która wcześniej już pytała, czy Gemma jest przygotowana na przyjęcie porzuconego dziecka, dzwoniła teraz z informacją o kłopotach grupy interwencyjnej. Gemmę zdziwiło zdenerwowanie

Marge. Zwykle pracownicy opieki społecznej o tak długim stażu potrafili panować nad emocjami. Nadwrażliwcy po prostu rezygnowali z pracy po pierwszym samodzielnym zadaniu.

Na podjeździe zabłyśły światła samochodu.

- Zorientuję się w sytuacji. Jeśli uznam, że potrzebna mi pomoc, dam ci znać. - Odwieszała słuchawkę, gdy rozległ się dzwonek.

Ruszyła do drzwi, obciągając po drodze sweter. Żałowała, że nie zdążyła przyczesać włosów.

W progu stanął wysoki, szczupły policjant. Przez głowę przeleciała jej myśl, że jego włosy są koloru czekolady, a twarz ma surowe rysy, jakie na starych rycinach nadawano świętym.

- Pani Gemma Hancock^

Uśmiechnęła się w odpowiedzi, ale spojrzenie skierowała na zawiniątko, które trzymał na ręku. Dziewczynka spała, jednak widocznie wyczuła wzrok obcej osoby, bo po sekundzie podniosła powieki.

Serce Gemmy waliło jak młotem.

- Witaj - zwróciła się do dziewczynki. - Wygodnie ci, prawda-

Małeńka zaczęła cicho płakać. Wielkie łzy toczyły się po jej brudnych policzkach.

- Chociaż na pewno bardzo smutno - dodała Gemma współczująco. Nadal jednak starała się uśmiechać, choć serce się jej krajało.

- Od momentu gdy ją znalazłem, nie odezwała się ani słowem - poinformował ją policjant.

- Chociaż nie, to niezupełnie tak... - dodał, jakby szczególnie mu zależało na dokładnym opisie sytuacji. - Mówiła coś, ale nic nie zrozumiałem.

Gemma kiwnęła głową. Podniosła wzrok na mężczyznę, który trzymał dziecko. Był wyższy od niej co najmniej o pół głowy. Pomyślała, że po raz pierwszy widzi tak atrakcyjnego faceta.

- Najwyraźniej podoba jej się u pana na rękę, ale w końcu będę musiała ją wziąć - powiedziała.

- Czy ktoś tu z panią jest? Bo gdyby pojawiły się jakieś problemy...

Rozumiała, skąd to pytanie. Zdawała sobie sprawę, że jej wygląd nie budzi zaufania. Była kobietą drobnokościstą i na pierwszy rzut oka wyglądała jak istota bardzo krucha. Wielkie bladozielone oczy pogłębiały wrażenie, że ich właścicielka nie jest zbyt pewna siebie i czuje się trochę zagubiona. Jasne, sięgające ramion włosy przypominały czuprynę uczennicy, która zapomniała zapleść warkocz.

- Dam sobie radę - zapewniła go. - Przeszłam odpowiednie szkolenie.

Zawahał się, w końcu jednak wyciągnął ku niej rękę. Dziewczynka zaprotestowała gwałtownym krzykiem. Gemma wytrzymała sceptyczne spojrzenie policjanta, gdy niepewnie podawał jej dziec-

ko. Teraz pospiesznie cofnął ramiona, jakby podejrzewając, że Gemma pożre małą na kolację.

- Nie! - Dziecko z krzykiem przylgnęło do Farrella.

- No, przynajmniej zna jedno słowo - odezwała się Gemma.

- Nie spodobała jej się pani.

Nie była na niego zła. Pewno miał własne dzieci. Musiał być wyjątkowym ojcem.

- Panie...

- Riley - przedstawił się. Poprawił wtulone w siebie dziecko.

- A jak nazywa się dziewczynka?

- Tego na razie nikt nie wie.

- Tu nie chodzi o to, że się jej nie spodobałam - wyjaśniła spokojnie. - Po prostu przy panu czuje się bezpieczna.

- Nie znam się na dzieciach.

Jej zdaniem wiedział o nich znacznie więcej, niż sądził.

- To pan ją znalazła Przytaknął niechętnie.

- W takim razie uznała pana za swojego wybawcę. - Odgarnęła kosmyki brązowych włosów z brudnego czoła dziecka. Dziewczynka wzdrygnęła się.

- Co pani zamierza zrobić?

- Problem w tym, co pan zrobi. Jeśli bardzo się

pan spieszy, wezmę ją po prostu i już. Ale lepiej byłoby, gdyby pomógł mi pan ją uspokoić.

- Tobie też by to dobrze zrobiło, dodała w duchu, myśląc

0 Farrellu.

- Chyba mogę zostać.

Powstrzymała uśmiech. W głębi duszy była pewna, że wcale nie zamierzał odejść, póki nie upewni się, że z małą jest wszystko w porządku.

Do drzwi zbliżył się partner Riley'a. Z uznaniem uśmiechnął się do Gemmy.

- Jest pani adoptowanym dzieckiem czy zastępczą mamą?

Odpowiedziała mu przyjaznym uśmiechem.

- Przekazywanie dziecka trochę potrwa. Może tymczasem napije się pan kawy?

Policjant klepnął Riley'a w ramię.

- Muszę jeszcze wpaść na posterunek.

- Oczywiście, jedź. Wpadnij po mnie w drodze do domu.

Cal kiwnął głową na pożegnanie i ruszył w stronę auta.

- Proszę wejść. - Gemma odsunęła się z przejścia. - W salonie mam fotel bujany.

Spróbujmy, może ułatwi nam zadanie.

- Nie obudzimy pani męża czy dzieci?

- Nie, mieszkam sama. - Celowo nie dodała, że to pierwsze dziecko, którym ma się zaopiekować. I bez tego wydawał się mocno zdenerwowany

losami maleństwa. Widziała, że ukradkiem rozgląda się wokół. Wprowadziła się tu rok po śmierci męża. Czekają ją jeszcze mnóstwo pracy, żeby doprowadzić do idealnego stanu zbudowany w stylu kolonialnym dom, ale i tak była z siebie dumna, bo dużo już zrobiła. Natychmiast po przeprowadzce zdarła wytartą pomarańczową wykładzinę dywanową, wycyklinowała i pokryła lakierem piękną dębową podłogę. Ze ścian zdarła cztery warstwy tapet, po czym pomalowała je specjalną, odporną na zabrudzenia farbą, przeznaczoną do dziecięcych pokoi. Umeblowała dom sprzętami wygrzebanymi na strychu i zdobywanymi na wyprzedażach, ale efekt był znakomity. Udało jej się stworzyć ciepłą, rodzinną atmosferę. A teraz wydawało się, że nie ma nic ważniejszego niż dziecko, które mogłoby wprowadzić tu trochę bałaganu. Mieszkanie było urządzone z myślą o dzieciach i choć żyła tu dopiero od roku, postarała się, by stało się już najprawdziwszym, przytulnym domem.

Usadziła policjanta z jego zawiniątkiem w starym wiklinowym bujanym fotelu, który kiedyś na pewno stanowił ozdobę czyjegoś ganku. Fotel był teraz pomalowany na biało, a na siedzeniu leżała poduszka w czerwono-niebieską kratkę. Stał przy oknie, by siedzący mógł patrzeć na ulicę, kołysząc jakieś maleństwo do snu.

Inspektor Riley wyglądał absurdalnie na tle

delikatnego mebla. Patrząc na niego, Gemma żałowała, że ozdobiła fotel, wplatając w oparcie czerwone i niebieskie wstążki. Trudno było ukryć uśmiech, gdy potężnie zbudowany, wielki gliniarz w surowym czarnym mundurze siadł wśród frymuśnych kolorowych kokardek.

- Przygotowałam jedzenie dla małej - odezwała się Gemma.

- Dałam jej kilka herbatników.

- I co?- Nie zwróciła ich?

Po minie policjanta poznała, że takiej możliwości nie przewidział.

- No nie...

- To już coś. - Z kuchni przyniosła talerz z krakersami, serem i winogronami oraz szklanek mleka. Ustawiła to wszystko na stoliczku, z kanapy wzięła koc, którym delikatnie okryła dziecko ułożone na kolanach Riley'a.

Jej twarz przez moment znalazła się zaledwie kilka centymetrów od twarzy mężczyzny.

Czuła, że i on to zauważył, choć nawet nie drgnął.

- Była tylko w majteczkach - wyjaśnił strój dziecka. - Mój partner pożyczył jej bluzę.

Badawcze spojrzenie jego ciemnoszarych, niemal czarnych oczu mówiło wiele o właścicielu.

- Dopilnuję, żeby dostał swą własność z powrotem. Poszukam czegoś odpowiedniego, kiedy już ją wykąpię.

- Będzie ją pani dziś kąpać?-

- Zobaczą, jak na to zareaguje. Postaram się odczytywać prawidłowo wszystkie sygnały. Miała wrażenie, że się odprężył.

- To dobrze. - Zwrócił się do dziewczynki: - Jesteś jeszcze głodna? Ta miła pani przygotowała ci bardzo smaczne rzeczy.

- Może do mnie mówić po imieniu. - Gemma ukucnęła przy fotelu i podała dziewczynce krakersa. Mała przyjrzała mu się uważnie, po czym ostrożnie wyjęła go z ręki Gemmy.

- Je powolutku, jakby nie była pewna, kiedy znów coś dostanie.

- Tu nie zabraknie jej jedzenia. Ale na pewno nic nie będzie tak smakować, jak herbatniczek od jej bohatera, inspektora Rileya.

Podniosła się na nogi i zamierzała odsunąć od fotela, gdy mężczyzna dotknął jej dłoni.

Właściwie nie wierzyła w bzdury o jakimś tam iskrzeniu między kobietami i mężczyznami. Nigdy tego nie doświadczyła, mimo że dopóki jej małżeństwo nie zaczęło się psuć, miała całkiem satysfakcjonujące życie seksualne. Teraz jednak, pod wpływem dotyku Rileya doznała dziwnego uczucia niepokoju, została w niej poruszona jakaś struna. Po śmierci Jimmy'ego wyrzekła się mężczyzn i nigdy nie żałowała swojej decyzji. Dopiero w tej

chwili zaczęła się zastanawiać, czy nadal łatwo będzie dotrzymać danego sobie słowa.

- Na imię mam Farrell.

- Farrell Riley. Glina z powołania?-Skrzywił natychmiast usta w drwiącym, niewesołym uśmiechu.

- Nic z tych rzeczy.

Miała ochotę dowiedzieć się więcej, ale zdawała sobie sprawę, że przede wszystkim powinna trzymać się od niego jak najdalej. Ten mężczyzna o stalowoszarych oczach i surowych, jakby wykutych w kamieniu rysach był jedną wHką płataniną problemów. Nie było jej to do niczego potrzebne. Nie chciała ani mężczyzny, ani dodatkowych komplikacji.

Jedyne czego pragnęła, to kontaktu z dzieckiem, które trzymał na kolanach. I także tego oczywiście, żeby w przyszłości w jej życiu pojawiło się więcej dzieci.

- Zostawię was teraz. - Zrobiła krok do tyłu, potem jeszcze jeden, skrzyżowała ręce na pierśsiach. - Wrócę za kilka minut.

- Na pewno nas tu pani zastanie. Przeszła do kuchni o słonecznych, żółtych ścianach i podłodze z czerwonej terakoty. Oparta o szafkę zastanawiała się, jakim cudem Farrell Riley obudził w niej pragnienia, o których dawno temu zapomniała.

ROZDZIAŁ DRUGI

Farrell zaczynał dzień od kawy. Siadał przy kuchennym stole, z gazetą w dłoniach, czytał nagłówki, kolumnę sportową i komiks. Nie był niewolnikiem swoich przyzwyczajzeń, ale ten poranny rytuał sprawiał mu przyjemność. Lubił dobrą kolumbijską kawę, słoneczne plamy na ścianach i podłodze, dobiegające z ogrodu głosy bawiących się dzieci z sąsiedztwa. Lubił swoje mieszkanie, gdzie nie musiał liczyć się z nikim. No; może poza właścicielem domu.

Tego dnia jednak gazeta pozostała na ganku, a puszka z kawą stała na półce. Naciągnął tylko sweter, nogi wsunął w buty i ruszył do drzwi, łapiąc po drodze kluczyki do auta. Mógł przewidzieć, że popełnia błąd, podając swój numer Gemmie Hancock. Wczoraj wieczorem ukołysał porzuconą dziewczynkę do snu,

ułożył ją w ciepłym, czystym *łóżeczku*, które stało w wesołym różowym pokoiku i na tym jego rola powinna się skończyć. Dziecko było w dobrych rękach. Trudno przecież o bardziej sympatyczną i kompetentną opiekunkę. Podejrzywał, że kto inny po prostu wyrwałby małą z jego ramion i czym prędzej wyszorował... Gemmę bardziej niż brudne ciało, interesowały uczucia dziecka.

Gemma Hancock.

Włączył silnik i ostrożnie wycofał samochód. Ta kobieta zaskoczyła go. W pierwszej chwili miał wrażenie, że wystarczy raz mocniej westchnąć, a jej drobna figurka rozsypie się. Wyglądała tak krucho i delikatnie. Przywodziła na myśl niezaradne kobietki, które mężczyźni przez całe życie pragną chronić przed okrutną rzeczywistością.

A jednak nie była wcale taka krucho ani tym bardziej roztrzepana i chyba dobrze znała się na dzieciakach. Nie wiedziała tylko, że Farrell Riley nie zamierza się w nic angażować. Gdyby zdawała sobie z tego sprawę, na pewno nie telefonowałyby do niego. A jednak to zrobiła.

Usłyszał dzwonek, kiedy wychodził spod prysznic. Poszedł do sypialni, zostawiając mokre ślady na dywanie.

- Pan Riley

Natychmiast rozpoznał jej spokojny głos, który

musiał kojąco działać na każde nieszczęśliwe dziecko.

- Pani Hancock

- Gemma. Nasza mała nie chce się uspokoić. Nie mam pojęcia, czy to pomoże, ale gdyby zechciał pan dzisiaj wpaść do nas, na pewno byłaby uszczęśliwiona.

„Nasza mała”. Właściwie miał ochotę od razu odłożyć słuchawkę. Czy rzeczywiście chciał wiedzieć, co się dzieje z dzieckiem? Albo wracać do tego domu z wesołymi ścianami o ciepłych kolorach i wypolerowaną podłogą, do kuchni z niebieskimi szafkami i słoneczną, żółtą tapetą?-

Cisza przedłużała się.

- Och, przepraszam - Gemma była wyraźnie skruszona. - Ma pan pewno wystarczająco dużo zajęć z własną rodziną. Tylko że...

Sam nie wiedział, czemu od razu uznał za stosowne wyjaśnić.

- Nie, nie mam. Przyjadę za chwilę, muszę się tylko ubrać.

Usłyszał, jak głośno nabiera powietrza.

- Na pewno nie ma pan nic przeciwko temu?-

- Na pewno.

- No, to czekamy na pana.

Zaparkował samochód przed starym, pokrytym gontem domem, z szeroką werandą i wielkanocnym stroikiem na drzwiach wejściowych.

Zastanawiał się, w co się właściwie wdaje. Nie potrafił postępować ani z dziećmi, ani z kobietami, którym instynkt macierzyński kazał opiekować się cudzym potomstwem. Jednak chociaż powtarzał sobie, że to wszystko nie ma sensu, doskonale wiedział, czemu przyjechał tu ponownie. Po prostu nie umiał trzymać się z daleka.

Nim zdążył zapukać, usłyszał marudzenie dziecka. Ledwo dotknął drzwi, a natychmiast stanęła w nich Gemma z krzyczącym maluchem na biodrze.

- Najwyraźniej nie lubi się kąpać - uśmiechnęła się na powitanie. Miała piękny, cierpliwy uśmiech Madonny, która wie, że świat musi funkcjonować tak, jak został skonstruowany przez Stwórcę.

- Myślę, że nie miała wielu okazji, żeby się przyzwycząić.

Na dźwięk jego głosu dziewczynka uniosła głowę z ramienia Gemmy. Serce mu drgnęło, gdy dostrzegł, że natychmiast przestała płakać.

- Cześć, słoneczko.

Przechyliła się w jego stronę, a Farrell wyciągnął do niej rękę.

- Pozwoli pani?

- No jasne. Poza dziesięćmioma minutami w wannie od czterech godzin siedzi przyklejona do mojego biodra.

- I płacze tak od przebudzenia?

- Nie, podczas śniadania nawet się zaprzyjaźniłyśmy. Ale za kąpiel zostałam ukarana. Przyjrzał się dziecku. Świeżo umyte brązowe włoski, spięte różowymi spineczkami, odsłaniały wymizerowaną twarzyczkę, tak bladą, jakby mała nigdy nie wychodziła na słońce. Czarne sińce pod oczami wyglądały na dziecięcej buzi bardzo nienaturalnie, wręcz przerażająco.

- Zmyła z niej pani miesięczne pokłady brudu. Przez twarz Gemmy przemknął cień.

- Prawie żałuję, że to zrobiłam. - Widząc jego zdziwione spojrzenie, wyjaśniła: - Ma kilka paskudnych siniaków.

Wściekłość, która w nim buzowała od momentu odkrycia dziecka w szafie, groziła wybuchem. Nerwowo przełknął ślinę. Dziewczynka, ciągle pochlipując, oparła główkę o jego ramię.

- Dziś po południu umówiona jestem z pediatrą. - Gemma odsunęła się, wpuszczając go do środka.

Poszedł za nią do kuchni. Dom pachniał cynamonem i drożdżami, a gdy zbliżyli się do drzwi kuchni, doszedł do tego zapach kawy. Farrellowi ślinka nabiegła do ust, a w brzuchu mu głośno zaburczało.

Gemma zatrzymała się przy kuchence i gestem zaprosiła Farrella, by usiadł przy stole.

- Wstałyśmy dziś bardzo wcześnie, postanowiłam więc upiec bułeczki cynamonowe.

Nasza

mała przyjaciółka bardzo mi pomogła. Chyba nikt nie potrafiłby tak energicznie potrząsać pojemnikiem z cynamonem.

„Nasza mała przyjaciółka”. Farrell usadowił małą na kolanach. Wczepiła paluszki w jego sweter z niepokojącą zaborczością. Można się było spodziewać, że prędzej spruje się ścieg dzianiny, niż osłabnie uchwyt malej.

- Jaką kawę pan lubi - spytała Gemma. Farrell podniósł wzrok. Stała przed nim w zielonej jak jej oczy sukience, w ręku trzymała talerz z pachnącymi bułeczkami.

W tej chwili mógł tylko myśleć o tym, jakie lubi kobiety. Na pewno nie ciepłe, delikatne i nieskończenie kobiece. Wolał, gdy były niezależne, bezproblemowe, gotowe odejść bez zbędnych słów. Nie zachęcał ich nigdy do dłuższych związków. Umawiał się, bywało że spotykał się z którąś na tyle długo, że szli do łóżka. Jednak zawsze był ostrożny i wybierał kobiety, które nie pragnęły czegoś więcej, które z sobie tylko znanych powodów nie marzyły o stałych związkach i nienawidziły komplikacji. Ta kobieta natomiast była jednym wielkim problemem.

- A może woli pan soki- Albo herbatę? - Zmarszczyła czoło. - Nie, pan na pewno nie lubi herbaty. Niemożliwe: glina i herbata - zaśmiała się wesoło.

- Piję czarną kawę.

- To świetnie.

Przyglądał się, jak szuka odpowiedniego kubka i nalewa kawy aż po brzeg. Nie chciał patrzeć, jak się porusza, jakby tańczyła w takt niesłyszalnej dla innych muzyki.

Nie robiła zbędnych ruchów. Postawiła kubek na tyle daleko, żeby dziecko nie mogło sięgnąć, wreszcie sama usiadła po przeciwnej stronie. Na blacie okrągłego dębowego stołu leżały kolorowe plastikowe serwetki w kształcie owoców. Jego kubek stał na jabłku, jej na pomarańczy. Do połowy opróżniona miseczka płatków śniadaniowych z dziecięcą łyżeczką ustawiona była na bananie.

- Mam nadzieję, że dowiemy się w końcu, jak jej na imię. - Gemma z nieświadomym wdziękiem upiła łyk kawy.

- Czy w ogóle coś dziś powiedziałaś Gemma spojrzała na dziewczynkę.

- Nie, ale rozumie wszystko, co się do niej mówi. Prawda, serduszko?- Powiedziałam, że tak będę ją nazywać, bo jej włoski mają taki właśnie kolor, jak miodowe serduszka.

- Wątpię, czy wie, co to jest miód.

- Teraz już tak. Pokazałam jej i natychmiast zanurzyła paluszki w słoiku. Miała zajęcie na dobrą chwilę.

- A jak spała?
- Z przerwami.
- Zajmę się tą sprawą.

Gemma nie musiała prosić o wyjaśnienie. Doskonale wiedziała, że mowa o odszukaniu rodziców dziecka.

- No więc... - uśmiechnęła się. - Inspektorze Riley... - Zastanowiła się przez moment. - Farrell - podjęła wreszcie decyzję, żeby zwracać się do niego po imieniu. - Czy często ci się to zdarzać

- Co takiego?

- Udzielanie pomocy i porad w cudzych kuchniach Wiesz, jak zaradzić kłopotom.

- Czyżbym to właśnie robił?

- Bardzo doceniam to, że przyjechałeś, a mała jeszcze bardziej.

- Jak sobie dajesz radę ze wszystkim, kiedy masz całą gromadę takich biednych dzieciaków?- Nie wiem. To pierwsze dziecko, które mi przysłano.

Przez moment wydawało się, że nie zrozumiał.

- Pierwsze... Oczy jej błyszczały.

- Właśnie. W zeszłym tygodniu skończyłam szkolenie. Sam widzisz, jak bardzo w naszym hrabstwie brak odpowiednich domów.

- To znaczy, że nigdy dotąd... Przerwała mu z uśmiechem.

- Nie denerwuj się, uczyłam się tego całe życie. Mam dyplom z pedagogiki, a poza tym przez trzy lata pracowałam w przedszkolu, zanim... - urwała gwałtownie.

Nie miał zwyczaju naciskać, a jednak teraz to zrobił.

- Zanimś

Jej uśmiech zgasł.

- Nim zmarł mój mąż. Odchyliła się na krześle.

- Pracowałam z dziećmi ze średnio zamożnych domów. Prosto po zajęciach jechały na lekcje muzyki, rytmiki i gimnastyki. Regularnie co sześć miesięcy chodziły na wizyty kontrolne do pediatry i dentysty, nosiły markowe ubrania z dopasowanymi kolorystycznie wstążkami i czapkami. Dzięki stworzonym im warunkom wszystkie były świetnie rozwinięte. Umiały już płynnie czytać i to nie ja im, lecz one mnie czytały bajki. Marzyłam o trudniejszym zadaniu. Stąd ta praca.

- Skoro szukałaś wyzwań, rzeczywiście wybrałaś odpowiednie zajęcie.

- Zdaję sobie z tego sprawę.

Buleczka cynamonowa wprost rozpływała się w ustach. Oderwał mały kęs i trzymał przed sobą. Po chwili dziewczynka wyjęła Farrelowi bułkę z ręki i powtórzyła czynność, którą zapamiętał

z wczorajszego wieczoru. Zaczęła skubać ciasto, jak poprzednio herbatnik.

- Powinna szybko przybrać na wadze - zauważyła Gemma. - Dopisuje jej apetyt.

Co ja tu robię, zastanawiał się Farrell. W tej przytulnej kuchni, z dzieckiem w różowej piżamce na kolanach, z kobietą, której uśmiech był tak ciepły, jak słońce oświetlające stół. Kobieta, która była kwintesencją kobiecości.

- Zresztą tobie też - dodała.

W pierwszej chwili nie zrozumiał, o co jej chodzi. Kiedy jednak spojrzął na stół, uświadomił sobie, że bułeczki z talerza znikły, a kubek był pusty. Nie pamiętał, żeby kiedykolwiek jadł takie pyszności. Uśmiechnął się szeroko.

Gemma uśmiechnęła się w odpowiedzi. Odniosła talerz do zlewu, a kubek ponownie napełniła kawą.

- Nie powinnam cię prosić o przyjazd. W twojej pracy konieczny jest pełny relaks w wolnym czasie. Nie dzwoniłabym, gdyby...

- W porządku. Przecież chodziło o małą. Stawiając przed nim kubek, delikatnie otarła się o jego rękę. Wciągnął głęboko powietrze, wdychając zapach parującej kawy i czegoś nowego, słodkiego i kobiecego, co przywiodło mu na myśl bez. Pamiętał, że zeszłej nocy, gdy dotknął jej dłoni, poczuł tę samą tęsknotę. Teraz również, tak jak

wczoraj, zeszywniał, próbując stłumić to niepokojące uczucie.

- Za kilka minut będę musiał się zbierać.

- Jasne.

Znów podniósł kubek, choć jeszcze przed chwilą wydawało mu się, że nie ma na to ochoty.

- Wiesz, jak długo mała zostanie u ciebie. Czy przeniosą ją, jak zwolni się gdzieś miejsce?

- Nie, zostanie tutaj.

A więc dziecko będzie mieszkało u Gemmy, gdzie w ciągu ostatnich dwunastu godzin miało lepszą opiekę niż przez całe dotychczasowe życie. Zostanie tu, póki policja nie odzuka jej rodziców, lub też póki sąd nie pozbawi ich praw rodzicielskich i mała nie zostanie skierowana do adopcji. Taka sprawa może ciągnąć się latami.

Zdawał sobie sprawę, że wszystkie te rozwiązania są niewłaściwe; najlepszym byłby pobyt u Gemmy.

- Będzie tu szczęśliwa, gdy się przyzwyczai.

- Chcesz zobaczyć ogród? - Z wyrazu twarzy Gemmy łatwo dało się wyczytać, że sama jest zaskoczona tym pytaniem. - To głupie, ale jestem z niego bardzo dumna.

- Lubisz ogrodnictwo?

- Nieszczerze. Weź kawę i chodź. Zobaczymy, czy nasza przyjaciółka pójdzie z nami na własnych nóżkach.

„Nasza przyjaciółka". Postawił dziewczynkę na podłodze i choć się skrzywiła, wcale nie wyglądała na bardzo zaniepokojoną. Kiedy wyciągnął rękę, wsunęła swoją łapkę w jego dłoń i podreptała do kuchennych drzwi.

- Właśnie ze względu na ogród kupiłam ten dom. Jest ogromny. Najwyraźniej poprzedni właściciele nie wychodzili w ogóle na zewnątrz, bo wyrosła tu prawdziwa dżungla. Musiałam wzywać ogrodnika, żeby zrobił z tym porządek. Powiedz, co o tym myślisz. Miał wrażenie, że znalazł się w dziecięcym rajku. Stał obok Gemmy z dziewczynką uczeponą jego ręki i rozglądał się w oszołomieniu po bajkowym terenie. Z grubego konara płaczącej wierzby, rosnącej przy wysokim drewnianym płocie, zwisała huśtawka zrobiona z opony. Obok stał zestaw drewnianych drabinek z równoważnią, słupkami do wspinania i siecią z lin, która rozpostarta była nad kadłubem statku. W pobliżu tarasu ustawiono drewniany domek z oknami na takim poziomie, żeby dziecko mogło wyglądać bezpiecznie na zewnątrz. Prawie przy samych schodkach do domu usytuowano piaskownicę, w której mogło się swobodnie bawić czworo, a nawet pięcioro dzieci. Po drugiej stronie stał duży stół i zestaw do grillowania. Pod płotem rosła obsypana kwiatami

forsycja, trochę dalej jabłotka. Wszędzie biegły wysypane ceglanym żwirem ścieżki, a grządki kwiatowe, przygotowane już pod siew letnich roślin, otaczały domek do zabawy i drewniany taras.

- Domek i taras zbudował jeden z moich szwagrów - powiedziała z dumą. - Drugi zmontował statek i drabinki. To wspaniali, życzliwi chłopcy.

Nie wątpił, że musieli uwielbiać swoją niesamowitą szwagierkę z niewinną buzią i miękkimi jasnymi włosami, zawijającymi się na ramionach. Pewno nawet nie musiała ich prosić.

Podniosła wzrok.

- Chciałam ci to pokazać, żebyś wiedział...

- Żebyś wiedział, że dziecko jest w dobrych rękach ?

- Właśnie.

- Ani przez chwilę w to nie wątpiłem.

- Wczoraj chyba tak.

Jego głos zabrzmiał dość nieprzyjemnie, zgrzytliwie:

- Słuchaj, moje zdanie nie ma żadnego znaczenia. Jestem tylko gliną - dodał łagodniej - który ją tu dostarczył. Ale cieszę się, że trafiła właśnie do ciebie.

Nie zamierzał mówić tak ostro, jednak świadomość jej bliskości, a także małej łapki ufnie wsuniętej w jego dłoń pozbawiała go tchu. Obie

brały go za innego człowieka, obie myślały, że go to wszystko obchodzi.

I chyba miały trochę racji.

- No dobrze. Pewno musisz już wracać.

- Gemma położyła dłoń na ręce dziewczynki. Patrzył, jak małe paluszki splatają się z palcami kobiety.

Będzie jej tu dobrze, pomyślał. Nie jestem jej już potrzebny. Zaskoczyło go, że nie poczuł ulgi.

- Rzeczywiście, już się zbieram.

- Dziękuję, że przyjechałeś. Naprawdę bardzo mi pomogłeś.

Przykucnął, aby pożegnać się z dzieckiem.

- Muszę już iść, kochanie. Bądź grzeczna. Zmarszczyła czołko, jakby miała się rozpłakać.

Podniósł się, nim w jej oczach pojawiły się łzy.

- Mam nadzieję, że wizyta u lekarza nie przyniesie żadnych niespodzianek.

- Chcesz znać wyniki?-

Był już poza tą sprawą. Skończył z nimi. Jeśli go jeszcze jakoś z tym powiążą, to tylko w celu odnalezienia skurczybyka, który porzucił dziecko. Lecz co miał jej odpowiedzieć?-

Ze nie interesuje go stan dziecka? Miał wiele wad, ale nie był kłamcą.

- Oczywiście. - W jej oczach dostrzegł pytanie, którego przez delikatność nie zadała głośno.

- Zadzwonisz?

- Z przyjemnością. Obiecuję, że tym razem nie tak wcześnie.
- Możesz dzwonić o każdej porze. - Odwrócił się, niemal od razu żałując słów, które mu się wyrwały. Tylko, czy gdyby mógł, rzeczywiście chciałby je cofnąć?

ROZDZIAŁ TRZECI

Pokój na posterunku policji w Harleton wyglądał jak magazyn rupieci: dużo stłoczonych metalowych biurków i mnóstwo wiecznie dzwoniących telefonów. Farrell siedział przy jednym z takich gratów nad stosem papierów, który mimo jego starań zdawał się nieustannie rosnąć. Zwykle radził sobie z wypełnianiem formularzy z trzema kopiami lepiej niż którykolwiek z kolegów, świetnie też rozumiał, jak ważne jest prowadzenie starannej dokumentacji. Dziś jednak cała ta robota wydała mu się potworną stratą czasu. Bardziej niż szczegóły odnalezienia dziewczynki w szafie potrzebne było odszukanie rodziców małej.

- Masz chwilkę? - Przy biurku stanął Archie z teczką dokumentów w ręku.
- Coś odkryłeś?

- Posłałem wczoraj Brach'ego i Scalona, żeby przepytali sąsiadów. Większość z nich nie chce gadać.

Nie zaskoczyło go to. Ludzie bali się o siebie i swoje rodziny.

- A dowiedzieli się czegoś o tej małej?

- Starsza kobieta, która mieszka obok, twierdzi, że dziecko ma na imię Mary. Mówi, że matka dziecka często tam przychodziła, a któregoś dnia złapała tę sąsiadkę i prawie siłą zmusiła do zaopiekowania się dzieckiem. Starsza pani bała się odmówić i w końcu dzieciak przemieszkał u niej prawie tydzień, póki matka nie wróciła.

- I nikogo o tym nie zawiadomiłaś - Farrell pokręcił głową z niedowierzaniem.

- Bała się. Wczoraj też nic byśmy z niej nie wyciągnęli, gdyby nie fakt, że za kilka dni wyjeżdża na stałe do syna do Detroit.

- Potrafi coś powiedzieć o tej matceś

- Nie zna jej nazwiska, ale podała szczegółowy rysopis. - Archie zerknął do notatek. -

Długie, ciemne włosy. Niska, z nadwagą. Brak jednego lub dwóch przednich zębów.

Rysopis zgadza się z tym, czego dowiedzieliśmy się od sąsiada z naprzeciwka. Oboje

sądzą, że kobieta musi mieć około dwudziestu dwóch lub trzech lat. Wielokrotnie

widziano ją z mężczyzną, który prawdopodobnie też mieszkał w tym domu.

- Coś jeszcze Archie zamknął teczkę.
- Nic. Równie dobrze mogli już dotrzeć do Kalifornii. Spróbujemy wykorzystać to, co zdobyliśmy wczoraj, ale pewno nigdy ich nie złapiemy. Znajdą nowy dom i znów rozkręcą interes... - Wzruszył ramionami.

Farrell właściwie znał odpowiedź na swoje pytanie.

- To co będzie z małą Maryś
- Lepiej jej będzie pod opieką państwa niż matki, która ją porzuca, gdzie popadnie. Trochę to pewno potrwa, aż w końcu jakiś sędzia uzna, że rodzice nie zamierzają jej odzyskać i odbierze im prawa rodzicielskie. A jeśli do tego czasu mała nie będzie zbyt skrzywiona przez wszystkie te przejścia, umieszczą ją w jakiejś rodzinie.
- Niezbyt to pocieszające. Archie położył teczkę na biurku.
- To śliczny maluch. Szkoda, że są takie małe szanse na odnalezienie matki, bo mogłaby podpisać zgodę na adopcję. Czasami udaje się to załatwić.

Farrell nie odezwał się, ale pomyślał, że gdyby miał tu coś do powiedzenia, na pewno by się udało. Wykonał swoją pracę i zrobił to dobrze. Nie miał zwyczaju podejmować działań na własną rękę ani popadać w obsesję, jeśli sprawy nie dało się rozwiązać. Tak było do tej pory...

Archie pochylił się nad biurkiem.

- Słyszałem co nieco o zastępczej matce, do której zawiozłeś dziecko.

Farrell dostrzegł błysk zainteresowania w oczach starszego kolegi. Domyślał się, skąd Archie czerpie swe informacje.

- Cał nie potrafi utrzymać języka za zębami - mruknął.

- Mówił, że zostałeś z dzieciakiem, póki nie zasnął.

- Płakała tak, że serce się krajało.

- A ta kobitka mieszka sama? - z głosu przełożonego przebijała ciekawość.

- A co to ma do rzeczy?

- Może i ma. Nie wiem, czy nie potrzebna jej ochrona. No wiesz, taki regularny patrol. -

Archie mrugnął porozumiewawczo.

Farrell uniósł pytająco brwi, ale Archie roześmiał się tylko i ciągle chichocząc, odszedł do swoich zajęć.

- Trzeba jej podawać witaminy. I dużo dobrego, pożywnego jedzenia. Muszę jeszcze pobrać krew do analizy. - Anna Choi, lekarz pediatra, która współpracowała z pogotowiem opiekuńczym, rzuciła okiem na kartę. - Myślę, że jeszcze nie ma dwóch lat. Proszę zapisać się na bilansowe badanie rozwoju. Nasz psycholog zna się na

takich przypadkach i wie, na co zwrócić szczególną uwagę.

Gemma poprawiła swoją podopieczną na kolanach i westchnęła.

- Czy nie powinna najpierw trochę się zdomowić? Podejrzewam, że w tej chwili informacje mogą być mylące.

- Psycholog weźmie przecież pod uwagę przejścia dziecka. Musimy wyrobić sobie teraz jakiś pogląd, żeby mieć materiał porównawczy.

Lekarka wyszła na korytarz i kiwnęła na pielęgniarkę.

- Zaprowadź, proszę, naszą pacjentkę do kosza z zabawkami.

Starsza kobieta o ciepłym, ujmującym uśmiechu i znakomitym podejściu do dzieci bez problemu zabrała dziewczynkę z gabinetu.

- Nie chciałam rozmawiać przy niej. Nie wiemy, ile rozumie - wyjaśniła doktor Choi.

Gemma kiwnęła głową. - Ma sporo sińców. Niestety to zdarza się bardzo często. Ktoś wpada w złość i wyładowuje się na dziecku. Dlatego zrobiłam zdjęcia. Możemy ich potrzebować, gdyby matka zgłosiła się i chciała odzyskać córkę. - Doktor Choi westchnęła i zdmuchnęła z czoła kosmyk włosów. - Proszę mi jednak wierzyć, że widziałam gorsze rzeczy. Jej siniaki już znikają, nie wykryłam też żadnych przebytych złamań.

Zresztą na wszelki wypadek skieruję ją na prześwietlenie.

- Skoro tak trzeba.

- Może trudno pani w to uwierzyć, ale wydaje się, że to dziecko miało sporo szczęścia.

Gemma nie ukrywała wątpliwości.

- Oczywiście, była bita - ciągnęła lekarka. - Jednak nie tak groźnie, żeby pozostawiło to ślady w jej psychice, choć na tyle mocno, że możemy to wykorzystać w sądzie. Dzięki Bogu, przeżyła, a jeśli jeszcze zdołamy ją uchronić przed powrotem do poprzedniego życia, będzie miała szansę rozwijać się normalnie. Nie wszystkim dzieciom się to udaje.

- Chciałabym ją chronić. - Głos Gemmy drżał z przejęcia.

- Niech się pani zbytnio nie angażuje - ostrzegła ją doktor Choi. - Wszystko, co pani może teraz zrobić, to dbać o jej zdrowie psychiczne i fizyczne.

- Pod warunkiem, że uchronię ją też przed biciem w przyszłości.

Doktor Choi założyła ręce i pochyliła się nad stołem.

- Zdaje sobie pani sprawę, że nie zawsze jesteśmy w stanie temu zapobiec, prawda?

Oczywiście, wiedziała o tym. Sądziła nawet, że jest na to przygotowana. Ale już po jednej wspólnej nocy czuła się związana z tym maleństwem jak rodzona matka.

- Proszę się nią po prostu dobrze opiekować - poradziła lekarka. - W tej chwili to najlepsze, co może pani zrobić.

Nim dopełniono wszystkich formalności i zrobiono wreszcie prześwietlenie, obie z małą umierały z głodu. Gemma знаła bar, w którym dla małych klientów podawano kanapki z masłem orzechowym w kształcie gwiazdek i księżyców, lecz dopiero gdy usiadły przy oknie wychodzącym na ruchliwą ulicę, zorientowała się, że bar jest naprzeciwko posterunku policji.

Kiedy zjadły dwie gwiazdki, jeden księżyc i kanapkę z indykiem, zamówiła duży kawałek sernika na wynos.

- Pewno nie ma pan ozdobnej wstążki? - spytała właściciela.

Faktycznie nie miał, ale zawiązał kokardkę ze sznurka, a w środek styropianowego pudełka wetknął wyjęty z wazonu goździk. Z sernikiem pod jedną pachą i dzieckiem pod drugą przeszła przez jezdnię.

- Dzień dobry. Czy zastałam inspektora Riley'a? - spytała umundurowaną kobietę siedzącą w okienku.

Nie miała czasu, żeby się zastanowić. Jednak ledwo zadała pytanie, już tego pożałowała. Co ją skłoniło do przynoszenia mu ciastaś I czemu, na

Boga, wybrała akurat ten właśnie bar? Chciała podziękować, co było rzeczą najzupełniej normalną, lecz *przecież* nie musiała tego robić w tak demonstracyjny sposób. Postawiła torbę na kontuarze przy okienku.

- Właściwie mogę to zostawić, jeśli go nie ma. Policjantka nawet nie uniosła głowy.

- Zaraz sprawdzę. Proszę usiąść.

Gemma miała już powiedzieć, że rezygnuje z czekania, ale dziewczynka zaczęła właśnie trzeć oczy. Niepewna, czy to oznaka senności, czy napływających łez, Gemma odeszła z nią od okienka, mrużąc uspokajająco:

- No, no, wszystko w porządku. Zaraz wracamy do domu.

Dom. Cóż, nie był to oczywiście prawdziwy dom tej małej. Być może zamieszka w nim na całe lata, ale równie dobrze może go opuścić za kilka dni. W każdej chwili kobieta, która ją porzuciła, mogła zechcieć odebrać córkę, a wtedy sąd pewnie wyrazi zgodę, przynajmniej na okres próbny. I trzeba będzie oddać dziecko. Z przymkniętymi oczami kołysała małą.

Kiedy uniosła powieki, Farrell stał już przy nich.

- Och... - Wszystko, co zamierzała powiedzieć, uleciało jej z głowy. Przyszła przecież/żeby mu podziękować i zdać relację z wizyty u pediatry. Kiedy jednak patrzyła na niego, była w stanie

myśleć jedynie o tym, jak to się dzieje, że w obecności tego gliny czuje się zarazem bezpieczna i zagrożona.

Zdołała się zorientować, że nie był zbyt gadatliwy. Teraz również oznajmił lakonicznie:

- Mam nowe informacje.

Kiwnęła głową, jakby właśnie to było celem jej wizyty.

- Tak?

Zwrócił się do dziecka.

- Hej, skarbie. Wiem już, że masz na imię Maty. Dziewczynka wyciągnęła do niego rączki.

- Mary? - Gemma przeciągnęła sylaby, podając mu dziecko. Czowała jakiś związek z kobietą, która dała dziewczynce życie i tak tradycyjne imię. - Podejrzewam, że nadal nie znacie nazwiska?

Farrell uśmiechnął się do Mary, która otoczyła ramionkami jego szyję.

- Niestety. Na razie wiemy tylko tyle - odparł, nie patrząc na Gemmę.

Podobał się jej mocny zarys jego szczęki. Ciemne włosy były krótkie, ale tak gęste i faliste, że wymykały się spod kontroli. Ciekawiło ją, czy ich właściciel zachowywał się podobnie, czy pod tą szorstką powłoką kryje się niezależny i butny człowiek.

Sięgnęła do papierowej torby i wyciągnęła pojemnik z sernikiem.

- Przyszliśmy ci podziękować. To dla ciebie. Teraz odwrócił się do niej. Wiedziała już, że bał się okazywania uczuć. Prawdopodobnie odebrał dobre, lecz surowe wychowanie od srogiego ojca. Zaskoczył ją jednak wyraz jego szarych oczu. Ze zdziwieniem stwierdziła, że patrzy na nią ciepło, serdecznie i jakby z oczekiwaniem.
- Nie trzeba było.
- Ten prezent w zasadzie jest głupawy. To znaczy... Pewno często jadasz w barze naprzeciwno. To sernik od nich. Wyglądał tak smakowicie...
- Uświadomiła sobie, że plecie bez ładu i składu. Patrzył na nią z uśmiechem, który chwycił za serce. - Jeśli nie masz ochoty, sama go zjem
- uśmiechnęła się.
- To będzie miła odmiana po twardawych pączkach. Roześmiała się rozradowana.
- Byliśmy w pobliżu. Zabrałam... Mary do lekarza.
- I co powiedział- To kobieta. Powiedziała, że wszystko w porządku, małej potrzeba tylko trochę więcej witamin, no i musi przybrać na wadze. Ma również zaczerwienione gardło, ale zdaniem doktor Choi to tylko początek lekkiego przeziębienia.
- No, to chyba czeka cię dobra zabawa.
- Och, damy sobie radę.

- A co zrobisz, jeśli nagle potrzebna ci będzie pomoc? Masz... kogoś, na kogo możesz liczyć?

Dostrzegła chwilę wahania przy słowie „kogoś”. Z pewną przyjemnością pomyślała, że chce wiedzieć, czy w jej życiu jest jakiś mężczyzna. Lecz nim zdążyła się tym naprawdę ucieszyć, uświadomiła sobie, że pewno raczej obawia się, czy znów zamierza zawracać mu głowę. To wyjaśnienie było znacznie mniej przyjemne.

- Och, mam dużą rodzinę - uspokoiła go pospiesznie. - Zawsze mogę ich wezwać na pomoc. Wszystko będzie dobrze. Obiecuję, że już ci nie będę przeszkadzać. Ciągle mi przykro za ten poranny telefon...

- Takś Bo mnie wręcz przeciwnie.

W pierwszej chwili nie dotarło do niej, co powiedział, ale gdy spojrzała mu w oczy, wiedziała, że to nie zdawkowa uprzejmość. Naprawdę tak myślał.

- Jesteś bardzo miły.

- Nieczęsto mi to mówią.

- To dziwne. Pewno niewielu potrafi dostrzec, co się kryje pod spodem. - Uświadomiła sobie, że zabrzmiało to dość zarozumiale. - Przepraszam, nie to miałam na myśli.

Wszystko, co próbuję powiedzieć, wychodzi jakoś niezręcznie.

- Wszystko, co mówisz, brzmi wspaniale. - Znów patrzył na Mary, jakby bał się, że

powiedział za dużo. - Muszę wracać do pracy. Czy zechcesz wymienić sernik na małą dziewczynką Podała mu torbę.

- Z kawowo-czekoladowymi wiórkami. Nie zwracaj tylko uwagi na goździk. Zresztą już pewno zwiądl.

Odebrał torbę i pochylił się, podając Gemmie Mary. Na krótką chwilę ich ramiona zetknęły się, a ręce splątały. Przez ułamek sekundy Gemma poczuła jego ciężar, jego biodro przyciśnięte do jej biodra. Serce biło jej jak oszalałe, a na policzki wystąpił rumieniec.

Dotarło do niej, jak niebezpieczną grę prowadzi. Wcale nie wpadła tu, żeby się pożegnać ani opowiedzieć o wizycie u lekarza. Chciała go znów zobaczyć, chciała widzieć, jak łagodnieją jego oczy, kiedy spogląda na dziecko, a czasami i na nią. Igrała z ogniem, bo choć na razie Farrell potrafił nad tym zapanować, ich wzajemne przyciąganie stawało się tak mocne, że coraz trudniejsze do ukrycia i kontrolowania.

- Cóż, chyba rzeczywiście zajęłyśmy ci zbyt dużo czasu. - Patrzyła na Mary, żeby uniknąć jego wzroku. To samo wcześniej robił Farrell. - Mary jest bardzo zmęczona. Prawda, skarbie? Czas na krótką drzemkę.

Farrell powoli wyciągnął rękę i pogłaskał główkę dziecka.

- Uważaj na nią.
 - No pewnie.
 - Dam ci znać, jeśli dotrą do nas jakieś wieści. Zastanawiała się, czy rzeczywiście to zrobi, czy raczej przekaże informacje do pogotowia opiekuńczego, wiedząc, że i tak o wszystkim ją zawiadomią. Zresztą, co to za różnica. W ciągu ostatnich godzin wymagała od niego więcej niż od swojego męża przez ich całe nieudane małżeństwo. Nie mogła prosić o nic więcej.
 - Jeszcze raz dziękuję. - Spojrzała przez ramię, uśmiechając się na pożegnanie. - Mam nadzieję, że sernik będzie ci smakował. Koniecznie wypij do niego filiżankę dobrej kawy.
 - Niestety kawa na posterunku nie umywa się do twojej.
 - Zawsze więc możesz liczyć na kawę u mnie. - Ze też nie ugryzła się w język. - Jeśli oczywiście znajdziesz się gdzieś w pobliżu.
 - Będę o tym pamiętał.
- Bała się ponownie otworzyć usta. Ruszyła do drzwi, trzymając Mary na biodrze, i nie oglądając się, opuściła posterunek.

ROZDZIAŁ CZWARTY

- Uspokój się, Gemma. Lekarka przecież powiedziała, że z uszami Mary wszystko jest w porządku. Mała ma tylko odrobinę podwyższoną temperaturę. Po prostu jest przeziębiona.

- Patty, starsza siostra Gemmy, siedziała w wiklinowym fotelu z Mary na kolanach.

Patrząc na nie, można by przypuszczać, że to matka z córeczką. Włosy Patty miały ten sam odcień brązu, a jej oczy były tak samo niebieskie, jak oczy dziecka.

Gemma nie wyglądała na przekonaną, więc Patty dorzuciła:

- Naprawdę niepotrzebnie się denerwujesz. Wiedziała, że siostra ma rację. Już podczas pierwszego badania doktor Choi dostrzegła objawy rozwijającego się przeziębienia. Po trzech dniach, w czasie dzisiejszej wizyty, diagnoza potwierdziła się. Gemma zdawała sobie sprawę,

że nie ma powodów do zdenerwowania. Jako nauczycielka wycierała setki małych nosków. Tylko że wówczas odsyłała dzieci do domu, przekazując odpowiedzialność za ich zdrowie matkom maluchów.

- Wezmę ją, jeśli jesteś zmęczona - zaproponowała.

Patty machnęła ręką w stronę małej sofy stojącej pod ścianą.

- Nie jestem zmęczona. Usiądź wreszcie i odsapnij. Dla mnie to nie pierwszozna. - Patty udawała, że ma własnych dzieci powyżej dziurek od nosa, ale nigdy nie przegapiła okazji, jeśli tylko mogła pomatkować jakiemuś maluchowi.

Wcześniej wyszła za mąż i dziewięć miesięcy później obdarowała Johna, świeżo upieczonego absolwenta uczelni, parą bliźniaków. Po dwóch latach na świat przyszli kolejni dwaj chłopcy. Cała czwórka była dość żywa i Gemma wątpiła, czy Patty kiedykolwiek udało się utrzymać któregoś z synów na kolanach dłużej niż pięć minut, nim nie wyrwał się, aby sprawdzić, co też poczynają bracia.

- Biedne maleństwo nie zdołało przespąć ani jednej nocy w spokoju - powiedziała, siadając na sofie, skąd mogła patrzeć na siostrę i Mary.

- Podejrzewam, że dziś jest najgorszy dzień, potem będzie już tylko lepiej - zauważyła Patty,

odgarniając włoski z czoła Mary. - Może chcesz, żebym przysłała Johna?- Pomoże ci ją nosić. Przy-szłabym sama, ale kiedy ostatnio nocowałam poza domem, zmywarka zaczęła przeciekać, Mark dostał ospy wietrznej, a Dillon przewrócił się i wybił sobie ząb. John nie wiedział, w co ręce włożyć.

- Akurat. John dałby sobie z waszymi urwisami radę, nawet gdyby mu zawiązano ręce. Po prostu nie lubisz zostawiać ich samych na zbyt długo. Poza tym na pewno chcesz się wyspać.

Patty wzniosła oczy do nieba, ale nie zaprzeczyła. Rzeczywiście uwielbiała swoją rodzinę.

- Myślisz, że dasz sobie radę?- Wyglądasz na zmęczoną. Naprawdę, jedno z nas może ci pomóc.

Nie wiedzieć czemu oczami wyobraźni Gemma zobaczyła innego mężczyznę noszącego Mary na rękach. W przeciwieństwie do Johna nie był blondynem. Poza tym John gadał jak najęty na każdy temat, tamten zaś cedził słowa, a najlepiej czuł się, milcząc.

Zdecydowanie pokręciła głową.

- Dam sobie radę. Do tej pory nie zarywałam nocy.

- Jednak zawsze biegłaś mi z pomocą. Pamiętasz, jak chłopcom wyrzynały się ząbki¹?

Pamiętała doskonale. Także to, jak zazdrościła wówczas Patty jej ślicznych dzieci i czulego męża, który tak bardzo ją kochał.

- Nigdy nie robiłaś niepotrzebnego zamieszania - zauważyła. - John zresztą też zawsze świetnie sobie radził.

- Dotarła do mnie wiadomość, że gliniarz, który przyniósł Mary, to kawał chłopca, a na dodatek nie jest żonaty.

Przez moment miała wrażenie, że się przesłyszała. Już od dzieciństwa Patty obdarzona była niezwykłym talentem. Zmieniała zniemacka temat, kompletnie zbijając rozmówcę z pantafelku.

- A któż ci dostarcza takich informacji¹? Patty podniosła rękę w obronnym geście.

- Moja sąsiadka jest żoną partnera twojego policjanta.

- Patty, on nie jest „mój”.

- Sheila mówi, że ten facet... nazywa się Farrell Riley, prawda- Ze to typ samotnika, ale i tak wszyscy go lubią i szanują. Dwukrotnie był odznaczany za męstwo. Mąż Sheili wielbi ziemię, po której on stąpa. Teraz podobno rozeszła się pogłoska, że ma dostać awans, a Cal nie chciałby stracić partnera.

Serce Gemmy zaczęło bić szybciej. Jeszcze z czasów szkolnych pamiętała to pełne napięcia oczekiwanie. Myliła się, sądząc, że wyrosła z niego tak samo, jak wyrasta się z plakatów z gwiazdami rocka.

Postanowiła zignorować to uczucie.

- Rzeczywiście jest bardzo miły. Zainteresował go los Mary.
- Na pewno chciałby wiedzieć, co się z nią dzieje. Może powinnaś do niego zadzwonić?-
Myślę, że nie ma takiej potrzeby. Przecież opowiesz wszystko Sheili, ona powtórzy to mężowi, on z kolei Farrellowi.
- Jesteście po imieniu?
- Patty... - W głosie Gemmy słychać było ostrzeżenie. - Wiesz dobrze, że postanowiłam wyrzec się mężczyzn. Prowadzę życie, które mi odpowiada i jestem szczęśliwa.
- Nie wszyscy mężczyźni są podobni do Jimmy'ego.
- Być może. Czy jednak jesteś pewna, że będę potrafiła ustrzec się błędu. Raz się już dałam nabrać. Skąd pewność, że nie stałoby się tak ponownie?
- Jimmy miał charakter kupca. Potrafiłby sprzedawać piasek na Saharze i być może nawet kiedyś to robił. Jego urok ogłupił nas wszystkich, ale dostaliśmy nauczkę, a ty największą. O, tak. Patty nawet nie podejrzewała, czego nauczyła się jej siostra, ale Gemma nie była w nastroju, żeby wdawać się w szczegóły.
- Zrozum, jestem teraz szczęśliwa. Robię to, co lubię. Nie chcę żadnych komplikacji.
- A seks? Nie brakuje ci tego?

Chociaż dawno przywykła do bezpośredniego zachowania Patty, poczuła, że policzki ją palą. Powodem jednak nie było pytanie, które zadała siostra, lecz obraz Farrella, jaki pojawił się w jej wyobraźni. Tym razem nie kołysał w ramionach chorego dziecka.

- Tak właśnie myślałam! - triumfalnie zawołała Patty.

- Nie wyjdę za mąż po to, żeby prowadzić regularne życie seksualne! Nie zamierzam również wdać się w jakiś romans. To nie w moim stylu.

- To wyjdź za mąż z miłości. Chyba nie przestałaś w nią wierzyć, choć w tej chwili masz trochę zamazany obraz. Za młoda jesteś, żeby żyć jak mniszka.

- Nie mogłabym zostać mniszka.

- Dobrze wiesz, o co mi chodzi.

- Wiem, ale teraz skończymy już tę rozmowę, dobrze?

- Jeśli nie pasuje ci ten gliniarz, to John ma klienta, który...

- Patty!

John, specjalista od inwestycji bankowych, nieraz już próbował nakłonić Gemmę do nawiązania znajomości z niektórymi ze swoich klientów. Jego zdaniem dobry kandydat charakteryzował się okazałym rachunkiem w banku i awersją do umów przedmażeńskich.

- Jesteś pruderyjna! - Patty zmarszczyła swój zgrabny nos. - No dobra, siostrzyczko. Przykro mi cię zostawiać, ale muszę brać się za obiad dla mojej czeredy. Zadzwoń, gdybyś uznała, że potrzebujesz pomocy. A najlepiej zatelefonuj do swojego zaprzyjaźnionego gliniarza. Założę się, że chętnie spędzi tu noc.
- Gemma podeszła zabrać Mary z kolan siostry.
- Dziękuję. Za wizytę, nie za rady. Pozdrów Johna i chłopców.
- Jeśli zdołam ich przekrzyczeć - odparła Patty, ściskając Gemmę na pożegnanie. - Pomyśl o tym, co ci mówiłam.
- Nie.
- Och, na pewno będziesz o tym myśleć, chociaż nie zechcesz się przyznać.
- Wymianę zdań przerwał dzwonek.
- Spodziewasz się gości? Czy to... ktoś interesujący? - Oczy Patty rozbliły się.
- Nie wiem!
- Lepiej wyjdę frontowymi drzwiami, żeby upewnić się, że na ganku nie czeka seryjny morderca.
- Zaparkowałaś z drugiej strony - przypomniała jej Gemma.
- Potrzeba mi trochę ruchu - parsknęła w odpowiedzi Patty.
- Dzwonek rozległ się ponownie. Gemma poszła

otworzyć, z Mary na rękę i Patty deptającą jej po piętach.

Farrell nie bardzo wiedział, czemu znalazł się pod drzwiami Gemmy. Miał za sobą męczący dzień, a na dodatek mało brakowało, żeby tuż przed zakończeniem służby pewien nastolatek odstrzelił mu głowę. Smarkacz wydawał się równie zaskoczony jak Farrell, gdy pistolet wypalił. W drodze na posterunek przysięgał, że nie miał pojęcia, iż broń jest naładowana. Tylko jak można wierzyć szesnastolatkowi, którego kartoteka jest równie długa, jak ostatni wyrok jego ojca?- Pistolet był własnością dzieciaka. Dopiero co groził nim dwóm mężczyznom, których obrabował przed bankomatem.

Gdzie te czasy, myślał ponuro Farrell, kiedy nastolatki zamiast karabinów i pistoletów zbierały znaczki i zdjęcia piłkarzy?

Otworzono drzwi, na progu stanęła Gemma z Mary na rękę. Tuż za nią pojawiła się kobieta, najwyraźniej siostra Gemmy. Miały inne włosy i karnację, ale i tak podobieństwo było widoczne na pierwszy rzut oka.

- Farrell...

- Przepraszam, zdaje się, że zjawilem się nie w porę.

- Skądże znowu. Patty właśnie wychodzi.

- Gemma odwróciła się do siostry. - Prawda, Patty? - spytała z naciskiem.
- Skoro muszę. - Patty wyciągnęła rękę. - Jestem Patty Prescott, siostra Gemmy.

Ujął jej dłoń.

- Farrell Riley.

- Domyśliłam się tego.

- Patty... - zaczęła ostrzegawczo Gemma. Patty uśmiechnęła się szeroko.

- Mieszkam przy tej samej ulicy, co twój partner. Sheila opowiedziała mi, że to wy przywieźliście tu Mary. Kto inny mógłby tu wpaść?

Farrell nie był przekonany, czy dobrze zrozumiał. Czyżby Gemmę odwiedzało tak niewielu mężczyzn, że jedynym oczekiwanym gościem płci męskiej jest gliniarz, który przywiózł Maryś Zresztą, jeśli nawet tak jest, co go to obchodzi?

- Gemma, przyjdź na obiad w przyszłą sobotę

- przypomniała siostrze Patty i z radosnym błyskiem w oku zwróciła się do Farrella: -

Skoro tak lubisz dzieci, może i ty wpadniesz?- Mam czterech małych chłopaczków, którzy pewno zmienią trochę twoje poglądy. Zaprosimy również Sheilę i Cala, żeby zobaczyli, w co się pakują. A może uda się też ściągnąć Katy z jej rodziną? Katy to nasza młodsza siostra - dodała wyjaśniająco.

Farrell dostrzegł, że Patty czeka na jego odpowiedź. Unikał rodzinnych zjazdów tak samo

jak ciemnych alejek i nocnych spacerów po Keller Avenue.

A mimo to przyjął zaproszenie.

Patty poklepała go po ramieniu.

- Świetnie. Urządzimy sobie przyjęcie przy grillu, jeśli będzie ciepło. Dam znać Gemmie, na którą macie przyjechać. Aha, nie ubieraj się jakoś specjalnie. My zawsze jesteśmy w zwykłych ciuchach.

Nim któreś z nich zdołało otworzyć usta, Patty zbiegła po schodkach i machając im ręką na pożegnanie, zniknęła za rogiem domu.

- Uff! - Gemma wyprostowała ramiona i odrzuciła włosy do tyłu. - Tajfun Patty wieje już gdzie indziej.

- Jak ty to wytrzymujesz?

- Musi być taka. Jej chłopcy nie mają jeszcze dziewięciu lat. Patty opiekuje się drużyną zuchów i wyobraź sobie, że to ona daje dzieciakom wycisk.

Miał wrażenie, że zastanawia się, co jeszcze mogłaby powiedzieć.

- Właściwie nie wiem, czemu przyszedłem. Tak sobie pomyślałem, że zobaczę, co się dzieje u Mary, no i... u ciebie.

- Cieszę się, że wpadłeś. Obiecałam ci kawę, pamiętasz?-

Pewno, że pamiętał, chociaż bardzo się starał zapomnieć.

Wszedł za Gemmą do kuchni, próbując nie zwracać uwagi na to, jak wdzięcznie kobieta kołysze biodrami, jak ładnie wygląda w niebieskiej sukience podkreślającej jej ponętne kształty.

- Pewno idziesz prosto z pracy. Jadłeś już obiad?

- Nie, ale...

- Świetnie. Zaraz coś przyrządzę. My z Mary też powinniśmy już zjeść.

- Nie zamierzałem wpraszać się na obiad.

- Jasne, że nie. Wpadłeś, żeby dotrzymać mi towarzystwa i potrzymać Mary, gdy będę gotować. Jest przeziębiona i już od kilku dni ciągle siedzi u mnie na ręku.

- Przeziębiona? Jesteś pewna, że to nic poważniejszego?

- Na pewno nie. Jednak w tym nawale nieszczęść, przez które przeszła, widać uznała chorobę za przysłowiową kroplę, która przepelniła kielich goryczy. Mała protestuje, ilekroć próbuję postawić ją na ziemi.

Gemma odwróciła się, żeby podać mu dziecko. Mary właśnie powoli otworzyła zaspane niebieskie oczka, które teraz rozszerzyły się z radości. Nim Farrell zdążył zaprotestować, że nie zostanie na obiedzie, dziewczynka przechyliła się w jego stronę. Nie pozostało mu nic innego, jak wziąć ją na ręce.

- Mam nadzieję, że nie będzie się tak rzucać na mężczyzn, gdy podrośnie - zaśmiała się Gemma.

Mary pogłaskała policzek Farrella. Z każdym ruchem dziecięcej rączki zdawało się z niego odpływać zmęczenie i zniechęcenie. Wzięła go w niewolę i teraz już nie potrafiłby odejść. Gemma otworzyła lodówkę.

- Co my tu mamy? Kurczak? Ryba? A może jesteś wegetarianinem?-

- Pewno zostanę, jeśli w barach zaczną sprzedawać hamburgery z soi. Wszystko, co jem, pochodzi albo z barów szybkiej obsługi, albo z puszki.

Spojrzała na niego znad drzwi lodówki i skrzywiła się śmiesznie.

- W takim razie przygotuję ci coś bardzo zdrowego. Mam nadzieję, że zniesiesz taką odmianę.

Próbował sobie przypomnieć, kiedy ktoś zainteresował się jego dietą.

- Nie rób sobie kłopotu.

- To żaden kłopot. Czysta przyjemność. Mary dopisuje apetyt, ale nie jest wybredna. Z przyjemnością ugotuję coś dla dorosłej osoby. A co do picia?- Piwo czy wino? Uprzedzam, że z tym u mnie kiepsko. Nie mam w domu mocnego alkoholu.

- Poproszę piwo. - Farrell usadowił się za

stołem z Mary ułożoną wygodnie na kolanach. Gemma podała mu butelkę i szklanę. Piwo na pewno nie było kupione po promocyjnej cenie w markecie. Pochodziło z importu.

Trunek dla znawców, który należało smakować z należytych szacunkiem. Ciekawe, co by na to powiedzieli Cal i Archieś

- Zaczynaj od tego. - Podeszła z plastikową torbą pełną warzyw pokrojonych w słupki.

Rozłożyła je na talerzu a na środek włożyła łyżkę jakiejś apetycznie pachnącej masy. - To sos szpinakowy - wyjaśniła. - Powinien ci smakować. Mary bardzo to lubi.

Jakby na potwierdzenie słów Gemmy Mary sięgnęła po kawałek selera i umoczyła go w szpinakowym sosie. Farrelowi nie pozostało nic innego, jak pójść za jej przykładem.

- Co powiesz na piersi kurczaka? Upiekę w mikrofalówce kilka ziemniaków. A do tego świeże szparagi, dobrze?

Nie chciał się przyznać, że nigdy ich dotąd nie jadł.

- Świetnie. Dziękuję.

- Hmm, są pieczarki i papryka. Zrobię sos do kurczaka, a zamiast ziemniaków ugotuję makaron. Lepiej pasuje.

Nauczył się przyrządzać mrożonki z kartonowych opakowań, dlatego teraz poczuł się oszo-

łomiony różnorodnością smaków, kolorów i zapachów. Sztuka kulinarna Gemmy reprezentowała zupełnie inny poziom.

- Strasznie dużo masz z tym kłopotu.

- Proszę, pozwól mi się pobawić. Uwielbiam jeść. Będę gotować, a ty mi tymczasem opowiedz, jak ci minął dzień. Chciałabym się dowiedzieć, na czym polega twoja praca. Zamyślił się. Co może jej opowiedzieć? Ze zanim szesnastoletni dzieciak próbował go zabić, dzień minął na wypisywaniu mandatów i wyjazdach do nieuzasadnionych wezwań

- Nie ma wiele do opowiadania. - Wziął słupek marchewki. W brzuchu mu burczało i przez moment usiłował sobie przypomnieć, czy jedli dziś z Calem lunch.

Gemma nalała wody do wysokiego emaliowanego garnka i ustawiła go na kuchence.

- Założę się, że świetnie sobie dajesz radę w każdej sytuacji. Jesteś taki spokojny i rozsądny. Na pewno potrafisz wyperswadować ludziom wiele głupich pomysłów.

- Dziś mi się to nie udało. - Zacisnął zęby, ledwo zdążył wymówić te słowa. Nie zamierzał jej opowiadać o całym zajściu, ale Gemma była zbyt spostrzegawcza, żeby przejść nad jego uwagą do porządku dziennego.

- Nie? A co się stało?

Miał wybór. Mógł zachować się niegrzecznie i pominąć pytanie milczeniem. Mógł też wyrzucić z siebie wszystko, co mu leżało na sercu. Nie odpowiadało mu żadne z tych rozwiązań.

Chyba wyczuła jego wewnętrzną walkę.

- Przepraszam. Nie zamierzałam być wścibska. Tak sobie myślę, że pewno czasem chciałbyś zapomnieć, jak zarabiasz na życie.

- O dzisiejszym dniu na pewno chętnie bym zapomniał. - Pragnął powiedzieć jej o wszystkim, czuł, że w tej chwili to ważniejsze niż prywatność, którą tak bardzo sobie cenił.

- Zatrzymałem dziś dzieciaka, strzelał do mnie. Ani mój spokój, ani rozsądek nie wywarły na nim żadnego wrażenia, może tylko to, że zamierzałem go aresztować.

Przy słowie „strzelał” Gemmie wypadł nóż z ręki.

- Farrell... Przecież to straszne! Potworne! Ale nic ci się nie stało?

- Nie. - Choć to nie takie pewne, skoro po pracy znalazł się pod jej drzwiami.

- A co z tym chłopakiem?

- Pod kluczem. Zresztą nie pierwszy raz.

Przerwała przygotowania do obiadu. Wpatrywała się w Farrella ze zmarszczonym czołem i pobladłą twarzą.

- Musiałeś przeżyć potężny szok. Nie uwierzę, że można się przyzwycząić do takich rzeczy.

- A jednak można. - Przerwał, po czym ze smutkiem potrząsnął głową. - Nie, wcale nie można. Dzięki Bogu, że nie zdarza się to na tyle często, bym mógł do tego przywyknąć.

- Opowiedz, jak to się stało.

Nawet nie wiedział, kiedy zaczął. Ponownie zajęła się gotowaniem, ale słuchała uważnie, z przechyloną na bok głową, z oczami szukającymi jego spojrzenia. Nie przypominał sobie, żeby ktokolwiek tak go kiedyś słuchał. Od czasu do czasu kiwała głową, aż jej jasne włosy opadały na policzki i sięgały do obojczyków. Nie mógł oderwać od niej wzroku i, co zadziwiające, nie mógł też przestać mówić.

- Już kiedyś go zatrzymałem - kończył opowiadanie. - Miał wtedy czternaście lat i nie dorósł jeszcze do pistoletów i rozbojów. Ukradł tylko pudełko cukierków, żeby zrobić matce prezent na Dzień Matki, choć nie miał żadnej gwarancji, czy ją w tym dniu spotka. Jego rodzice spędzają więcej czasu w więzieniu niż poza nim.

- Mimo wszystko uważam, że to biedny dzieciak. O Boże, mógł cię zabić. Co z nim będzie?

- Tym razem go wsadzą, ale to nic nie pomoże. Ja także jestem przekonany, że nie jest taki zły, ale zanim wróci na wolność, całe dobro wybiją mu z głowy.

- Strasznie to przykre.

Spodobały mu się jej słowa. Nie dawała mu żadnych rad czy łatwych rozwiązań, tylko szczerze wyrażała żal.

- Też tak uważam.
- Pewno często trafiają ci się takie sytuacje.
- Częściej, niż powinny.

Siekała teraz wprawnymi ruchami warzywa i zręcznie formowała z nich na desce do krojenia zgrabne stosiki. Czosnek skwierczał już na oleju. Farrell patrzył, jak Gemma dosypuje warzywa, kroi mięso i wkłada na patelnię po jednym paseczku. Zapach potrawy był tak smakowity, że ślinka napłynęła mu do ust.

Kiedy woda w garnku zaczęła wrzeć, Gemma wrzuciła makaron.

- Teraz to już tylko chwila. Przygotuję jeszcze szparagi i możemy jeść.

Mary poruszyła się niespokojnie i zaczęła cicho kwilić.

- Oho, podejrzewałam, że to zbyt piękne, by było prawdziwe. - Gemma umyła i osuszyła ręce. - Może ja ją wezmę?
- Ponosić ją?
- Będzie zachwycona, ale ty na pewno padasz z nóg.
- Wydaje mi się, że tego mi właśnie trzeba. Uśmiechnęła się ze zrozumieniem.
- Dobrze. W takim razie skończę obiad. Może

Mary poczuje się lepiej, kiedy postawię jedzenie na stole.

Gdy przeszedł już dystans równy obchodowi sześciu kwartałów swojego rewiru, Mary wspaniałomyślnie pozwoliła posadzić się w swoim wysokim krzeselku. Gemma podała jej kurczaka z owocami z puszki i jednym szparagiem. Dziewczynka niechętnie wpatrywała się w talerz.

- Wiesz coś Lepiej zabierajmy się do jedzenia.

- Gemma zaprosiła Farrella do stołu. - Obawiam się, że to cisza przed burzą.

Nie chciał jeść szybko. Obiad był pyszny, smakował jeszcze lepiej, niż wyglądał. Ku jego uldze szparagi okazały się jadalne, choć wyglądały, jakby zerwano je z zachwaszczonego trawnika. Był w połowie posiłku, kiedy Mary zaczęła płakać w najlepsze.

Nim zdążył przełknąć, Gemma wyjmowała już dziecko z krzeselka.

- Nie spiesz się - powiedziała. - To polecenie

- dodała, kiedy się poruszył. - Zajmę się nią, a kiedy zjesz, ja skończę obiad.

Ciekawe, czy tak się dzieje w większości rodzin? Czy rodzice na zmianę zajmują się maluchami? Czy również inne kobiety uważają, że kaprysy lekko przeziębionego dziecka uzasadniają natychmiastowe zajęcie się nim, a nawet rezygnację z posiłku? Nie potrafił sobie wyobrazić, z jakiego

powodu niektórzy ludzie byli tak opiekuńczy. Dlaczego tak ofiarnie zajmowali się cudzymi dziećmi. Świat, w którym żył, który oglądał każdego dnia na ulicach, był całkiem inny. Czuł się, jakby go przeniesiono do baśniowej krainy.

Wiedział tylko, że wcale nie ma ochoty na powrót do codzienności.

Gemma coś cicho mruzczała do Mary, która wtuliła się w jej ramiona, jakby wreszcie znalazła bezpieczną przystań. Coś drgnęło w sercu Farrella, nie na myśl o matce czy dziecku, ale o tej właśnie kobiecie. Mimo swej delikatności i pozornej kruchości emanowała jakąś szczególną siłą. Wierzyła w to, co robi. Chciała zmienić życie dzieci takich jak mała Mary, żeby nie gromadziły w sobie gniewu, agresji i rozpacz jak nastolatek, który omal go dziś nie zabił. W tej delikatnej, zgrabnej kobiecie kryła się odwaga i mądrość. A on nagle odkrył z przerażeniem, że przy Gemmie budzą się dawno stłumione tęsknoty...

Zastanawiał się, czy mogłaby go pokochać. Jak czułby się, trzymając ją w ramionach, z jej ciałem przytulonym do swojego? Na szczęście miał wystarczająco dużo rozumu, żeby nie tęsknić do tego na co i tak nie ma szans. W dzieciństwie odebrał dobrą szkołę i nadal ją pamiętał. Ale co szkodzi trochę sobie porozmyślać?

- Farrell? - Wyglądała na zaniepokojoną. - Już masz dość?

Dobrze wiedział, że nigdy nie będzie miał dość. Ani Gemmy, ani tego, co mu oferowała.

Nagle poraziła go ostrzegawcza myśl. Miał szósty zmysł, który zawsze uprzedzał go o niebezpieczeństwie. Dziś dzięki niemu uniknął pocisku z pistoletu.

Przewidywał jednak, że tym razem jego szczególny dar mu nie pomoże, już nic mu nie pomoże.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Na przyjęcie u Patty Gemma przygotowała sałatkę ziemniaczaną i pyszne ciasto czekoladowe. Zauważyła, że Farrell bardzo lubi czekoladę. Tego wieczoru, kiedy został na obiedzie, pochłoniął cały pojemnik lodów czekoladowych, które ona jadłaby na deser przez okrągły tydzień lub dłużej.

Bezwstydnie przeciągała wówczas obiad, ciesząc się, że może gościć Farrella. Gdyby mogła na europejską modłę podać na koniec sery i owoce, chętnie by to zrobiła. Albo wmusiłaby w niego kolejną kawę, a także brandy i cygaro, gdyby tylko miała je w domu. Został jeszcze chwilę po zjedzeniu deseru. Cierpliwie nosił na rękach Mary, a kiedy dziewczynka wreszcie usnęła, ułożył ją w łóżeczku,

otulił kocykiem i podziękowawszy Gemmie za obiad, wyszedł.

Zaskoczyło ją uczucie rozczarowania, jakie niezaprzeczalnie nią zawładnęło. Nie chciała żadnego związku z Farrellem, ale żałowała, że już poszedł. Nie potrafiła powiedzieć, czego właściwie oczekiwała. Kiedy jednak zamknęła za nim drzwi, poczuła się osamotniona, z czym nie potrafiła sobie poradzić. Miała wypełnione życie, przyjaciół i tyle różnorodnych zainteresowań, że ciągle brakowało jej czasu. Ale pustki po jego odejściu nie dało się wypełnić szyciem nowych zasłon czy lekturą książki ulubionego autora. Mimo woli tego wieczoru w pewnym sensie związała się z Farrellem. Przyciągał ją swoim podejściem do Mary i relacją z dnia pracy, opowiedzianą z wielkim ociąganiem. Przeraziło ją, że mógł zniknąć z jej życia, zanim się w nim na dobre pojawił.

Dziwne, ale nie wymigał się od udziału w przyjęciu rodzinnym u Patty, chociaż dał Gemmie wyraźnie do zrozumienia, że łączy ich wyłącznie sprawa Mary. Wcześniej wydawało jej się, że w jego wzroku dostrzegła pożądanie, lecz widocznie Farrell, tak jak i ona, starał się unikać jakiegokolwiek zaangażowania.

Znów zadała sobie pytanie, czemu nie zmienił zdania w sprawie obiadu u Patty. Więcej, nawet zaproponował, że przyjedzie po Gemmę.

Zawracanie głowy. Przecież i tak nie potrafię odpowiedzieć na te pytania, myślała, kończąc pakowanie. Ustawiła w koszu pojemnik z sałatką i ciasto. Mary przerwała budowanie wież z drewnianych klocków i podeszła popatrzeć na przygotowania. Farrell chyba zastosował jakąś magiczną sztuczkę, układając chorą dziewczynkę w łóżeczku, bo już następnego ranka Mary obudziła się bez śladu przeziębienia i od tego czasu była znacznie weselsza i bardziej żwawa.

Teraz uśmiechnęła się radośnie do opiekunki. Gemma podniosła dziewczynkę do góry i uścisnęła ją serdecznie. I nagle... Mary oddała uścisk.

Gemma wstrzymała oddech. Czy przypadkiem wyobraźnia nie spletała jej figla ? Mary oczywiście reagowała na bodźce z otoczenia. Słuchała uważnie, patrzyła, co dzieje się wokół, i zdaniem Gemmy przetwarzała wszystko, co zobaczyła. Jednak życie ją nauczyło ostrożności i nieufności. Teraz zaczęła odkrywać, że ludzie reagują, gdy płacze, i próbują jej pomóc. Powolutku uczyła się, że nikt jej nie ukarze ani nie zignoruje jej uczuć i okazywanych emocji.

- Jesteś wspaniała, Mary. - Gemma przytuliła ją mocno. - Wyjątkowa, wspaniała mała dziewczynka.

Na dźwięk dzwonka Mary zaczęła się wyrywać. Gemma sięgnęła do włosów dziewczynki,

choć i tak zawsze układały się po swojemu. Dziś odgarnęła je z twarzy i przytrzymała opaską dopasowaną kolorystycznie do spódnicy i bluzki. Teraz jednak zadziałał odwieczny instynkt, który zawsze zwyciężał ze zdrowym rozsądkiem, każąc kobietom mizdrzyć się przed spotkaniem z atrakcyjnym mężczyzną.

Mary pierwsza dobiegła do drzwi i natychmiast znalazła się w ramionach Farrella.

- Jak się ma moja dziewczynka? - spytał, całując ją w czoło.

Pisnęła z zachwytu. -Tak!

Popatrzyli na siebie oniemiaли ze zdumienia.

- Zaczęła mówić? - spytał Farrell.

- To pierwsze słowo. - Gemma odetchnęła głęboko. Niewiele brakowało, a rozplakałaby się ze wzruszenia.

- No, no... - Farrell spojrzał na Mary. - Jasne, że tak, skarbie.

Gemma przełknęła ślinę.

- Na pewno chciałaby pokazać ci, nad czym dziś pracowała.

Zanim dotarli do kuchni, udało jej się zapanować nad wzruszeniem. Farrell postawił małą na podłodze. Natychmiast pobiegła do kącika, wydając radosne okrzyki. Z należytych zachwytem obejrzał zbudowane przez dziewczynkę wieże,

przepowiedział jej nawet świetną karierę architekta. Wątpliwe, czy rozumiała wszystkie pochwały, ale buzia jej promieniała.

Gemma ukradkiem przyglądała się Farrellowi. Włożył dziś czarne dżinsy i srebrnoszary sweter, spod którego wystawał ciemny golf. Mężczyźni w mundurach byli szczególnie pociągający, ale jemu nic nie brakowało w codziennym stroju. Sweter podkreślał szerokie ramiona, które byłyby w stanie unieść tysiące problemów, dżinsy opinały długie, mocne nogi i wąskie biodra. Nikt nie poznałby, że jest glina, a jednak nawet w cywilnym stroju wzbudzał respekt.

Podniósł wzrok znad klocków i spostrzegł, że Gemma go obserwuje. Przez chwilę nie spuszczał z niej oczu, tak jak w chwili, gdy Mary zaskoczyła ich pierwszym słowem. Teraz jednak ich spojrzenia nie wyrażały wyłącznie zdziwienia. Powietrze dosłownie przepełnione było elektrycznością. Powoli przesunął wzrokiem po jej sylwetce najpierw w dół, potem znów w górę.

- Ładnie dziś wyglądasz. - Nie uśmiechnął się, ale spojrzenie miał ciepłe.

- Właśnie to samo pomyślałam o tobie. Kilka uderzeń serca i jeszcze parę sekund.

Żadne z nich nie odwróciło wzroku.

- Cieszę się, że postanowiłeś przyjść - odezwała się wreszcie. Nie dlatego, że chciała prze-

rwać ciszę. Przy Farrellu nie czuła się niezręcznie nawet wtedy, gdy oboje nie wiedzieli co powiedzieć. Chciała po prostu jakoś wyrazić swą radość.

- Obiecałem przecież, że będę.
- Nie zdarza ci się zmienić zdaniaś
- Nie, jeśli coś obiecałem.

Ciekawe, czy wiedział, jaka to rzadka cecha. Obietnice Jimmy'ego nie miały żadnej wartości. Spuściła wzrok na Mary i czar prysnął.

- Mam Mary i koszyk z prowiantem, poza tym spakowałam torbę z jej zabawkami, ubraniami na zmianę, kocyk... - przerwała, próbując sobie przypomnieć, czy o czymś nie zapomniała.

- Chętnie poprowadzę, ale nie mam w samochodzie fotelika. Chcesz, żebym go przeniósł z twojego auta?

- Będzie prościej, jeśli ja poprowadzę. Chyba że należysz do tych mężczyzn, którzy nie cierpią występować w roli pasażera.

- Skoro znoszę za kierownicą Cala, wytrzymam i z tobą.

Spojrzała na niego i dostrzegła, że odpowiada uśmiechem na jej uśmiech. Uczucie łąskotania w żołądku stało się już nieodzownym towarzyszem jej spotkań z Farrellem.

Podobała mu się rodzina Gemmy. Patty była bardziej ekspansywna i głośniejsza od siostry, ale

równie jak ona dbała o dobre samopoczucie otaczających ją ludzi. Najmłodsza z nich, Katy, o jasnych ostrzyżonych po chłopięcemu włosach, z wyraźną przyjemnością lądowała co i rusz na ziemi, figlując z siostrzeńcami i swym trzyletnim synkiem. Mężowie obu sióstr, John i Michael, najwidoczniej uwielbiali zarówno swoje żony, jak i dzieciaki. Ze spokojem znosili bowiem i hałas, i nieustanną bieganinę. Od chwili gdy pojawili się Gemma i Farrell, było tu już trochę tłoczno i zapanował zwykły chaos, ale wszyscy świetnie się w nim czuli.

- Zupełnie jak u nas na posterunku, co? - Cal pochylił się nad stołem i podał Farrellowi piwo. Oboje z Sheilą od razu zaprzyjaźnili się z całym towarzystwem. Sheila, która była już w mocno zaawansowanej ciąży, toczyła się właśnie za jednym z malców, co miało imitować zabawę w berka.

- U nas nie jest tak głośno - odparł Farrell.

- Przypomina mi to dom rodzinny. Masa dzieciaków i hałasu. Choć było chyba więcej bijatyk. Teraz myślę, że darliśmy się głównie po to, żeby zwrócić na siebie uwagę. - Cal pociągnął łyk piwa. - A jak było u ciebie?

Pracowali ze sobą od dwóch lat, ale Farrell unikał rozmów o przeszłości. Dawno pogodził się ze swoim życiem, jednak nadal nie lubił wspominać.

- Zupełnie inaczej - odrzekł.

- Bardzo spokojny z ciebie facet. Uznałem, że jesteś jedynakiem.
- Świetna dedukcja.
- Nas było sześcioro, ale sam chciałbym mieć dwójkę dzieci. Zamierzamy z Sheilą poświęcać naszym pociechom każdą wolną chwilę.
- Będiesz wspaniałym ojcem.
- Tak myślisz? - ucieszył się Cal. - Czasami wpadam w panikę. A jeśli coś schrzanie?
- Też się może zdarzyć. Ale dzieciaki są odporne. Dasz sobie radę.
- To brzmi pocieszająco. A co z tobą? Mówiłeś, że nie chcesz mieć dzieci. Naprawdę?
- Naprawdę.
- Świetnie sobie radzisz z Mary.

Farrell odszukał dziewczynkę wzrokiem. Siedziała wtulona w ramiona Gemmy. Wydawało się, że fascynują ją zabawy dzieci, ale na razie odmawiała udziału w powszechnym szaleństwie. Nie dziwił się temu. Rozdokazywani siostrzeńcy Gemmy stanowili dość nieobliczalną bandę.

- Nie mam instynktu rodzinnego - odpowiedział partnerowi.
- Chyba niełatwo ci będzie przekonać o tym Mary. Gdyby umiała mówić, z pewnością opowiedziałyby ci parę historyjek o ludziach, którzy naprawdę nie są zbyt rodzinni. Na początek o własnych rodzicach.

Gemma musiała zorientować się, że patrzą na Mary, bo ruszyła w ich stronę.

- No, chyba namówię Sheilę, żeby trochę zwolniła tempo, bo zostanę ojcem grubo przed terminem. - Cał odszedł do żony.

- Jak tamś - Gemma usiadła przy stole. - Wytrzymujesz jeszcze ten harmider?

- Hałas mi nie przeszkadza.

- Dzięki Bogu. Tu zawsze jest tak głośno. Wcale nie robią tego na twoją cześć.

Przysiadł na ławce tuż obok niej. Mary przeczołgała się na jego kolana i ułożyła wygodnie, jakby szykując się do drzemki.

Pogłaskał jej włoski.

- Jest wykończona.

- Wiem, ale bardzo jej się tu podoba. Chyba nieczęsto widywała inne dzieci.

Nagle zaczął odczuwać bliskość Gemmy. Nie unikał jej podczas pikniku, ale również nie zabiegał o jej towarzystwo. Zresztą była zajęta rodziną, a on trzymał się na uboczu.

Gemma leniwie wyciągnęła przed siebie nogi. Szalenie zgrabne, o szczupłych kostkach i pomalowanych na różowo paznokciach, widocznych przez cienkie paseczki skórzanych sandałków.

- John zaczyna wrzucać kotlety na grill. Jesteś głodny?

Odwrócił się i jego twarz znalazła się o kilka centymetrów od jej twarzy. Myślał o niej bezustannie od wieczoru, gdy zaprosiła go na obiad. I, i prawdę mówiąc, rozważał, czy nie wykić się od dzisiejszej wizyty u Patty, jednak w końcu uznał, i że nie potrafiłby skłamać ani złamać obietnicy. - Nawet bardzo głodny - odparł. Nie wiedział tylko, czy po prostu jej odpowiada, czy mówi o czymś zupełnie innym.

- To tak jak ja.

Nie powiedzieli ani jednego słowa więcej, ani nie odwrócili wzroku. Czuł, jak Mary sennie tuli się do niego, jak sam pochyla się w stronę Gemmy. Odległość między nimi zmniejszyła się, powietrze drżało od tęsknoty.

- Gemma! - zawołała Patty. - Chodź rozdać im soki. Dzieciaki chcą pić, a ja mam ręce po łokcie w mielonej wołowinie.

Miał wrażenie, że dostrzegł w jej oczach rozczarowanie. Zawahał się przez moment, po czym zdecydowanie odchylił się, opierając plecy o stół.

- Idź do nich. Zostanę tu z Mary. Spódnica Gemmy owijała się wokół jej nóg.

Farrell jak zaczarowany odprowadził Gemmę wzrokiem, bezskutecznie próbując odwrócić spojrzenie.

Farrell patrzył, jak Gemma przemyka drzwi do pokoju Mary. Zostawiła je na wpół otwarte, żeby usłyszeć płacz małej.

- Biedne małeństwo - odezwał się, gdy dołączyła do niego na schodach. - Pewno prześpi cały tydzień.

- Chłopcy ją wymęczyli, ale bawiła się znakomicie. I w końcu sama wzięła udział w zabawie z Shawnem.

Shawn, synek Katy i Michaela, najbliższy Mary wiekiem, był trochę mniej rozbrykany od kuzynów. Pod koniec wieczoru wywabił Mary z kolan Farrella do zabawy samochodzikami w piaskownicy. Farrell nie spuszczał z nich oka, ale Shawn bardzo uważał, żeby nie skrzywdzić ani nie przestraszyć dziewczynki.

- Domyślam się, że nie dasz rady nic zjeść, ale może chciałbyś napić się kawy przed wyjściem? - zaproponowała Gemma, gdy zeszli na dół i przystanęli przed kuchnią.

Poprzednim razem w tym miejscu pożegnał się. Pomyślał wówczas o niebezpieczeństwie związanym z cichą intymną chwilą, gdy będą pili kawę. Pamiętał o tym i dzisiaj, ale nie potrafił zmobilizować tyle sił, by odmówić.

- Pewno jesteś zmęczony. - Zatrzymała się ponownie.

Chyba całkiem wyzbył się zdrowego rozsądku, kiedy jej odpowiadał:

- Naprawdę chce ci się robić kawę? Przecież też już padasz na nos.

- Zawsze po ułożeniu Mary do snu siadam na chwilę, żeby się trochę odprężyć.
- W takim razie ja zrobię kawę. Ty będziesz mną dyrygować.

Chciała zaprotestować, ale powstrzymała się.

- Nie przywykłam, żeby mnie obsługiwano. Dziękuję.
- Ależ bardzo proszę.

Usiadła wygodnie przy kuchennym stole. Farrell czuł, że mu się przygląda, gdy sięgał po ekspres.

- Niewiele gotuję, ale nauczyłem się parzyć całkiem przyzwoitą kawę.
- To ci się chwali. Byłam żoną człowieka, który uważał, że takie zajęcia są poniżej jego godności.
- I oczekiwał, że tylko ty będziesz gotować Zamilkła. Domyślił się, że żałuje wzmianki o mężu.
- Jimmy wierzył w podział pracy - odparła w końcu. - On dzielił, ja pracowałam.

Po raz pierwszy dotarło do niego, że małżeństwo Gemmy nie było tak szczęśliwe, jak jej sióstr. - Gdzie trzymasz kawę i filtry?

- W szafce po prawej stronie.
- Tego ranka, kiedy przyszedłem do was, powiedziałaś, że kupiłaś dom ze względu na ogród. A wcześniej? Mieszkaliście tu z mężem?

- Nie, mieszkaliśmy w Shore Haven, nad samym jeziorem.

Shore Haven było niezwykle kosztownym osiedlem w najbardziej ekskluzywnej podmiejskiej dzielnicy Harleton. Ciekawe, jak zniosła taką zmianę standardu życia?- W każdym razie nie okazywała żalu.

- Tu mi się bardziej podoba - dodała, jakby odczytując jego myśli.

- Naprawdę?

- W gruncie rzeczy nie było nas stać na tamten dom. Jimmy pracował na prowizji. Nigdy nie byłam pewna, czy zdołamy zapłacić kolejną ratę kredytu. Mając taki dom, trzeba zafundować sobie odpowiednio luksusowe samochody. Również urządzenie wnętrza musiało zwać z nóg każdego, kto zdołałby się przedrzeć przez system alarmowy, jakiego nie powstydziliby się żaden bank. - Uśmiechnęła się ze smutkiem. - Tu nie muszę nikomu dorównywać ani imponować. Mogę robić, co zechcę.

- A zechciałaś opiekować się dziećmi innych ludzi.

- No właśnie.

Farrell włączył ekspres i oparł się o blat.

- Nie myślałaś, żeby robić coś innego?- Robiłam. Mogłabym w dalszym ciągu pracować w przedszkolu. Mam także uprawnienia nauczycielki szkoły podstawowej.

- Mary na pewno jest szczęśliwa, że dokonałaś takiego wyboru.

Wyglądała na zadowoloną.

- Tak myślisz?

- Jest z dnia na dzień weselsza i mam wrażenie, że również bardziej ożywiona.

- W czwartek byliśmy na badaniu.

- Są już wyniki?

- Jeszcze nieoficjalne, ale po testach rozmawiałam z psychologiem. Uważa, że Mary jest cofnięta w rozwoju. Wiedziałam o tym oczywiście, ale sądzę, że już wyrównuje braki.

Psycholog nie podziela mojego zdania, że jej braki wynikają z charakteru środowiska, w jakim się wychowywała. Byliśmy zgodni przynajmniej w jednej kwestii. Jeśli uda się stworzyć małej sprzyjające warunki, jej rozwój nie będzie zagrożony.

- A ty stworzyłaś jej sprzyjające warunki. - To nie było pytanie, po prostu stwierdzał fakt.

- Dziękuję.

- Jeśli psycholog trafnie ocenił jej rozwój, na pewno trudniej będzie oddać ją do adopcji. O ile oczywiście sąd podejmie taką decyzję.

- Wszystko w swoim czasie.

Farrell nalał kawę, która skończyła się już parzyć. Słyszał, że Gemma odsuwa krzesło, ale nie mógł przewidzieć, że nagle znajdzie się tuż obok niego. Niebezpiecznie blisko...

- Sięgałam po mleko. Lubię...

Jej źrenice powiększyły się, a policzki pokryły rumieńcem. Powinien się odsunąć. Gdyby to zrobił, nic by się między nimi nie zmieniło. Charakter ich znajomości byłby nadal taki sam jak dotąd. Pewnie przychodziłby odwiedzać Mary i oboje z Gemmą toczyliby zwyczajne rozmowy o tym i owym, będąc w gruncie rzeczy obcymi ludźmi, jak do tej pory.

Otaczając ją ramionami, uświadomił sobie nagle, jak pozorna była ta obcość. Gemma wcale nie smakowała obco, gdy ją pocałował.

Boże, wręcz przeciwnie, smakowała cudownie.

Kiedy przyciągnął ją do siebie, objęła go rękoma. Miękkie usta przylgnęły do jego warg, jak najwspanialsza słodycz. Jej mocno przytulone ciało wydawało się tak bliskie, a zarazem tak nieosiągalne, jak szczęśliwe życie, które zawsze było poza jego zasięgiem.

Była tym wszystkim, czego zawsze pragnął i czego życie ciągle mu odmawiało, aż wreszcie przestał się z nim o to zmagać.

- Farrell, jestem oszołomiona - wyszeptała tuż obok jego ust. Wiedział, że to słowa wyznania, nie protestu.

Pragnęła potwierdzenia tego, co czuł. Nie odsunęła się, a on znów pocałował jej rozchylone wargi. Ręce Farrell'a powędrowały z bioder pod

bluzkę, głaskały jej ciepłą, gładką skórę. Gemma westchnęła, gdy jego dłonie przesunęły się wyżej. Palcami dotknął delikatnej koronki na brzegu stanika, potem wsunął je pod zapięcie. Wiedział, że wystarczy jeden ruch, żeby uwolnić piersi. Ich ciała stapiały się ze sobą, pożądanie pulsowało z wielką siłą. Poddawał się mu, lekceważąc ostrzegawczy głos, który kazał mu natychmiast odsunąć się od tej kobiety.

Na ulicy ktoś trzasnął drzwiczkami samochodu, w sąsiedztwie rozległo się szczekanie przebudzonego psa. Te zwykłe odgłosy odniosły skutek, którego nie zdołały wywołać zdrowy rozsądek i ostrożność. Podniósł głowę i popatrzył na tę niezwykłą kobietę. Tak, była co prawda niezwykła, lecz od życia oczekiwała najzwyklejszych rzeczy: miłości, rodziny i szczęśliwych zakończeń. Nie chciał, żeby to na nim musiała się zawieść.

- Ja również jestem oszołomiony. - Wolał przytulić ją, niż spojrzeć w jej oczy. Gemma oparła głowę na jego ramieniu.

- Możemy więc wrócić do punktu, w którym byliśmy przedtem - powiedziała.

Pokręcił głową. Doskonale wiedział, że dla niego nic już nie będzie takie samo jak na początku tej znajomości.

Jej głos drżał z emocji.

- Już raz byłam zakochana. Drugi raz tego nie przeżyję.
- Ja zawsze unikałem miłości.
- To co zrobimy?
- Nic nie zrobimy. - Głos miał szorstki. - Po prostu wyjdę.
- Ciągle obejmowała go ramionami. Teraz też nie opuściła rąk.
- A co będzie, gdy wrócisz?
- Chyba nie powinienem wracać.
- Owszem, ale... - Ręce Gemmy opadły wzdłuż ciała. - Wolałabym, żebyś był przy mnie, dopóki się z tym nie uporamy.
- Co proponujesz? - Kiedy odgarniał kosmyk włosów z jej twarzy, położyła rękę na jego dłoni i przytrzymała na swoim policzku.
- Idź do domu i przemyśl to, Farrell. - Opuściła rękę. - Ja też pomyślę.
- Wiedział, że nie będzie w stanie myśleć o niczym innym. Zostawił ją w kuchni nad kawą, którą parzył dla nich dwojga.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Archie paradował przed biurkiem Farreła w tę i z powrotem jak modelka na wybiegu.

- Jeffries mówi, że sprawdzasz ślady w sprawie tej małej dziewczynki.

Farrell odłożył pióro i odchylił się na krześle.

- Omówiliśmy to dokładnie. Jeffries odpowiada za dochodzenie w sprawie Keller Avenue, ale nie ma nic przeciwko temu, żebym trochę powęszył. Tak powiedział.

- Nic dziwnego. Potwornie brakuje mu ludzi, od czasu gdy Canfielda przeniesiono do wydziału zabójstw.

Dzień był wyjątkowo długi, a cierpliwość Farreła na wyczerpaniu.

- Słuchaj, robię to w wolnym czasie. Kiedy jestem na służbie, nie zajmuję się tą sprawą, jasne?

Archie postanowił zmienić temat:

- Pamiętasz o tym, że jeden z naszych dostanie awans na detektywa i stanowisko zastępcy Jeffriesa?

- Wyluzuj! Nie pcham się do zaszczytów, chcę tylko odnaleźć rodziców Mary, żeby można było zakończyć jej sprawę.

- Źle jej u tej zastępczej matki?

- Wręcz przeciwnie.

- To o co ci chodzi?

- Dziecko ma prawo wiedzieć, gdzie się obudzi następnego ranka.

- A jeśli znajdziesz w końcu jej rodziców i zechcą ją odebrać? Sąd przecież może im przyznać prawo do opieki, nie?

- Mam nadzieję, że tak się nie stanie. Archie podrapał się po karku.

- Chyba wiesz, że jesteś na czele listy kandydatów do awansu?

Farrell słyszał plotki na ten temat, ale właściwie nie był szczególnie ambitny. Lubił swoją robotę, mógłby też polubić pracę detektywa. Jednak tak w pracy, jak i w życiu prywatnym nie interesowały go rzeczy, które nie były pewne.

Nie odpowiedział, więc Archie ciągnął:

- Niektórzy gotowi pomyśleć, że w ten sposób chcesz poprawić swoje notowania i w rezultacie działasz na swoją niekorzyść.

- Jak będzie trzeba, sam zrezygnuję z tego awansu. Ale na pewno nie zostawię sprawy tego dziecka.

Archie pokiwał głową z rezygnacją.

- Pamiętaj tylko, żeby robić to po służbie.

- Nie martw się. Codziennie dostarczę ci kilka świeżych ciał.

- Jak cię znam, to nawet kilkanaście - zaśmiał się Archie, odchodząc.

Cal, który siedział do tej pory przy telefonie, podszedł do Farrella.

- Właśnie dostałem cynk od faceta, który mieszka przy Keller Avenue. Może podać nam kilka szczegółów o ludziach z tamtej narkomańskiej meliny. Twierdzi, że wczoraj jednego z nich widział w pralni przy Piątej Ulicy.

Farrell popatrzył uważnie na partnera.

- Kto to takiś i właściwie czemu dzwonił do ciebie?

- Max chodził z Sheilą do szkoły. Nie zna innych gliniarzy. Bałby się zadzwonić do kogoś obcego.

- Nie myślisz, że może być zamieszany w tę sprawę?

- Na pewno nie. To ekscentryk, artysta. Chyba malarz albo rzeźbiarz. Mieszka kilkaset metrów dalej, ale widywał mieszkańców naszego domu podczas spacerów z psem. Z jednym miał kiedyś

drobne starcie, gdy tamten potracił go, cofając samochód. Po prostu pamięta niektóre twarze, to wszystko.

Brzmiało to dość prawdopodobnie, a poza tym zgadzało się ze zdobytymi dotychczas informacjami. Jeśli ten człowiek jest faktycznie malarzem, jego obserwacje mogą być szczególnie cenne.

Od pikniku u Patty każdego dnia poświęcał dodatkowo trzy lub cztery godziny na pracę nad sprawą Keller Avenue. Udało mu się nawiązać kilka kontaktów, wczoraj wieczorem spotkał się w barze z facetem, który znał jednego z mieszkańców meliny. Jednak kontakt Cala był rzeczywiście rewelacyjny.

- Chcesz do niego iść? - zaproponował Cal. - Skończyłem już swoją robotę.

- Dobra. Napiszę raport i idziemy. Dam tylko znać Jeffriesowi. - Farrell czuł się jak pies, który zwęszył trop.

- Pewno chętnie oddałby ci tę sprawę. Już go ledwo widać zza papierów na biurku.

Gemma schodziła ze schodów, gdy rozległ się dzwonek. Ułożyła właśnie Mary w łóżeczku. Czuła teraz całodziennie zmęczenie. Właściwie od tygodnia nie udało jej się przespać spokojnie ani jednej nocy. Przez moment kusiło ją, żeby nie otwierać. Nie była w nastroju, żeby gadać o Farrel-

lu i swojej przyszłości z siostrami, bo to pewnie któraś z nich stoi teraz na progu. Zrezygnowała jednak z tego zamiaru. Równie dobrze mogła to być Marge Tremaine, która miała dziś do niej zajrzeć, i choć pora zrobiła się późna, Gemma nie mogła sobie pozwolić na zignorowanie tego spotkania. Poprawiła włosy i otworzyła drzwi, ponieważ przypominała sobie, że należało najpierw spojrzeć przez wizjer.

- Zawsze tak ochoczo otwierasz wszystkim drzwi?

Na progu stał Farrell w cywilnym ubraniu. Patrzył na nią gniewnie, co wcale nie ujmowało mu urody. Ze zdziwienia zaniemówiła, ale szybko wzięła się w garść.

- Obejdzie się bez twoich pouczeń. Już łapiąc za klamkę, uświadomiłam sobie, że nie sprawdziłam, kto stoi za drzwiami. Z reguły to robię.

- To nie Shore Haven.

- Oczywiście. W odróżnieniu od Shore Haven to okolica, gdzie ludzie nie mają nic, co warto byłoby zrabować. - Gestem zaprosiła go do środka. - Spóźniłeś się. Mary zasypiała już w kąpielni. Nim ją otuliłam, spała jak suseł.

- Nie przyszedłem do Mary.

Serce zabiło jej mocniej. Przez cały tydzień próbowała nie myśleć o tym, co zaszło między nimi. Z różnym skutkiem.

- Przyszedłem porozmawiać o jej rodzicach. Uniosła głowę.
- Rozumiem. - Nie poprosiła go, żeby usiadł. Rzadko się jej zdarzało, by była tak niegościnna, jednak teraz trudno jej było zachować pozory.
- Usiądźmy.

Ramiona jej opadły. W tej sytuacji nie potrafiła odmówić. Poprowadziła go do kanapy, sama usiadła w przeciwległym kącie.

- Czyżbyś miał jakieś wiadomości o rodzicach Maryś A może ich odnalazłeś?
- Nie, ale chyba jesteśmy już blisko. Chciałem, żebyś wiedziała, że ich szukam. Powinnaś dowiedzieć się ode mnie. Tak przynajmniej uważam.
- Czy właśnie ty zajmujesz się tą sprawą?
- Oficjalnie nie, ale postanowiłem, że doprowadzę ją do końca. Pracuję nad tym po służbie i mam już pewne sukcesy.
- Ale dlaczego? - Skrzyżowała ramiona. - Sądysz, że będzie jej lepiej u nich niż u mnie? - Rzuciła to wbrew woli, pospiesznie i bez zastanowienia. Była po prostu bardzo zmęczona, a poza tym brakowało jej pewności siebie.
- Bałem się, że tak pomyślisz. - Pochylił się do przodu. - Muszę ci wyjaśnić, czemu się tym zająłem.
- Przepraszam, przecież wiem. Jestem nieludzko zmęczona.

Natarczywy dzwonek przy drzwiach przerwał im rozmowę.

- Może to Marge. - Najwyraźniej nie wiedział, o kim mówi. - Marge Tremaine. Zajmuje się sprawą Mary. Miała wpaść w porze kolacji, ale widocznie coś ją zatrzymało.

Rzeczywiście za drzwiami stała Marge, ciemnoskóra kobieta w średnim wieku, w jasnym kolorowym ubraniu mocno podkreślającym jej karnację. Przywitały się serdecznie.

- Pewno leży już w łóżku? - spytała Marge.

- No jasne. Żałuję, że jej nie zobaczysz. Rozwija się w zawrotnym tempie.

- Mam raport psychologa. Nie jest aż takim optymistą, ale w gruncie rzeczy płacimy mu za ostrożność. - Marge zorientowała się, że nie są same.

- Jest u mnie inspektor Farrell Riley - wyjaśniła Gemma. - To właśnie on przywiózł tu Mary. Poznajcie się.

Farrell podniósł się na powitanie. Marge usadowiła się w fotelu bujanym.

- Co mogę wam podać? - spytała Gemma.

- Siadaj. - Marge machnęła ręką w stronę kanapy. - Widzę, że ledwo się trzymasz na nogach. Za chwilę będę w domu, zrobię sobie drinka i gorącą kąpiel. Tylko najpierw chciałam zobaczyć się z tobą.

- Farrell mówił mi właśnie, że trafili na ślad rodziców Mary. - Gemma miała nadzieję, że teraz rozmowa potoczy się już bez jej udziału. Sama nie wiedziała, co ma myśleć o informacji, którą przekazał jej Farrell. Niby rozumiał, jak dobrze Mary czuje się u niej, a jednak uparcie szukał rodziców dziewczynki. Gdzie tu sens?

- Jaki to ślad? - spytała Marge. - Może pan o tym mówić?

- Zdobyliśmy szczegółowe rysopisy i informację, w jakim rejonie prawdopodobnie się kręca. Znalazłem też ludzi, którzy zapewne zgodzą się przejrzeć kartoteki ze zdjęciami, więc jest szansa, że śledztwo w tej sprawie zakończy się sukcesem. Tak czy inaczej posuwamy się do przodu.

Marge pokiwała głową.

- Pewno powinnam się z tego cieszyć. Jednak mam zupełnie inne odczucia. W chwili gdy odnajdziecie rodziców Mary, będziemy musieli zacząć z nimi współpracować. Nie wiem, jakie jest pańskie zdanie, ale według mnie mamusia i tatuś, którzy zostawiają dziecko w pustym domu, żeby tylko ratować własną skórę, są praktycznie niereformowalni. Czasami ludzie się zmieniają, czasem winne są okoliczności. Coś mi jednak mówi, że to nie wchodzi w grę w tej sprawie.

Farrell pochylił się w jej stronę.

- Chce pani powiedzieć, że wolałaby, żebym

ich nie odnalaz? Mary *przecież* musi mieć jakiś dom, i to na stałe.

Marge uśmiechnęła się słabo.

- Panie Filey, to najlepszy dom, jaki mogła znaleźć. Nawet jeśli rodzice zrzekną się praw do niej, prawdopodobnie nie będzie wielu chętnych, żeby ją adoptować. To dziecko specjalnej troski i nie wiemy, czy kiedykolwiek nadrobi zaległości. Zanim w ogóle wyznaczą ją do adopcji, będzie starsza, a wraz z upływem czasu maleją szanse na adopcję. A kontakt z rodzicami może narobić jeszcze większego zamieszania, bo nim do niego dojdzie, ona uzna już Gemmę za swoją mamę... - Marge pokręciła głową. - Przepraszam. Miałam ciężki dzień. Jest pan przecież policjantem. Jednak... i ja każdego dnia patrzę na rzeczy, od których nawet panu włosy na głowie stanęłyby dęba.

- Powiem pani, co rzeczywiście powoduje, że włosy mi się jeżą. To system, który pozwala, żeby takie dzieci nie były pewne, co przyniesie im jutrzejszy dzień.

- Chcę tylko wyjaśnić, że jest masę gorszych rzeczy niż taki wspaniały tymczasowy dom zastępczy, jaki stworzyła tu Gemma.

- Powiem pani, jak to jest, dorastać w takim tymczasowym domu, panno Tremaine. - Patrzył na nią pochmurnym wzrokiem - Myślę, że mam trochę doświadczenia.

Gemma wcześniej zamierzała taktownie przerwać ich rozmowę, teraz jednak nie odezwałaby się za żadne skarby, nawet gdyby od tego miała zależeć jej przyszłość jako zastępczej matki.

Farrell nie patrzył na nią. Spojrzenie utkwił w Marge.

- Nikt nie zawraca sobie głowy, żeby ci pokazać, jak wygląda prawdziwy dom. Pozostają marzenia. Za każdym razem, gdy przekraczasz próg, dowiadujesz się jednak, że to jeszcze nie to. Wiesz o tym, bo musisz trzymać spakowane rzeczy, na wypadek gdyby twoi naturalni rodzice zdecydowali się zabrać cię. Albo też sędzia lub pracownicy opieki społecznej uznali, że się za bardzo zadomowiłeś czy, co gorsza, przywiązałeś do opiekunów.

Przerwał na chwilę. Gemma siedziała sztywno, wstrzymując oddech. Nie miała pojęcia, że Farrell wychowywał się w rodzinach zastępczych. Zatem zainteresowanie sprawą Mary mogło wynikać nie tylko z przywiązania do dziewczynki. Wyczuwała, że Farrell się stara, aby jego opinia zabrzmiała obiektywnie.

Potrząsnął głową, jakby wspomnienia nadal go raniły.

- Któregoś dnia wracasz ze szkoły i dowiadujesz się, że znów cię przenoszą. To będzie trzeci dom, a może dziesiąty, już dawno straciłeś rachubę. Nowi opiekunowie są oczywiście obcy, więc

nadal trzymasz spakowaną walizkę. Nie masz szans, żeby wreszcie poczuć się bezpiecznie. Wiesz na przykład, że nie wolno ci, tak jak innym, zostawiać szczoteczki do zębów w łazience, bo kiedy raz to zrobiłeś, została tam i w nowym domu ukarano cię za jej brak. Gemma czuła pod powiekami piekące łzy.

- Nie chcę, żeby Mary dorastała w ten sposób. - Odchylił się na oparcie kanapy, próbując zapanować nad sobą. - To pewnie najlepsze miejsce, w jakie mogła trafić, ale jeśli nie wyrwiemy jej z trybów opieki socjalnej, może się okazać, że jest to tylko pierwszy dom z wielu kolejnych.

Marge siedziała przez chwilę w milczeniu.

- System zmienił się od czasów pańskiego dzieciństwa - odezwała się wreszcie. - Mary może tu mieszkać, póki jej sprawa nie zostanie zakończona. Nie przenosimy dzieci, jeśli nie jest to absolutnie konieczne.

- Jednak kiedy trochę podrośnie, zrozumie, że nie jest całkiem bezpieczna, że zmiana może nastąpić w ułamku sekundy. I nawet jeśli nic się nie stanie, stale będzie odczuwać wewnętrzny niepokój.

Odwrócił się teraz do Gemmy.

- Gemma zasługuje na to dziecko. Powinna bez problemu uzyskać prawo do opieki nad Mary. Nie ma na to szans, póki gdzieś tam po świecie

chodzą biologiczni rodzice dziewczynki. A poza tym, jeżeli będą rzeczywiście chcieli odzyskać córeczkę i udowodnią, że potrafią o nią zadbać, powinni móc załatwić to jak najszybciej. Zanim dziecko na tym ucierpi.

- Tymczasowa opieka na pewno nie jest rozwiązaniem idealnym, jednakże w wielu przypadkach najlepszym - wtrąciła Marge.

- W tym przypadku w ogóle nie jest rozwiązaniem, bowiem dwoje ludzi bardzo kocha Mary i zamierza walczyć o jej dobro.

- W takim razie mała ma więcej szczęścia niż inne dzieci - powiedziała Marge, podnosząc się z fotela. - No, na mnie już czas. Da mi pan znać, kiedy już będzie coś wiadomo, panie Riley?

- Dopilnuję, żeby wszystko do pani dotarło. Gemma odprowadziła Marge do drzwi.

- Wiesz, on sam sobie zaprzecza - odezwała się Marge. I widząc, że Gemma nie rozumie, dodała: - Być może ten system nie jest idealny, ale udało mu się jednak w swej bezdusznej maszynie wyprodukować tak wspaniałego człowieka, jak inspektor Farrell Riley.

Miał przymknięte oczy, kiedy Gemma wróciła do pokoju. Było mu niedobrze, jakby rozdrapał głęboką ranę, a teraz nie potrafił jej opatrzyć.

Poczuł, jak ugina się kanapa. Tym razem Gem-

ma usiadła przy nim. Była tak blisko, że czuł bijące od niej ciepło i delikatny zapach bzu.

- Tylko nie mów, że ci przykro - odezwał się w końcu.

- Wcale nie jest mi przykro.

Głos miała niski, melodyjny, nogą dotykała jego nogi. Próbował o niej nie myśleć przez ostatni tydzień. Prawie udało mu się to osiągnąć. Jednak wiedział, że mimo szalonego wysiłku ciągle dręczyła go niezaspokojona tęsknota.

Czuł jak Gemma pochyła się w jego stronę.

- Jak może mi być przykro, skoro po tym, co przeszedłeś, stałeś się takim wspaniałym człowiekiem? Wolałabym na pewno, żebyś osiągnął to w inny sposób, ale tego nikt nie może zmienić.

Otworzył oczy i przekręcił głowę na oparciu kanapy.

- Człowiek, jakim się stałem, ma więcej wad, niż możesz sobie wyobrazić.

- Farrell... .

- Już dawno temu nauczyłem się, że lepiej liczyć na własne siły. Jako dziecko rozpaczliwie pragnąłem mieć rodzinę, lecz kiedy mijał czas, a ja ciągle nie miałem własnego domu, odkryłem w końcu że mogę liczyć wyłącznie na siebie. Za tę lekcję musiałem jednak słono zapłacić. Tak długo byłem samotny, że nie wiem, jak można żyć inaczej. Nie potrafię dawać, bo nigdy mnie tego nie nauczono.

- Farrell, to nieprawda. - Końcami palców delikatnie dotknęła jego twarzy, po czym przytuliła do policzka całą dłoń.

- Nie chcesz w to wierzyć, ale ja nie jestem mężczyzną, na jakiego zasługujesz. Tobie potrzebny jest ktoś, kto potrafi kochać.

- Miałam już raz takiego. Przynajmniej takie sprawiał wrażenie. Nie chcę, żeby to się powtórzyło.

Powinien ją odepchnąć. Powinien też odejść i nigdy nie wracać. Lecz ta sama tęsknota, która kazała mu dziś jej szukać, nie pozwoliła teraz ruszyć się z miejsca.

Tym razem to ona go pocałowała. Zniknęła gdzieś delikatna Gemma, którą znał.

Poprzednio czuł jej wahanie, teraz całkiem przejęła inicjatywę. Nie potrafił pozostać obojętny wobec zachłanności jej pełnych, słodkich ust.

W momencie, gdy dotknęła jego warg, zniknęły gdzieś wszystkie postanowienia.

Pomyślał, że całe życie czekał na taką wspaniałą chwilę. Jeśli ta noc miałyby stać się jedyną nagrodą, nie pragnął niczego więcej.

Otoczył Gemmę ramionami i przyciągnął bliżej. Westchnęła z zadowoleniem, przytulając się do jego piersi. Czuł swój wełniany sweter i jej dzianinową bluzkę, które dzieliły ich ciała. Pamiętał, że w oknach nie ma zasłon, dzięki czemu

w ciągu dnia słońce oświetlało cały pokój, a co teraz, wieczorem, pozwalało każdemu, kto tylko zechciał, zobaczyć ich dwoje w świetle lampy. Zdawał sobie sprawę, że jej pokój jest na górze, ale pamiętał również, że wcale go nie zaprosiła do swojej sypialni.

Odsunął się, żeby spojrzeć jej w oczy.

- Jeśli to ma się skończyć tylko na pocałunku, lepiej nie zaczynajmy.

- Czy to pierwsze ostrzeżenie, inspektorze Riley?

- To jedyne ostrzeżenie.

- Mój pokój jest na górze, na końcu korytarza. Co zamierzasz? Czy kiedy przestanę cię całować, ruszysz w stronę schodów, czy do wyjścia?- Pójdę na górę, pod warunkiem, że nadal

będziesz mnie całować.

- To może trochę potrwać.

- Chyba mamy czas?

- Nawet całą noc.

Sporo czasu zajęło im wejście na górę. Nawet za cenę nagrody, która go czekała na końcu tej drogi, nie potrafił ani na chwilę odsunąć się od Gemmy, nie chciał przestać jej całować i przytulać. Ciągłe małe mu było jedwabistego dotyku jej skóry, ciężaru nabrzmiałych piersi, ciepła oddechu.

W dużym, wygodnie urządzonej pokoju stały ciężkie meble z drzewa orzechowego, w oknach

wisiały delikatne firanki, które lekko wydymał wiatr. Gemma oderwała się od niego na chwilę, żeby zapalić trzy pastelowe świece stojące na toalecie. Kiedy ponownie się odwróciła, oparła dłonie o pierś Farrella i uniosła głowę, żeby znów go pocałować. Na zmianę zdejmowali z siebie ubranie. Najpierw Gemma ściągnęła mu sweter przez głowę i rozpięła guziki koszuli, potem Farrell rozsunął zamek jej bluzki. Ona odpięła mu sprzączkę od paska, on zsunął z jej bioder majteczki.

Była tak piękna, jak to sobie wyobrażał. Nie miała figury lekkoatletki, lecz wąską talię, pełne piersi i szerokie biodra. Ciało stworzone do rodzenia i karmienia dzieci. Nigdy nie widział takiego pięknego zjawiska.

Farrell nie poczuł zmieszania, gdy się kładł na łóżku, Gemma nie zawahała się nawet przez chwilę, wtulając się w jego ramiona. Nogę wsunęła między jego nogi, ręką głaskała jego tors i brzuch, aż pożądanie całkiem nim zawładnęło.

Usta Gemmy wędrowały po jego ciele, Farrell poznawał ją równie dokładnie, pieszcząc rękami, wargami, całym ciałem. Kiedy w nią wszedł, wyruszyła mu naprzeciw, jakby zawsze na niego czekała.

Nie wyobrażał sobie, że kiedyś znajdzie tyle szczęścia. Raz tylko odważył się przerwać ciszę.

- Gdybym wiedział, co znaczy kochać się z tobą, nie byłbym w stanie trzymać się od ciebie z daleka - wyszeptał wtulony w jej szyję chwilę przed tym, nim jej ciało w całkowitym spełnieniu wygięło się w łuk.

Kiedy później zasnęła w jego ramionach, uświadomił sobie, co powiedział. Co więcej, wiedział doskonale, że właśnie to miał na myśli. Nigdy nie śmiałyby wyobrazić sobie, jak to będzie zakochać się w Gemmie Hancock i być przez nią kochanym. Teraz, kiedy już to wiedział, zrozumiał, jak trudno będzie od niej odejść.

Mimo nauk pobranych w dzieciństwie oblał dziś swój końcowy egzamin. Nie zdołał umknąć przed marzeniami, pozwolił się ogłupić nadziei. Dziś podarował tej kobiecie klucz do swego serca.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

- On wchodzi tu z dwoma, trzema innymi. - Stary człowiek, właściciel sklepu na Orchard Avenue, z podniecenia machał rękami, jakby próbował narysować opisywaną scenę. - Ja go obserwuję. On patrzy na towar, o tak... - Zmrużył oczy, przesunął wzrokiem od Farrella do lady i z powrotem, jakby chciał się upewnić, czy jest dobrze rozumiany.

Farrell schował zdjęcie do teczki. Prawie miesiąc od pierwszego spotkania z kolegą Sheili upór Farrella zaczął przynosić efekty. Udało się namówić Maksa, żeby przyszedł na posterunek i przebrnął przez kartotekę. To właśnie on wskazał zdjęcie, które Farrell pokazał dzisiaj sklepikarzowi.

- Przyszedł mniej więcej o tej porze? - upewnił się Farrell.

- Trochę później. Może o dziesiątej, przed samym zamknięciem.

Przez dwa ostatnie wieczory Farrell demonstrował zdjęcie w każdym sklepiku i warsztacie w promieniu dwóch kilometrów od pralni, którą wskazał Max.

- A czy zdarza się, że towarzyszy mu kobieta?- Zawsze. - Stary człowiek z niesmakiem wykrzywił twarz. - Bardzo brudna kobieta, w brudnym ubraniu. Ją też obserwuję.

- Czy potrafi ją pan opisać?

- Ciemne włosy. Nie ma zęba na przodzie.

- Cieszę się, że jest pan tak spostrzegawczy.

- Chce pan zostać, żeby sprawdzić, czy tu wróca?

- Najpierw zadzwonię na posterunek. Mogę skorzystać z telefonu?

Sklepikarz zaprowadził Farrella na zaplecze. Archie był jeszcze na posterunku.

- Nie podejmuj żadnej akcji, póki nie przyślę wsparcia - polecił Farrelowi. - Zawiadomię Jeffriesa i już do ciebie jadę.

- Tylko bez mundurowych.

- Znam się na swojej robocie.

Farrell odłożył słuchawkę. Ciekawe, czy wreszcie trafi na matkę Mary? Przez chwilę próbował sobie wyobrazić, co powiedziałyby na to Gemma.

Ostatnio całkiem zaprzętała jego myśli. Od

kiedy zostali kochankami, była obecna w jego marzeniach, snach, planach na przyszłość. Kiedy nie był z nią, rozmyślał, co będą robić, gdy się spotkają. Niby prowadzili oddzielne życie, ale czas, który spędzali osobno, był właściwie przygotowaniem do chwil, które spędzą razem.

Wiele rozmawiali o śledztwie, które prowadził, żeby odnaleźć matkę Mary, mówili też o milionie innych spraw. Wiedział, że Gemma rozumie, dlaczego wręcz obsesyjnie pragnął zapewnić Mary stały dom rodzinny, nie był jednak pewien, czy kiedykolwiek wybaczyłaby mu, gdyby coś poszło nie po ich myśli. Zresztą, gdyby w wyniku jego działań zabrano Mary spod czulej opieki Gemmy i zwrócono maltretującym ją rodzicom, sam nie potrafiłby tego sobie wybaczyć.

Wrócił do sklepu poinstruować właściciela, jak ma się zachowywać podczas akcji, po czym wszedł między regały, gdzie z ogromną uwagą zaczął oglądać konserwy.

Drzwi otworzyły się i do środka wmaszerował wysoki mężczyzna w sportowym stroju. Archie rzucił okiem na Farrella i zajął się półkami, na których stały pudełka płatków śniadaniowych. Po dziesięciu minutach dołączył do nich Jeffries, którego zainteresowały mrożonki.

Farrell zdawał sobie sprawę, że takie improwi-

zowane akcje rzadko przynoszą efekty, modlił się jednak gorąco, żeby ta okazała się wyjątkiem.

Minęło pół godziny, zbliżała się dziesiąta. Farrell przeszedł do części warzywnej i właśnie ważył pieczarki, gdy drzwi otworzyły się ponownie. Nie drgnął nawet, a kiedy powoli odwrócił głowę, zrobił to jakby wiedziony niewinną ciekawością.

Do środkowego rzędu półek zmierzało dwóch mężczyzn i kobieta. Rozpoznał jednego z mężczyzn, choć w rzeczywistości ten facet wyglądał trochę lepiej niż na zdjęciu zrobionym przez policyjnego fotografa. Kobieta była tęga, miała długie, niechlujne włosy i puste spojrzenie, ale dało się zauważyć podobieństwo do Mary. A kiedy odezwała się do mężczyzny, Farrell natychmiast zauważył braki w jej uzębieniu. Był całkowicie pewien, że ma przed sobą matkę dziewczynki.

Pochwycił spojrzenia Archiego i Jeffriesa. Jak na komendę wszyscy trzej ruszyli do drzwi. Po chwili, bez zbędnego zamieszania, wyprowadzili klientów sklepu do samochodu Jeffriesa.

- Sally? - Farrell zamknął akta, które przeglądał. Jeffries stał oparty o drzwi, z założonymi na piersi rękami. Zgodził się, żeby Farrell przesłuchał matkę Mary, sam postanowił obserwować

rozmowę. - Mogę tak się do pani zwracać? - spytał Farrell.

- A nazywaj mnie sobie, jak chcesz. Nie zareagował na jej zaczepny ton.

- W porządku, Sally.

- Nic na mnie nie masz. Za co mnie aresztowaliście?

- Chcemy zadać ci kilka pytań - powiedział uprzejmie.

- Nie mam nic do powiedzenia. W ogóle nie muszę gadać, jeśli nie dostanę adwokata.

- To prawda. Myślałem jednak, że chcesz posłuchać o swojej małej.

Twarz Sally pozostała bez wyrazu.

- Jakiej znowu małej?

- Może przypomnę ci, że twoja córka ma świadectwo urodzenia. Skoro znamy twoje nazwisko, bez problemu możemy je odszukać, a wtedy powiążemy ją z tobą, ot tak. - Strzelił palcami.

Sally, czyli jak wynikało z papierów, które miała w torebce, Sally Margaret Matthews, lat dwadzieścia, urodzona i zamieszkała w tym mieście, wzruszyła ramionami.

- I co z tego?

- Nie obchodzi cię, co się dzieje z Mary? Wreszcie przestała udawać.

- Czytam gazety.

- Wiesz więc, że nic się jej nie stało. Znów wzruszyła ramionami.
- Tak myślę.
- Dasz sobie radę sam? - przerwał przesłuchanie Jeffries.
- Jasne.

Kiedy Jeffries wyszedł, Farrell zajął miejsce przy stole naprzeciwko Sally. Wiedział, że kolega wraz z Archiem będą obserwować pokój przesłuchań przez weneckie lustro. Sally jednak nie zdawała sobie z tego sprawy.

- Byłem tam w dniu obławy - powiedział. - To właśnie ja znalazłem Mary w szafie.
- Nie wsadzałam jej do żadnej szafy.
- Nie?
- W ogóle mnie tam nie było. Ktoś inny się nią opiekował.

Pokiwał głową, jakby jej wierzył, a kiedy z wyraźną ulgą odetchnęła, rzucił:

- Widział cię jeden z sąsiadów, więc nie opowiadaj bajek.

Sally skuliła się na krześle.

- Nie wsadzałam jej do szafy. Spała w łóżku, kiedy widziałam ją po raz ostatni. Musiałam szybko się zwijać, nie miałam czasu się nią zajmować.

Znów kiwnął głową, jakby jej słowa wcale go nie szokowały.

- Była potwornie wystraszona.
- Przecież nie przeze mnie. To wy włamaliście się do domu, kiedy spała.
- Sąd nie jest zbyt pobłażliwy dla matek, które porzucają dzieci. Nie próbowałaś się o nią dowiedzieć, prawda- Nie starałaś się jej odszukać?
- Co z tego?- Jest ślicznym dzieckiem. - Odchrząknął.
- Czasami ją widuję.

Sally nie sprawiała wrażenia, jakby ją to cokolwiek obchodziło.

Postanowił zmienić taktykę.

- Zrobiłbym niemal wszystko, żeby już nigdy jej nie skrzywdzono - powiedział z uczuciem.

Tym razem kobieta okazała zainteresowanie.

- Coś takiego!
- Naprawdę. - Ze smutkiem pokręcił głową.
- Nie mam własnych dzieci, a Mary jest dla mnie jak córka.
- Tak? - Sally odrzuciła do tyłu tłuste włosy.
- Czy jej ojciec czasem ją widuje?
- Skąd mam to wiedzieć? - Uśmiechnęła się szeroko. - Nie wiem, kto jest jej ojcem.

Pokiwał głową. Dłonie, które trzymał pod stołem, zacisnęły mu się w pięści.

- Ona potrzebuje ojca.
- Może i potrzebuje. - Ciągłe się uśmiechała,

ale oczy się jej zwięziły. - Chyba powinnam kogoś jej znaleźć, co?
Czekał, wstrzymując oddech, co powie dalej.

- Mam duże kłopoty? - spytała, zmieniając nagle temat.

- Raczej tak.

- Mógłbyś mi pomóc.

- Jak to sobie wyobrażasz, Sally?

- No, moglibyśmy dojść do porozumienia, rozumiesz, ty i ja.

Zrobiło mu się niedobrze, chociaż właśnie na to czekał.

- O jakie porozumienie ci chodzi ?

- Mary potrzebny jest tatuś, a ty chciałbyś ją wziąć.

- Więc?- Więc ja mogę ci ją oddać, ale muszę dostać
coś w zamian...

- To znaczy, sprzedasz mi Mary za przysługę?

- No, coś w tym stylu - odrzekła wymijająco. Odchylił się na krześle i przymknął oczy.

Głowa Gemmy spoczywała na ramieniu Farrella. Nie wiedział, czemu nic nie powiedział o odnalezieniu matki Mary. Przyszedł tu późno, długo po przesłuchaniu Sally Matthews.

Jeffries wrócił do pokoju i już razem wyjaśnili Sally, że narobiła sobie dodatkowych kłopotów, próbując sprzedać

córkę Farrellowi. Handel dzieckiem, bez względu na sposób zapłaty, zawsze jest karalny. Jeszcze nie powiedział o tym Gemmie, chociaż przyszedł z takim zamiarem. Jednak kiedy znalazł się w domu, natychmiast wziął ją w ramiona. Teraz leżeli w sypialni wyczerpani miłością. Wiedział, że za chwilę Gemma zapadnie w sen.

Serce rozpierała mu radość. Dawno temu porzucił dziecięce marzenia o miłości. Nie wierzył, że potrafi kogoś pokochać ani że sam może stać się obiektem uczuć. Gemma znalazła się w jego życiu przypadkiem i niewiele brakowało, żeby ją utracił. A tymczasem ona z iskiarki, która nadal się w nim tliła, której nic nie zdołało ugasić, roznieciła płomień. Tak bardzo ją kochał. Chciał jej o tym powiedzieć, lecz nie potrafił. Brak mu było doświadczenia. Kiedyś jednak będzie musiał spróbować...

- Gemma?

- Hmm...?

- Nie wiedziałem, że mogę być tak szczęśliwy. Mruknęła cicho z zadowolenia.

- Ani ja.

- Ale ja nawet tego nie chciałem.

- Raczej nie wiedziałeś, że tego chcesz.

- Może... - Pogłaskał jej włosy. - Nie chcę, żeby to się skończyło.

Milczała, ale się nie odsunęła.

Jak ma jej powiedzieć, co czuje? Ona nie miała kłopotów z mówieniem o emocjach, on ciągle nie potrafił znaleźć właściwych słów.

Zamiast więc mówić o uczuciach, postanowił opowiedzieć o wydarzeniach wieczoru.

- Przyszedłem dziś, żeby ci coś powiedzieć. Wcale nie myślałem, że będziemy się kochać.

- A co, przepraszasz mnie za to? Roześmiał się.

- Chyba żartujesz. Dotknęła jego twarzy.

- Lubię, kiedy to robisz.

- Co?

- Śmiejesz się w ten sposób.

- Faktycznie, ostatnio robię to znacznie częściej niż kiedykolwiek.

- Zgadza się.

- Muszę ci o czymś powiedzieć. Możesz mnie wysłuchać? Nie śpisz?

Poczuł, jak napięły się jej mięśnie.

- Nie, mów.

- Mary niedługo będzie oddana do adopcji. Podniosła się gwałtownie i zajrzała mu w oczy.

- Co takiego?

- Dziś znaleźliśmy jej matkę. Zgodziła się zrzec swoich praw.

- Dlaczego?

Miał nadzieję, że zdoła pominąć ten fragment

milczeniem, ale Gemma chciała poznać wszystkie szczegóły.

Słuchała w milczeniu.

- Próbowwała wymienić Mary na swoją wolność? Dobrze zrozumiałam?

- Nie miała do prehandlowania nic innego.

- A jeśli zmieni zdanie?

- Zrozum, ona nie chce Mary. To było jasne od początku. A teraz, kiedy trzech gliniarzy słyszało, jak próbuje dokonać tej transakcji, nie może już nikogo zwodzić.

- Co się z nią stanie?

- Ma już dość pokaźną kartotekę, ale to głównie drobne przestępstwa. Co prawda porzuciła dziecko, lecz ponieważ próbuje to naprawić, oddając Mary do adopcji, sędzia pewno okaże się dość wyrozumiały. Jeśli nie ma bezpośrednich powiązań z handlarzami z Keller Avenue, dadzą jej wyrok w zawieszeniu... aż do następnego aresztowania.

- Czyli Mary jest naprawdę bezpieczna? To pewne?

- Rozmawiałem z Marge Tremaine. Już ruszają z całą papierkową robotą. A jeśli chodzi o wniosek w sprawie adopcji Mary, Marge mówi, że już powinnaś zacząć go wypełniać. -

Nabrał głęboko powietrza. - Albo raczej: my możemy.

- My?

Farrell potrafił unikać pocisków, śledzić przestępców, nie tracąc ich z oczu nawet w największym tłoku w godzinach szczytu, zakuwać w kajdanki i transportować mężczyzn dwa razy większych od siebie, ale nic do tej pory nie wydawało mu się tak niebezpieczne, jak słowa, których musiał teraz użyć.

- Wiem, że znamy się dopiero od niedawna... Milczała. Najwyraźniej nie zamierzała przyjść mu z pomocą.

- Nigdy nie myślałem o małżeństwie ani o dzieciach. Uważałem, że nie mam nic do zaoferowania rodzinie. Pewno trudno w to uwierzyć, jednak zmieniłem się, dzięki tobie i Mary. Z licznych domów zastępczych wyniosłem naukę, że należy bezzwłocznie korzystać z każdej szansy, żeby coś zdobyć. Inaczej okazja może się nie powtórzyć.

- Farrell, ja...

Położył jej palec na ustach.

- Chcę z tobą spędzić życie. Z tobą, z Mary i naszymi własnymi dziećmi. Wiem, że to nastąpiło zbyt gwałtownie, że powinienem dać ci trochę czasu, ale ponieważ chodzi o adopcję Mary, nie mogę zwlekać. Pewno nie wierzysz...

Tym razem ona poprosiła o ciszę, kładąc palec na ustach Farrella.

- Zaczekaj, proszę. Teraz ty musisz mnie wysłuchać.

Wyglądała, jakby miała się rozplakać. Zastygł w bezruchu. Czyżby przez te wszystkie tygodnie źle ją rozumiał? Uwierzył, że było między nimi coś więcej niż namiętność.

Zobaczył miłość tam, gdzie było tylko pożądanie. Zbyt się pospieszył...

Usiadła, odsuwając się od niego. Po chwili podniosła się, włożyła szlafrok, który ściągnęła z krzesła, i przysiadła na brzegu łóżka.

- Właściwie nigdy nie opowiadałam ci o moim małżeństwie.

- To przecież nie ma znaczenia.

- Jednak muszę ci powiedzieć. Chcę, żebyś zrozumiał...

Co miał jeszcze zrozumieć? Nie chciała wyjść za niego i wspólnie z nim adoptować Mary.

To jedno było dla niego najzupełniej jasne.

Jego głos znów stał się dudniący, matowy; taki sam jak dawniej, nim ją poznał.

- Nie musisz się tłumaczyć. Wystarczy powiedzieć, że nie chcesz za mnie wyjść.

Owinęła się szczelniej szlafrokiem.

- Czy pamiętasz, jak opowiadałeś Marge o swoim dzieciństwie?

- A co to ma do rzeczy?

- Jedynie w ten sposób potrafiłeś nam wyjaś-

nić, dlaczego sprawa Mary jest dla ciebie taka ważna. Ja muszę zrobić to samo.

Nie chciał tego słuchać. Jej stosunki ze zmarłym mężem nie miały z nim nic wspólnego, wolał jednak, żeby nie przestawała mówić.

- Pobraliśmy się z Jimmym latem, po skończeniu studiów. Był inteligentny, przystojny, czarujący pod każdym względem. Gdyby przeprowadzono wtedy wybory na studenta z największą szansą na błyskotliwą karierę, Jimmy wygrałby w przedbiegach. Myślałam, że złapałam Pana Boga za nogi. Wszyscy go kochali i ja też byłam przekonana o swoim uczuciu.

- Zupełnie jak w bajce. Ciągle jednak nie rozumiem, co to ma wspólnego ze mną? Nie zwracała na niego uwagi.

- Minał rok, potem drugi. Nagle zaczęłam dostrzegać rzeczy, których wcześniej nie widziałam. Widocznie byłam zbyt młoda i niedojrzała. Wszyscy kochali Jimmy'ego, ale on kochał tylko siebie. Świat kręcił się wokół niego. Wiedział, jak dostać to, czego chce. Nie miał skrupułów. Jeśli trzeba było, kłamał, manipulował ludźmi i wykorzystywał ich bez oporów. Każda metoda była dobra, jeśli prowadziła do celu.

Patrzyła na Farrella, ale doskonale rozumiał, że w tej chwili ma przed oczami swoją przeszłość. Najwyraźniej nie podobało jej się to, co widziała.

- Od najmłodszych lat uczono mnie, że należy troszczyć się o innych - ciągnęła swoją opowieść. - Moja mama zajmowała się domem i naszym wychowaniem. Uwielbiałam ją i chciałam być do niej podobna. Moi rodzice byli szczęśliwi, więc kiedy wyszłam za Jimmy'ego, chciałam żyć jak oni. Tak bardzo mi na tym zależało, że starałam się nie zauważać tego, co mnie w nim niepokoiło.

- Nadal nie wiem, czemu mi to mówisz? Uważasz, że jestem do niego podobny?

- Nie! - Gwałtownie pokręciła głową. - W niczym go nie przypominasz. Byliśmy małżeństwem przez pięć lat, nim zrozumiałam, że zwodzi mnie w sprawie założenia rodziny. Chciałam mieć dzieci, Jimmy obiecywał, że będziemy je mieli, ciągle jednak znajdował jakieś wymówki. Wtedy już poznałam go dobrze i zaczęłam mieć poważne wątpliwości co do sensu trwania naszego małżeństwa. Rodzice przeprowadzili się na Florydę, postanowiłam więc odwiedzić ich i zastanowić się nad dalszym życiem. Miałam dwadzieścia siedem lat i stało się dla mnie jasne, że poślubiłam mężczyznę, dla którego w życiu liczyły się rzeczy, a nie ludzie. Do Jimmy'ego dotarło chyba, że mogę odejść. Był wtedy szefem działu handlowego w bardzo konserwatywnej firmie, która dbała o swój wizerunek i ceniła życie rodzinne, więc rozwód byłby źle widziany. Pewnego dnia, już

w czasie mojej nieobecności, dyrektor spytał go o plany osobiste i Jimmy uznał, że dzieci znakomicie poprawią jego notowania.

- Powiedział ci o tym?

- Zrozumiałam to później. Znał mnie dość dobrze, więc zdawał sobie sprawę, że gdybym coś podejrzewała, nie zgodziłabym się z nim zostać ani tym bardziej urodzić dziecka.

Przyjechał na Florydę. Płakał, powtarzając, że nie może beze mnie żyć. Błagał, żebym poszła z nim na terapię rodzinną. Byłam wniebowzięta. Wróciłam do domu, przez kilka miesięcy brałam udział w terapii, a Jimmy nabierał i mnie, i terapeutę. W końcu powiedział, że chce mieć dzieci. Uwierzyłam mu, bo sama ich bardzo pragnęłam.

- Ale nie mieliście dzieci?

- Szybko zaszłam w ciążę, ale była to ciąża pozamaciczna. - Patrzyła mu teraz prosto w oczy. - Nie chciałam przyznać, że coś jest źle i zbyt długo zwlekałam z wizytą u lekarza. Straciłam dziecko, a także szanse na ponowne zajście w ciążę. Nie mogę mieć dzieci, Farrell. Żeby mnie uratować, wycięto mi macicę.

- Gemma...

Potrząsnęła ostrzegawczo głową.

- Nie byłam aż tak załamana, jak można by przypuszczać. Cierpiałam strasznie, ale wiedziałam, że przecież możemy adoptować dziecko. Ale

Jimmy miał inne plany. Odczekał, aż wyjdę ze szpitala, po czym poinformował mnie, że chce rozwodu.

- I gdzie tu sens? - nie wytrzymał Farrell. - Skoro nie chciał dzieci, miał teraz problem z głowy. Poza tym jego praca...

- A jednak... Pracował już w innej firmie, w której nikogo nie interesowało życie rodzinne pracowników. Ale Jimmy, choć nie był pewien, czy kiedykolwiek zechce mieć dzieci, bez wątpienia wiedział, jakiej żony pragnie. Uważał też, że jego obowiązkiem jest przekazać przyszłym pokoleniom swoje wyjątkowe geny. Wszystko, co posiadał, musiało być idealne, a w jego oczach ja przestałam być ideałem.

Próbowała skończyć tę historię, jakby dotyczyła kogoś innego. Ale kiedy spojrzała na Farrella, dostrzegł w jej oczach rozpacz.

- Jimmy wyprowadził się. Całe miesiące siedziałam jak martwa w domu. Zawsze pragnęłam dzieci, teraz nie mogłam ich urodzić. Chciałam być żoną mężczyzny, który przypominałby mojego ojca, a tymczasem mój mąż nie miał w sobie za grosz zmysłu rodzinnego. W przeciwieństwie do mnie Jimmy nie zaszył się w domu. Poznał dziewczynę, która go wielbiła i mogła mu urodzić nawet tuzin dzieci. Jednak w dniu poprzedzającym podpisanie papierów rozwodowych, Jimmy

wymusił pierwszeństwo na skrzyżowaniu. Nie chciał dostrzec, że ktoś inny ma prawo jechać, i to go zabiło.

Westchnęła ciężko.

- Jimmy nie miał głowy do przyziemnych spraw. Nie zaczął nawet wprowadzać zmian do testamentu, więc nadal po nim dziedziczyłam. Polisy ubezpieczeniowe kupował jak wszystko inne: wyłącznie największe i najlepsze. Sam powiedz, czy to nie ironia? Jimmy zostawił mi tyle pieniędzy, że przez resztę życia będę mogła wychowywać dzieci innych ludzi.

Wiedział, że słowa, których teraz użyje, będą najważniejsze w jego życiu. Chciałby nauczyć się mówić o swoich uczuciach.

- Tak mi przykro. Wiem, jak potwornie cię skrzywdzono. - Pragnął ją przytulić, ale domyślał się, że na to jeszcze za wcześnie. - Twój mąż był zwykłym draniem.

- To prawda.

- Powiedziałaś jednak, że ja w niczym go nie przypominam.

- Oczywiście, że nie. Jimmy potrafił mówić o wszystkim. Co czuje, co powinien czuć, co jego zdaniem powinnam myśleć, że on czuje. - Wzruszyła ramionami. - Potrafił tak czarować, że owijał sobie ludzi wokół palca. Nawet moja rodzina dała się nabrać. Mówił zawsze to, co

- chciałam usłyszeć. Ty nie ukrywasz prawdy, bez względu na to, czy chcę ją znać, czy nie.
- Rozumiem, dlaczego może być ci trudno zaufać ponownie mężczyźnie - zaczął ostrożnie.
 - Ależ ja ci ufam.
 - W takim razie co to ma z nami wspólnego? Czy chodzi ci o to, że się boisz? A może potrzebujesz więcej czasu? Dam ci tyle czasu, ile tylko chcesz, nawet jeśli miałyby to utrudnić formalności z adopcją. Mogę...
 - Farrell, nie mogę za ciebie wyjść, bez względu na to, co czuję. Byłam mężatką prawie siedem lat, oddałam mężowi wszystko. A na zakończenie wyrzucił mnie ze swego życia, bo nie mogłam urodzić dziecka.
 - Myślisz, że dla mnie ma to jakieś znaczenie?
 - Oczywiście! - Odetchnęła głęboko. - Nawet przed chwilą mówiłeś o naszych wspólnych dzieciach, prawda?
 - Nie wiedziałem, że nie możesz zajść w ciążę. Nigdy bym tego nie powiedział, gdybym znał prawdę, uwierz mi!
 - Na pewno. Jesteś dobrym człowiekiem. I honorowym. Ożeniłbyś się ze mną bez względu na wszystko. Jednak kiedyś, patrząc na innych, mógłbyś żałować, że nigdy nie będziesz tulił w ramionach własnego dziecka.
 - Gemma, to nie tak...

- Nigdy nie miałeś własnej rodziny. Nigdy! Żeniąc się ze mną, pozbawiłbyś się szansy, że kiedyś będziesz ją miał. Wiem, jakie to dla ciebie ważne. Ja mam rodzinę, mam siostrzeńców. Włosy Marka mają ten sam kolor co moje, a Shawn wygląda dokładnie jak ja na zdjęciach z dzieciństwa. Nie muszę urodzić dziecka, żeby mieć rodzinę. Mogę kochać siostrzeńców i Mary, i inne dzieci, które będę wychowywać. Jednak nie mogę kochać ciebie, bo wiem, że *prędzej* czy później znienawidzisz mnie, bo pozbawiłam cię możliwości zostania ojcem.

Jeśli nie zdoła jej przekonać, nie mają szans na wspólną przyszłość. W tym, co powiedziała, uderzyły go dwie sprawy. Przede wszystkim Gemma wierzyła w to, co mówi. Tak bezgranicznie, że dziś na pewno nic nie mogłoby wpłynąć na zmianę jej stanowiska. Jednak z drugiej strony chyba wcale nie chciała w to wierzyć. W jej sercu była ziejąca rana, którą zadał jej były mąż. Zeby ją zaleczyć, trzeba zastosować specjalną terapię. Gemma uzdrowiła jego serce, a przynajmniej zaczęła kurację. Teraz jego kolej, by znaleźć właściwe lekarstwo i pomóc Gemmie. Miał wrażenie, że wie, co mógłby zrobić, choć będzie to dla niego bardzo bolesne.

- Zupełnie nie masz racji - zaczął łagodnie, biorąc ją za rękę.

Pozwoliła mu na ten gest, ale jej dłoń była bezwładna, bez życia.

- Mylisz się.

- Starczy na dziś. - Uścisnął jej dłoń, po czym sięgnął po ubranie. - Zarezerwuj sobie jutrzejszy wieczór. Przyjdę po kolacji. Wtedy dokończymy naszą rozmowę.

- Wszystko już powiedzieliśmy, Farrell.

- Nie, to ty mówiłaś. Teraz moja kolej. Musi być sprawiedliwie.

- Nie zmienię zdania, bez względu na to, co powiesz.

- Nie zamierzam nic mówić. Chcę ci tylko coś pokazać. Nie wszystko ci dzisiaj wytłumaczyłem, bo brak mi doświadczenia... - Odwrócił się i spojrzał jej prosto w oczy.

- Farrell, proszę, nie...

- Kocham cię i sądzę, że ty mnie też kochasz. Wiem, że to się dzieje zbyt szybko i nie chcesz w to uwierzyć. Ja jednak odnalazłem wreszcie swoje szczęście, choć już przestałem w to wierzyć. Nigdy nie przestanę o ciebie walczyć. To, co powiedziałaś, nie ma żadnego wpływu na moje uczucia. Nic też nie zmieni mojego postanowienia. Chcę z tobą założyć rodzinę. Prawdziwą rodzinę.

Obszedł łóżko i ułożył jej głowę na swoich kolanach.

- Idź już spać. Nie myśl o tym teraz. Po prostu śpij. Jutro się wszystkim zajmiemy.
Czuł na skórze jej mokry policzek. Głaskał jej włosy i zastanawiał się, czy zdoła ją jutro przekonać. Modlił się, żeby tylko starczyło mu odwagi.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Gemma z rozczeniem patrzyła na bawiące się w berka dzieci. Mary uciekała, Shawn próbował ją dogonić. Katy miała umówioną wizytę u lekarza i poprosiła siostrę o zaopiekowanie się synkiem. Od pikniku u Patty maluchy spotykały się dość często. Po każdej wizycie Shawna Mary wydawała się rozwijać w oczach, tak jakby potrzebny był jej model, jakiś wzór, by mogła nauczyć się odpowiednich zachowań. Shawn z kolei przyzwyczajał się do zabawy z młodszym dzieckiem, co w tej chwili było szczególnie przydatne, bo Katy, jak zdradziła Gemmie w czasie lunchu, ponownie zaszła w ciążę. Teraz Shawn zwolnił. Widocznie przeczuł, że doganiając Mary, zakończy zabawę. Mary podbiegła do sieci z lin oplatającej statek piracki i chichocząc, zaczęła się wspinać, coraz wyżej i wyżej.

Gemma wstrzymała oddech z zachwytu. Jej przybrana córeczka nie zatrzymała się ani nawet nie zawahała, póki nie dotarła na sam szczyt. To naprawdę ogromny postęp. Mary już dawno przestała trzymać się kurczowo Gemmy i Farrella. Stała się ufna, widać było, jak dorasta pod każdym względem.

A któregoś dnia może zostanie jej prawdziwą córką.

Gemma opadła na ławkę i obserwowała, jak dziewczynka schodzi na dół. Pewno teraz zacznie się nowa zabawa. Mary będzie się wspinać i schodzić, póki nie zmęczy jej ta nowa umiejętność, Shawn zaś spróbuje wymyślić sposób, by wykorzystać talent Mary. Ciekawe, co przyniesie przyszłość? Czy Shawn nadal będzie dostosowywał się do zachowań kuzynki? Czy za dziesięć, piętnaście lat też pozostaną przyjaciółmi? Może się zdarzyć, że w okresie dorastania podzielą ich różne zainteresowania i pragnienia, a przyjaźń powróci dopiero w dorosłym życiu.

Jak by się nie stało, Gemma zawsze będzie na miejscu, dzieląc z Mary wszystkie troski i radości związane z dojrzewaniem. Może to robić dzięki Farrellowi Rileyowi.

Pod bosymi stopami czuła ciepło trawy. Poruszyła palcami, odrywając na chwilę oczy od dzieci. Nie ma sensu ciągle rozmyślać, tłumaczyła sobie

w duchu, bo choćby siedziała tak dzień i noc, nic to nie zmieni. Nie mogła mieć dzieci. Z powodu bezpłodności porzucił ją jeden mężczyzna; nie miała prawa prosić następnego, by dla niej rezygnował z rodziny.

Poprzedniej nocy po wyjściu Farrella nie zmrużyła oka. Bezskutecznie próbowała przekonać się, że nie ma racji, że jej bezpłodność nie jest wystarczającym powodem, aby rezygnować ze szczęścia. Kiedy Jimmy od niej odszedł, przysięgła, że nigdy już nie da się zranić. Woląca żyć samotnie, niż budzić litość.

Łzy zapiekły ją pod powiekami, wzięła więc głęboki oddech. Kochała Farrella Rileya. Wiedziała też, że nigdy nie kochała Jimmy'ego, tylko swoje wyobrażenie o nim. Farrell Riley był szczerym, namiętnym, czułym, pełnym tęsknoty mężczyzną. Zasługiwał na wspianą rodzinę.

- Ma.... - Mary przytruchtała do Gemmy. Rzuciła się jej na kolana, rączkami otoczyła jej szyję i wtuliła buzię w ramię. I ciągle powtarzała słowo, którego Shawn używał, zwracając się do Katy: - Ma...

- Och, Mary! - Gemma uścisnęła ją tak mocno, że dziewczynka zaczęła się wyrywać. Nie mogła powstrzymać łez wzruszenia.

- Ma...?-Mary zmarszczyła brewki i dotknęła jej policzka.

- To ze szczęścia, kochanie - wyjaśniła Gemma. Mary będzie jej najprawdziwszą córką. Właściwie już się nią stała. Gemma nawet nie śmiała marzyć, że to nastąpi tak szybko. Łzy wciąż płynęły jej po policzkach, kiedy głaskała włosy Mary, powtarzając jej imię. Pudełko ciążyło mu, jakby wyładował je ołowiem. Równie ciężko było mu na sercu. Wziął wolne popołudnie i spędził je na strychu, wykopując wspomnienia. Miał nadzieję, że nigdy już nie powtórzy się taki dzień. Wolałby ryzykować w najgorszych dzielnicach Harleton, niż grzebać się w swojej przeszłości. Jednakże, jeśli tylko w ten sposób miałby przekonać Gemmę, że chce z nią zostać na zawsze, gotów był bez mrugnięcia okiem wracać na strych każdego popołudnia.

Nie powiedział jej, o której przyjdzie, nie dał też znać przed wyjściem z domu. Miał nadzieję, że zastanie ją przy kolacji. Bardzo chciał zobaczyć Mary. Jeśli jego plan nie wypali, nie wiadomo, jak często będzie ją widywać. Przerazała go myśl, że mógłby stracić je obie.

Jako dziecko nie potrafił walczyć o swoje pragnienia. Teraz jednak nie był już dzieckiem. Zapukał energicznie do drzwi i czekając na odpowiedź, rozejrzał się wokół. Bratki w donicach ustawionych przy schodkach stuliły płatki

w gorącym popołudniowym słońcu. Pewno Gemma zapomniała je podlać. Trójkołowy plastikowy rowerek Mary leżał na boku, a suche liście zasypały poranne wydanie gazety, wciąż leżącej na ganku.

W drzwiach stanęła Gemma. Bez uśmiechu. Bez śladu makijażu.

- Myślałam, że przyjdiesz później - powitała go zdziwiona.

Chciał przyjść w porze kolacji, żeby ją zaskoczyć. Teraz widział, że mu się udało.

- Miałem nadzieję, że mnie nakarmisz. Przyniosłem deser. - Podał jej paczuszkę w firmowym opakowaniu cukierni. - Jeśli nie masz nic dla mnie, zjem tę szarlotkę.

Uśmiechnęła się, trochę jakby wbrew sobie.

- Nie uważasz, że powinniśmy porozmawiać, gdy Mary pójdzie spać? - spytała poważnie.

- Oczywiście. Poczekam.

Pokręciła niepewnie głową, ale zaprosiła go do środka. Teraz już wiedział, że nie da się wyrzucić, póki wszystkiego nie załatwi.

Zapadła niezręczna cisza, którą przerwała Mary, rzucając się Farrelowi w ramiona.

Gemma w ostatniej chwili złapała szarlotkę. Podniósł Mary jedną ręką, w drugiej z trudem utrzymując niesione pudełko.

- To też wziąć? - spytała Gemma.

- Położę w salonie. - Postawił pudełko na stole poza zasięgiem dziecięcych rączek. W kuchni patrzył, jak Gemma zagląda do lodówki.
- Dla Mary zamierzałam przygotować kotlet mielony. Jest też wczorajsza marchewka. Jeszcze nie zaplanowałam, co przygotuję dla siebie.
- Może zamówię pizzę? Zrobiła zdziwioną minę.
- Pizzę?
- No, tak. Ciasto, sos, salami, ser. Nie wymaga wiele wysiłku, wystarczy zadzwonić.
- Nigdy nie zamawiałam pizzy. Podejrzał, że jest znacznie więcej rzeczy, których nie nauczyła się w trakcie trwania pierwszego małżeństwa. Nie ma sprawy, nauczy się przy drugim mężu. Nie żenił się, żeby zapewnić sobie opiekę, ale po to, aby dzielić z tą kobietą życie.
- Usiądź - polecił. - Musisz tylko wybrać dodatki.
- Wszystko mi jedno.
- W takim razie ja zamówię. Najwyżej zdejmiesz to, co ci nie będzie smakować. Usiadła jak w transie. Uśmiechnął się, próbując w ten sposób pokryć brak pewności siebie i zakłopotanie. Powoli sięgnął po telefon. Kiedy po złożeniu zamówienia odkładał słuchawkę,

Gemma nadal siedziała bez ruchu, patrząc na niego jak na przybysza z kosmosu.

- No, a co z tym kotлетem? Naszej malutkiej może zasmakować pizza, ale na początek powinna dostać coś zdrowszego.

- Ojej! - Speszona Gemma poderwała się z krzesła.

- Usiądź - powtórzył. - Wyglądasz na wyczerpaną. Powiedz tylko, co mam robić.

Nie protestowała. Już po chwili pod jej nadzorem smażył kotlecik na małej patelni. Z lodówki wyjął marchewkę i wstawił ją do kuchenki mikrofalowej. Napełnił mlekiem plastikowy kubeczek, po czym posadził Mary w wysokim krzeselku i podał jej kromkę chleba z dżemem.

Kiedy postawił już przed dziewczynką talerz z kotлетem i marchewką, wyjął z lodówki dwa piwa. Przedłużającą się ciszę wypełniało paplanie Mary. Niektóre dźwięki przypominały najprawdziwsze wyrazy, właściwie wystarczyło tylko trochę poprzestawiać sylaby. Jeszcze trochę, pomyślał Farrell, a wyrośnie z niej straszna gaduła.

Na szczęście zamówione danie dostarczono bardzo szybko. Farrell zapłacił dostawcy i podzielił pizzę, odkładając mały kawałek dla Mary.

- Pokazałaś mi, jak wygląda twoje życie

- zwrócił się do Gemmy, siadając przy stole.

- Czas, żebyś dowiedziała się czegoś o moim.

Kiedy już za mnie wyjdiesz, będziesz miała wyobrażenie, czego się spodziewać.

- Farrell... Pokręcił głową.

- Jedz, bo wystygnie.

Mary okazała się miłośniczką pizzy. Pochłonęła swój kawałek, potem zjadła szarlotkę i nadała się, gdy nie dali jej więcej. Farrell wynagrodził jej rozczarowanie, nosząc ją na barana po całym domu, podczas gdy Gemma sprzątała w kuchni.

Wreszcie, po szczególnie długim galopie, Gemma przerwała zabawę i zabrała dziewczynkę do wanny. Ale to Farrell przeczytał jej bajeczkę na dobranoc i otulił Mary kołderką. Dziewczynka paluszkami pokazywała obrazki w książeczce, jakby starała się zapamiętać każde zwierzątko i przedmiot. Farrell nie miał wątpliwości, że kiedy tylko pozna potrzebne słowa, sama zechce czytać swoje książki.

Na wszelki wypadek zostawił uchylone drzwi, chociaż kiedy wychodził z pokoju, widział, że mała już zasypia. Zatrzymał się przy schodach, zbierając siły przed zejściem na dół.

Gemma czekała w salonie.

- Chcesz trochę szarlotki? - spytał. - I może zrobię kawę?

- Nie dam rady już nic zjeść.

- Dobrze, zostawimy na później.

Gemma spojrzała na niego z powątpiewaniem. Czy będzie jakieś „później”? Wyglądało na to, że me wydaje jej się to prawdopodobne.

- Mary cię uwielbia - powiedziała dość nieoczekiwanie.
- Wie, że ze wzajemnością - odparł.
- Świetnie sobie z nią radzisz. Masz takie naturalne podejście do dzieci.
- I kto by to pomyślał? - Usiadł koło niej. - Mam dla ciebie nowinę.
- Tak?
- Dostałem awans na detektywa.

- Wspaniale! - Pierwszy raz tego wieczoru dostrzegł błysk w jej oczach. - Naprawdę cudownie... Czy to niebezpieczne?

Uśmiechnął się, słysząc w jej głosie niepokój.

- Nie bardziej niż każde inne zajęcie w policji. Więcej czasu będę spędzał na prowadzeniu dochodzenia. Niestety, godziny pracy są mniej regularne, ale jeśli w jednym tygodniu popracuję dłużej, w następnym będę mógł to odebrać.

- Jestem z ciebie dumna.

Zastanawiał się, co jeszcze mógłby powiedzieć o awansie. Chętnie mówiłby o czymkolwiek, byle tylko odłożyć na trochę później sprawę, z którą przyszedł.

- Farrell, ja...
- Gemma, ja...

Powiedzieli to jednocześnie. Gemma zaczerwieniła się.

- Dużo o tym myślałam. Właściwie nie robiłam dzisiaj nic innego. I nadal...

Podniósł rękę.

- Chcę ci coś pokazać. Mogę? Potem ty będziesz mówić. Obiecuję, że cię wysłucham. Dziś jednak to ja chciałbym zacząć.

Zawahała się, lecz w końcu kiwnęła głową. Podniósł się i wziął pudełko, które wcześniej zostawił na stole.

- Usiądź bliżej - poprosił. - Będziesz lepiej widzieć.

Przesunęła się na kanapie.

- Co to takiego?

- To moje dzieciństwo. Moje życie.

Spakował te rzeczy z rozmysłem. Teraz rozłożył boki pudełka, żeby dobrze było widać zawartość. Najpierw podniósł zniszczony album oprawiony w grubą plastikową okładkę. Była rozdarta, ale została starannie sklejona taśmą. Jedna z opiekunek zdołała wyrwać album z rąk przyszywanego brata Farrella, nim chłopak zniszczył go do reszty. Potem pomogła naprawić okładkę i podarte strony. Właśnie tę kobietę zachował na zawsze we wdzięcznej pamięci.

Nie potrafił ładnie mówić, a teraz czekało go

najdłuższe przemówienie, jakie kiedykolwiek wygłosił.

- Wiesz już trochę o tym, jak dorastałem. Jednak do tej pory znasz tylko nieliczne fakty.

- Myślałam, że nie lubisz mówić o przeszłości.

- Nie lubię, jednak ponad wszystko zależy mi na tym, żebyś mnie dobrze poznała. - Ułożył album na kolanach i otworzył na pierwszej stronie. W powietrzu zawirował kurz. Farrell nie ruszał tych rzeczy od lat i chociaż dzisiaj starannie wytarł wszystko z wierzchu, nie zaglądał do środka.

Zdjęcie na pierwszej stronie znał na pamięć. Jako dziecko wpatrywał się w nie całymi godzinami. Później przestał i jakoś wcale mu tego nie brakowało.

- To moja matka. Na imię miała Noreen. Noreen Wakefield. Wychowała się na małej farmie w stanie Iowa. Wakefieldowie od pięciu pokoleń byli właścicielami tego gospodarstwa.

- Jaka ładna. - Gemma delikatnie dotknęła brzegu fotografii. - Jesteś trochę do niej podobny.

- Mówiono mi o tym.

Rzeczywiście przypominał kobietę ze zdjęcia. Te same ciemne włosy, prosty nos. Ale jego matka uśmiechała się z beztrąską właściwą młodości, jemu natomiast nigdy nie dane było poznać, co znaczy taka niefrasobliwość.

- Na tym zdjęciu ma siedemnaście lat. Dopiero skończyła szkołę i zaraz potem przeniosła się do Des Moines. Potem jeszcze wiele razy przeprowadzała się, wybierając coraz większe miasta, żeby tylko oderwać się od korzeni.

Przeszedł do następnej strony.

- To jej rodzice. - Zdjęcie, prawdopodobnie zrobione przestarzałym aparatem, było wyblakłe i nieostre. Dwoje ludzi stało na tle małego wiejskiego domu. Obok nich widać było zaparkowany samochód dostawczy. - Nigdy nie poznałem moich dziadków. Moja cioteczna babka, przyrodnia siostra dziadka, przysłała mi to zdjęcie, gdy byłem w szkole średniej. Pisała do mnie od czasu do czasu. Była stara i schorowana, a jednak, choć nie była moją krewną, starała się utrzymywać ze mną kontakt. Nazywała się Hattie.

Znów odwrócił kartkę i wskazał jedno ze zdjęć.

- To właśnie Hattie. - Odbitka była lepsza od poprzedniej. Hattie trzymała się sztywno, jej zniszczona twarz i ręce mogły świadczyć o tym, że nie pobrażała sobie w życiu i spędziła je na ciężkiej pracy.

- A to siostra Hattie, Clara. Nigdy jej nie poznałem. Chyba zmarła przed moim przyjściem na świat. - Kobieta na zdjęciu była podobna do Hattie.

Na następnej stronie nie było zdjęć, tylko mała przezroczysta torebka wypełniona pyłem.

- To ziemia z rodzinnej farmy. Gdy skończyłem szkołę i władze stanu Illinois nie potrafiły podjąć decyzji, co dalej ze mną zrobić, postanowiłem pojechać autostopem do Iowa. Hattie już nie żyła, ja jednak chciałem zobaczyć, gdzie mieszkała moja rodzina. Ziemia jest nadal uprawiana, ale należy teraz do jakiejś spółki rolnej. W domu trzymają siano.

Gemma podniosła oczy.

- Co się stało? Nikt z rodziny nie chciał tam zostać?

- W siedemdziesiątych latach farma została zlicytowana za długi - wyjaśnił krótko.

Zdjęcie na następnej stronie przedstawiało dwóch młodych ludzi stojących w zawadiackich pozach pod wielkim dębem.

- To Alfred i Gary, bracia mojej matki. Przez kilka miesięcy mieszkałem z Garym, póki państwo się w to nie wmieszało i nie odesłano mnie do zastępczych rodziców.

- Dlaczego? - spytała zaskoczona.

- Najpierw pokażę ci cały album, dobrze?

- W porządku - odparła, nie kryjąc jednak zdziwienia.

Do następnej strony przyklejono kilka listów.

- To listy od Hattie. Zachowałem wszystkie. To mój ojciec, Paul Riley - wskazał kolejną fotografię.

Mężczyzna w niczym nie przypominał Farrella. Miał szeroką twarz i kręcone jasne włosy. Ubrany był w tani garnitur ze sztucznego włókna, spod głęboko rozpiętej koszuli widać było trzy złote łańcuchy połyskujące na odsłoniętym torsie.

- To także mój ojciec. - Farrell odwrócił kolejną kartkę.

Zobaczyła wycinek z gazety. Ten sam mężczyzna o aroganckim, wręcz odpychającym wyrazie twarzy, tym razem jednak nie w garniturze i bez przebiegłego uśmiechu. Tytuł obok zdjęcia głosił: „Aresztowany podczas napadu”.

Nie patrząc na Gemmę, Farrell objaśniał dalej.

- Tu jest stenogram z rozprawy, która odbyła się zaraz po moim przyjeździe na świat.

Uzyskałem zgodę na odpis, gdy skończyłem dwadzieścia jeden lat.

- Jak to: rozprawy?

- Moja matka próbowała uzyskać od niego alimenty, ale on twierdził, że nie jestem jego synem. Być może miał rację. Od czasu do czasu widywałem Noreen przed jej śmiercią. Zdarzało się to na tyle często, że sąd nie pozbawił jej praw rodzicielskich. Nigdy mi nie chciała powiedzieć, czy Paul Riley rzeczywiście był moim ojcem. Sąd w każdym razie nie miał wątpliwości. Matce przyznano alimenty, ale w gruncie rzeczy nie wiadomo, po co, bo Paul Riley i tak nigdy nie miał pieniędzy.

Na ostatniej stronie znajdowały się wycinki prasowe o procesach i zasądzonych wyrokach. Wszystkie dotyczyły Paula Rileya.

Farrell zamknął album.

- Miałem jeszcze takie wycinki na temat mojej matki, jednak wszystkie podarłem i wyrzuciłem, kiedy ostatnio przeglądałem album. Właściwie nie potrafię powiedzieć, dlaczego. Noreen nie była ani o jotę lepsza od Paula, ale przynajmniej przyznawała się do mnie. Tak samo jak jej bracia opuściła farmę, nawet nie oglądając się za siebie. Pragnęła wygodnego życia. Kiedyś mi powiedziała, że bała się skończyć jak jej matka, zniszczona i zgorzkniała, postanowiła więc szukać innego sposobu na życie. Odrzuciła wszystkie zasady, jakie wpojono jej w dzieciństwie. Kradła, oszukiwała, wykorzystywała swoje ciało, żeby wyłudzić jak najwięcej od mężczyzn. Kiedy zaszła w ciążę, próbowała na tym zarobić. Nie udało jej się wyciągnąć pieniędzy od Paula, więc powierzyła moje wychowanie państwu.

- A twoi dziadkowie? Nie próbowali ci pomóc?

- Matka urodziła mnie dość późno. Dziadkowie byli starzy i dawno już przestali brać odpowiedzialność za czyny swoich dzieci. Alfred i Gary byli podobni do siostry. Naciągali wszystkich i wszelkimi sposobami starali się zdobyć to, co chcieli. Dziadkowie zaciągnęli dług hipoteczny,

żeby wybawić synów z kolejnych kłopotów. W końcu popadli w takie długi, że utracili farmę.

- Czemu jednak nie pomogli tobie? Przecież nie byłeś niczemu winny!

- W jednym z listów Hattie napisała, że dziadkowie byli prostymi, surowymi ludźmi, którzy mieli określony pogląd na świat. To, co nie przystawało do ich schematu, musiało być złe. Moja matka była zła, więc według nich byłem taki sam. No, a poza tym nie mogli pogodzić się z faktem, że jestem nieślubnym dzieckiem. Nigdy nawet do mnie nie napisali.

- Może to przez nich twoja matka stała się właśnie taka...

- Możliwe. A może wyszło mi to na dobre, że nie byli częścią mojego życia. Niestety, jak ci już wspomniałem, na krótką chwilę pojawił się w nim mój wujek. Gary wziął mnie do siebie, gdy skończyłem siedem lat. Myślę, że w papierach prezentował się całkiem dobrze. Żonaty, ze stałą pracą. Wcześniej pojawiały się jakieś zatargi z prawem, ale przekonano sąd, że to sprawy bez znaczenia, już zamknięte. Nikt się nie domyślał, jak wujek zamierza mnie wykorzystać.

- Nie rozumiem.

- Postanowił specjalizować się we włamaniach. Dostawałem lody i ze szczeniakiem

wziętym ze schroniska musiałem chodzić wzdłuż ulicy w tę i z powrotem, gdy tymczasem wujek rabował domy. Gdy pojawiał się policyjny radiowóz, miałem gwizdać. Ale Gary'emu zabrakło sprytu. Złapano go już podczas trzeciego skoku. Mnie oddano ponownie pod opiekę państwa, a pieska odesłano do schroniska.

- Farrell... - Gemma położyła rękę na jego dłoni. - Czemu mi to opowiadasz?

- Ci ludzie są moimi krewnymi. To moja krew. W najgorszym przypadku to kryminaliści, w najlepszym: ograniczeni, zgorzkniali prostytutki, którzy nie mieli w sercu krzty radości ani odrobiny miłości dla jedyne wnuka. Uważałem, że powinnaś to wiedzieć.

- Ale dlaczego? Czy sądzisz, że dla mnie jest ważne, jaka była twoja rodzina? Jesteś sobą i w niczym ich nie przypominasz.

Odczekał chwilę. Chciał dać jej czas na refleksję, żeby mogła się dobrze zastanowić nad tym, co powiedziała. W końcu podjął jej myśl:

- Rzeczywiście nie przypominam ich. Jestem inny. To kim jestem, osiągnąłem dzięki pewnym wyjątkowym ludziom, których spotkałem w życiu. Niczego nie zawdzięczam swoim najbliższym krewnym.

Gemma uważnie patrzyła na Farrella. Wiedziała, że nieczęsto opowiadał tę historię. Jednak nie

był zażenowany. Dawno już przerósł swoją rodzinę. Doskonale wiedział, co sobą reprezentuje, co nosi w sercu i po której stronie prawa powinien stać. Był dumnym, odważnym, pewnym swej wartości człowiekiem.

Nie umiała znaleźć odpowiednich słów. Nie można porównywać więzienia stanowego do Shore Haven. Rozumiała, co chciał jej przekazać. Pragnęła przytulić go i zapewnić, że ich rodzina będzie całkiem inna. Jednak ciągle brakowało jej odwagi. Czuła, że zbyt głęboko tkwi w swojej rozpacz, zbyt wiele odniosła porażek.

Farrell rozumiał jej wahanie. Sięgnął do pudełka po drugi album.

- Byłem w dziesięciu rodzinach zastępczych - podjął swoją opowieść. - Tylko cztery z nich zasłużyły na miejsce w tym albumie.

- To są Jensenowie. Spędziłem u nich tylko rok, ale Sarah nauczyła mnie czytać. Nie okazywała ciepła ani czułości, za to poważnie podchodziła do pracy. Byłem wtedy nieśmiałym siedmiolatkiem. W pierwszej klasie dwa razy się przeprowadzałem, na początku drugiej zabrał mnie Gary i w ogóle przestałem chodzić do szkoły. Kiedy dostali mnie Jensenowie, tak bardzo odbiegałem poziomem od rówieśników, że nauczyciele podejrzewali opóźnienie w rozwoju. Sarah nie zamierzała przyjąć tego do wiadomości.

Pod jej opieką chyba żadne dziecko

nie mogłoby pozostać opóźnione. Ćwiczyła ze mną każdego wieczoru aż do upadłego. I chociaż doprowadzała mnie do łez, nigdy potem nie miałem już kłopotów z nauką w żadnej z licznych szkół. Od niej się nauczyłem, że mogę osiągnąć wszystko, jeśli tylko włożę w to wystarczająco dużo wysiłku.

Uśmiechnął się. W albumie nie było zdjęcia Jensenów, tylko dziecięcy rysunek przedstawiający parę jasnowłosych, tęgich ludzi.

- A to moja pierwsza piątka. Oczywiście zasługa Sarah. To ona kupiła mi ten album. -

Odwrócił kartkę. - To natomiast pierwsze zestawienie dobrych ocen. Gdy przyniosłem je ze szkoły, Sarah uśmiechnęła się, chyba jedyny raz w życiu.

Gemma położyła dłoń na jego ramieniu.

- Nie musisz opowiadać dalej.

- Wydaje mi się, że muszę.

Pokazywał jej pozostałe pamiątki związane z domami, gdzie uczył się rzeczy potrzebnych w dorosłym życiu. Słuchała o Watkinsach, którzy nauczyli go, jak ma sobie radzić ze starszymi, silnymi chłopcami. O Petersonach, którzy dawali mu lekcje muzyki i kupowali ubrania, w których wreszcie nie różnił się od innych dzieci. O Lambertach, którzy byli obecni na każdym szkolnym zebraniu, a nawet na wszystkich meczach piłkar-

skiej drużyny młodzieżowej, chociaż przeważnie grzał wtedy ławkę.

Pogładził palcem zdjęcie niepozornej starszej kobiety.

- Pani Lambert pomogła mi naprawić ten pierwszy album. Kiedy pracownicy opieki społecznej chcieli ze względu na wiek usunąć mnie z systemu rodzin zastępczych, zagroziła, że wraz z mężem zaskarżą ich do sądu. Przyjechała na uroczystość ukończenia Akademii Policyjnej, chociaż była już wtedy śmiertelnie chora na raka. Te cztery rodziny stały się dla mnie bardzo ważne. Nie byli moimi krewnymi, ale dali mi wszystko i nauczyli, jak zostać mężczyzną.

Album ze zbiorem zdjęć i obrazków, listów i świadectw powędrował znów do pudełka.

Gemma miała oczy pełne łez. Farrell odwrócił do niej twarz.

- Miałaś rację, mówiąc, że potrzebna mi własna rodzina. To prawda, bo jest wiele rzeczy, które chcę przekazać swoim dzieciom. Chcę im powiedzieć, że osiągną wszystko, jeśli się mocno postarają, tak jak mnie nauczyła Sarah Jensen. Chcę im pokazać, jak dbać o siebie, tak jak to dla mnie zrobił Sam Watkins. Chcę wytłumaczyć im, jak ważne jest poznać siebie i umieć się dostosować. Tego nauczyli mnie Petersonowie. I wreszcie chcę, żeby widziały, jak ważne dla mnie jest to, co

robię i co czuję. Tego nauczyłem się od Lambertów. Rozumiesz?

Ujął jej rękę. Jego dłoń była ciepła i silna, zapewniała bezpieczeństwo.

- To właśnie chcę przekazać moim dzieciom. Swoje najlepsze cechy. Nie geny, nie dziedzictwo. Cechy człowieka, na którego wyrosłem mimo mojego dziedzictwa.

Pogodziłaś się ze swoją niepłodnością. Teraz musisz pogodzić się z tym, że ja ją akceptuję.

- Farrell...

Mówił bardzo powoli.

- Nieważne, skąd pochodzą moi synowie czy córki. Obchodzi mnie tylko to, kim jest ich matka.

Po jej policzkach płynęły łzy. Uzdrowiające, przywracające życie. Wcale nie zamierzała płakać. Przecież to głupie, gdy serce przepelnione jest nadzieją i miłością. Uniósł jej dłoń do ust.

- Wyjdź za mnie. Dziel ze mną życie. Stwórzmy prawdziwą rodzinę.

Wtuliła się w jego ramiona, jakby nigdy się od niego nie odsuwała. Gdy ją pocałował, oddała pocałunek. Oczami wyobraźni widziała rodzinę, którą założą, pełną miłości, ciepła, radosnego śmiechu.

Kiedy w końcu oderwała się od niego, kciukami starł jej łzy z policzków.

- Kocham cię - szepnęła. - I zawsze będę, nawet gdy już na świat przyjdą nasze wnuki i prawnuki...

- Ma?

W drzwiach, z paluszkami w buzi, stała Mary, za nią ciągnął się kocyk. Mary, pierwsze z wielu dzieci, które razem będą kochać i wychowywać. Farrell otoczył ramieniem Gemmę, drugą rękę wyciągnął do dziewczynki. Mary przebiegła pokój i wdrapała się Farrellowi na kolana.

Farrell Riley zamknął swoją rodzinę w gorącym uścisku.

Ferrarella Marie

Poznaj moją mamę 02

Przypadkowi znajomi



ROZDZIAŁ PIERWSZY

Najtrudniej było w nocy.

Wtedy wracała pamięć o tym, co dobre i co złe. Myśli tłoczyły się w głowie, nękały serce. Wszystkie złe wspomnienia dotyczyły straty Lorny, obracały się wokół problemu, jak sobie bez niej poradzić.

Można by oczekiwać, pomyślał J.T. Walker, jadąc wozem patrolowym, że po dwóch latach powinienem się z tym pogodzić. Z pustką i żalem.

Zresztą częściowo tak właśnie się stało. Przecież był tu nadal, żył, szedł przez życie, zmagając się z kolejnymi dniami. Wszystko wykonywał tyeraz w pełni świadomie, nie mechanicznie niczym manekin, jak wówczas, gdy dostał wiadomość. To przecież chyba o czymś świadczy

No, tak, pomyślał cynicznie, to na pewno świadczy o tym, że ocalałem. Pytanie tylko, po co?

Nie potrafił na nie odpowiedzieć. Lorna odeszła, a wraz z nią marzenia o rodzinie, zmiecione jednym bezmyślnym skreśleniem kierownicy, jedną straszliwą pomyłką popełnioną przez pijanego kierowcę rankiem w przeddzień Nowego Roku.

Wszystko się skończyło, ot tak.

A on został, by cierpieć i żyć, jak najlepiej potrafił, na świecie, który miał czelność wciąż się kręcić. Bez Lorny.

Bez śmiechu i radości.

Gdyby tylko nie został wtedy na kolejnym dyżurze, który wziął po to, żeby następny wolny dzień spędzić z żoną. Gdyby nie zaproponował jej, aby sama, nie czekając na niego, jechała do swoich rodziców, gdzie mieli się spotkać.

Gdyby tylko...

Cholera, znów zaczął się rozklejać.

Zły na siebie potrząsnął głową, odganiając myśli, tak jak mokry pies otrzepuje się, żeby strząsnąć wodę, która pokryła jego sierść. Myśli nie dawały się odrzucić tak łatwo jak krople wody, ale J.T. umiał sobie z nimi poradzić. Nie pozwalał, by przeszkadzały mu w policyjnej robocie. Patrolował ciemne ulice, sprawdzając, czy śpiącym mieszkańcom Bedford w Kalifornii nic nie zakłóca spokoju. Nie ma sensu prowadzić rozważań o przeszłości, o wydarzeniach, których

mimo najszczęśliwszych pragnień i najgorętszych modłów nie można było zmienić. Czy kiedykolwiek zdoła zaakceptować tę prawdę?

- Do cholery, Lorna, czemu mnie opuściłaś?

W pustym aucie pytanie odbiło się echem i zabrzmiało jak okrutna kpina. Zatrzeszczało radio, ale nie rozległy się żadne komunikaty ani wezwania. Wszędzie dokoła panował spokój.

Wszędzie, tylko nie w umyśle. J.T.

Zmęczony, zły na siebie, zacisnął ręce na kierownicy. Zwykle towarzyszył mu Adam Fenelli. Dziś jednak był sam. Wczesnym wieczorem Fenelli dał znać, że zraził się grypą od najmłodszego syna i leży w łóżku. Na posterunku jak zwykle brakowało ludzi, a nikt z obecnych nie zgłosił chęci, żeby zostać na zastępczy dyżur. Trudno ich zresztą winić. J.T. nie był najlepszym kompanem, lubił pełnić służbę w ciszy. Zawsze był spokojny, teraz zaś szczególnie przestała go bawić cicha gadanina, którą inni zabijali czas. Czas przecież i tak płynął, czy to podczas rozmowy, czy w ciszy. Fenelli nie zwracał na to uwagi i po prostu gadał za dwóch. Usta J.T. wykrzywił uśmiech na myśl o starszym koledze, który stale podejmował próby, żeby go rozruszać. Dobry z niego facet, ale mógłby dać sobie spokój. J.T. już dawno doszedł do

wniosku, że nie ma do powiedzenia nic wartego uwagi.

Ulice Bedford były ciemne i ciche. Pobłyskiwało przyćmione światło wystaw sklepowych, latarnie na tle czarnego jak atrament nieba przypominały wartowników oczekujących nadejścia północy.

Był zwykły, powszedni dzień, większość mieszkańców spała więc w swoich łóżkach, wypoczywając przed nadchodzącym rankiem. Oni na pewno nie mieli kłopotów z zaśnięciem. J.T. na ogół nie mógł zmrużyć oka i dlatego zgłosił się na ochotnika do nocnych patroli.

Ku jego zaskoczeniu Fenelli zgodził się mu partnerować, tłumacząc, że od czasu do czasu taka odmiana każdemu wychodzi na zdrowie. J.T. wiedział jednak, dlaczego kolega tak postąpił. Powodowała nim troska o partnera. Tylko że jemu już nic nie mogło pomóc.

Znów zaczęły go prześladować czarne myśli i pewno rozpełzłyby się po duszy i sercu, ale w tym właśnie momencie dostrzegł na drodze przed sobą jakiś kształt. J.T. miał wrażenie, że tuż za centrum handlowym, kilkaset metrów przed następnym osiedlem mieszkaniowym, widzi pulsujące światła.

Zmrużył oczy, próbując rozpoznać kształt, lecz zamglona szyba zbyt ograniczała pole widzenia. System wentylacyjny w wozie patrolowym od

dawna pozostawiał wiele do życzenia. J.T. zwolnił i z braku chustki otarł szkło dłonią. Po chwili rozpoznał w ciemnym przedmiocie auto stojące na światłach awaryjnych.

Kierowca pewno gdzieś odszedł. Dziwne, J.T. mógłby przysiąc, że przez ostatni kwadrans nikogo nie widział. Może to po prostu mieszkaniec widocznego w dali osiedla postanowił dojść pieszo do domu.

J.T. westchnął. Zepsute samochody nie były rzadkością, jednak na wszelki wypadek trzeba było sprawdzić, co się wydarzyło. Z tej odległości nie mógł jeszcze odczytać numerów, widział tylko, że jest to stosunkowo nowe, dość zadbane auto. Nie dostał żadnego meldunku o kradzieży pojazdu, więc pewno nie dzieje się tu nic podejrzanego. Albo skończyło się paliwo, albo pojazd odmówił posłuszeństwa.

Zaparkował kilka metrów za samochodem i sięgnął do kabury, sprawdzając, czy służbowa broń jest na miejscu. Jak każdy policjant wiedział, że często o życiu mogą decydować sekundy. Ostrożność należało zachować w każdym miejscu, nawet tu, choć w zasadzie Bedford było wyjątkowo spokojnym miasteczkiem. Nagle ciszę nocy i jego myśli przerwał rozziewający krzyk. Ruszył teraz biegiem, wypatrując jednocześnie, skąd może nadejść niebezpieczeństwo.

Kiedy dotarł do auta, w ręku trzymał już wyciągnięty z kabury rewolwer. Nie zauważył nikogo, wokół nie było też żadnych sklepów czy murów, w cieniu których można by się ukryć. Krzyk musiał pochodzić z wnętrza pojazdu.

Z bronią w pogotowiu szarpnął drzwiczki od strony kierowcy. Podświadomie czuł zadowolenie na myśl o kłopotach, w które może się wpakować. Chętnie wyszedłby naprzeciw każdemu problemowi, który podniósłby mu poziom adrenaliny czy pozwolił oderwać myśli od bezsensowności istnienia.

I wtedy ją zobaczył.

Blondynka w ciąży, w nienaturalnej pozie, mocno przechylona na bok, z wielkim brzuchem jakby zaklinowanym za kierownicą.

- Proszę pani... - nie zdążył powiedzieć nic więcej, gdy krzyknęła znowu. Poczł gęsią skórę na plecach i ból w uszach. Zaraz pękną mu bębenki. Ostatni raz słyszał taki wrzask w kinie, kiedy Fay Wray ujrzała przed sobą King Konga.

Zauważył, że kobieta prawą ręką wczepia się w oparcie fotela, najwidoczniej próbując wydostać się z samochodu.

Madeline Reed, porażona potwornym bólem, który rozrywał jej ciało, nie była w stanie skupić wzroku na mężczyźnie zagląającym do auta.

Dostrzegła natomiast rewolwer i przez głowę przemknęła jej myśl, że zaraz ten facet ją zastrzeli i wybawi z tej straszliwej męki.

- Przepraszam - wysapała. - Zwykle... jestem wytrzymała na ból, ale tym razem ... - przerwała, gwałtownie wciągając powietrze w nadziei, że uda jej się powstrzymać nadchodzący skurcz - jest zbyt silny. - Mocno zagryzając wargi, pomyślała, że to nadzwyczaj delikatne określenie tego dojmującego bólu. Wręcz niedomówienie stulecia.

Nie musiał pytać, żeby się zorientować, jaki to etap porodu. Wszystkie znaki wskazywały, że za chwilę będzie po wszystkim. Każdy by to zauważył, nawet dziecko.

Na dodatek utknęła za kierownicą. Jak mogła się tak urządzić?

- Wody odeszły? - spytał. Próbowwała pokiwać głową.

- Wieki temu, kiedy tylko... tylko... wyruszyłaa...m!

Ten był najgorszy, pomyślała, na pewno najgorszy. Chociaż właściwie każdy skurcz, który ją łapał od wyjścia z firmy, był silniejszy od poprzedniego. To bez wątpienia znaczy, że najgorsze jeszcze przed nią. Mało pocieszająca myśl!

- Jak pani...?- Zresztą nieważne. - Miał świadomość, że w tej chwili nie była w stanie udzielać

żadnych wyjaśnień. Może osunęła się, próbując sięgnąć do torebki, która leżała na podłodze.

Przykucnął przy samochodzie. Zamierzał odsunąć fotel do tyłu, jednak już po chwili wiedział, że nie da rady go ruszyć. Przysiadł na piętach, zastanawiając się chwilę. Słyszał, jak kobieta próbuje zdusić krzyk.

- Muszę panią stąd wydostać. Madeline z trudem odwróciła głowę.

- Bez żartów... Chyba że jest pan Supermanem.

Cholera, czemu musiało się to przytrafić właśnie teraz? Dlaczego nie za godzinę?- Byłaby już sprężona i przygotowana. Gdyby skurcze zaczęły się w domu, a nie pięć minut po uruchomieniu samochodu, zdążyłaby zadzwonić gdzie trzeba, zabrać walizkę i jak człowiek dojechać do szpitala. Nie miałyby teraz wrażenia, że coś ją rozrywa od środka.

A w ogóle termin wypadał przecież dopiero za półtora tygodnia. To nie powinno było się zdarzyć!

W milczeniu odszukał przycisk, który pozwalał zmienić nachylenie oparcia fotela. Odchylił je prawie do pozycji leżącej. Bardzo powoli, ostrożnie pomógł kobiecie usiąść, po czym przekreślić się tak, żeby jej nogi znalazły się poza samochodem. Była drobna, ale w tej chwili, z przesuniętym środkiem ciężkości, trudno jej było się podnieść.

- Niech mnie pani obejmie za szyję - polecił.

- Prosi mnie pan do tańca? - zażartowała Maddy. Tylko poczucie humoru mogło odpędzić strach i powstrzymać ją od zalania się łzami. Tłumaczyła sobie, że policjant próbuje jej pomóc. Nie może go dodatkowo stresować, wpadając w histerię.

Zaskoczyło go dziwaczne pytanie ciężarnej. Podejrzewał, że kobieta ma jakieś przywidzenia albo traci przytomność.

Potrzebował wsparcia, i to szybko!

- Może trochę później - odpowiedział jednak, na wszelki wypadek zupełnie poważnie.

Jak najdelikatniej pomógł jej stanąć na nogach. Kiedy się zachwiała, przyciągnął ją do siebie, otaczając mocno ramionami. Przez głowę przeleciała mu gorzka myśl, że w ten sposób przytulał Lornę.

Szybko zwalczył ogarniający go żal.

- Na razie, - dodał - rodzi pani dziecko.

Ni stąd ni zowąd przypomniła jej się kwestia z „Przeminęło z wiatrem”.

- Nic nie wiem o odbieraniu dzieci - wydyszała, walcząc z ogarniającą ją słabością.

Niespodziewanie odniosła wrażenie, że się gdzieś zapada.

Policjant układał ją na tylnym siedzeniu samochodu. Jego ramiona były silne, bezpieczne. Osunęła się, mocno zaciskając zęby, żeby nie krzyknąć mu prosto w ucho.

ROZDZIAŁ DRUGI

Co ona plecień Co za odbieranie dzieci?- Pewno mający z bólu, osądził J.T. Doskonale wiedział, że to możliwe.

Na szczęście nie upuścił jej, przenosząc na tył samochodu. Dzięki Bogu i za to. Kiedy jednak próbował się podnieść, złapała go za rękę. Jej palce zacisnęły się na jego przegubie jak stalowa obręcz. Spojrzał na nią zaskoczony. Nie podejrzewał, że obolała kobieta może dysponować taką siłą.

- Gdzie pan idzie? - jęknęła. Chyba mnie tu nie zostawi, myślała gorączkowo. Sama nie dam sobie rady.

- Do swojego auta. - Wolną ręką odruchowo wskazał wóz patrolowy, którego przecież nie mogła zobaczyć. - Chcę wezwać karetkę.

- Już za późno.

Dziecko nie zamierzało *czekać* na żadną karetkę. Pchało się na świat już, w tej chwili.

Przerażona, jedną ręką trzymała kurczowo jego przegub, paznokcie drugiej wbiła w tapicerkę, próbując się podeprzeć. Plecy wygięła w łuk, co trochę złagodziło ból.

Było mu jej potwornie żal. Miała twarz wykrzywioną bólem, lecz i tak widział, jaka jest piękna. Co, do diabła, robiła w nocy sama na drodze? Gdzie się podziewał jej mąż?

- Potrzebuje pani fachowej pomocy. - Nie czuł się na siłach, żeby zastąpić lekarzy. - Muszę zadzwonić po ambulans. Zaraz tu będą. Bała się zostać sama. Póki jej nie znalazł, walczyła z ogarniającym ją przerażeniem. Poczwała, że zaczyna rodzić, kiedy nagle zgasł silnik.

Wlepiała w J.T. błagalne spojrzenie.

- Niech pan nie odchodzi... Proszę. - Zaciskając zęby, spróbowała unieść się na łokciach, co udało jej się tylko częściowo. - Przecież przeszedł pan odpowiednie szkolenie, prawda?

J.T. nie rozumiał, co to ma do rzeczy.

- No tak, ale...

Cholera, znowu nadchodzi fala bólu. Zaczęła szybciej oddychać.

- Więc niech pan robi, czego pana uczono. Niech pan mi pomoże. To właśnie próbował zrobić, ale jak można

pomóc samym gadaniem? Kiedy trochę rozluźniła chwyt, uwolnił rękę z jej dłoni. Poczował mrowienie, gdy krew zaczęła znów krążyć normalnie, widział na skórze ślady po palcach kobiety. Do tej pory zawsze myślał, że poród wyczerpuje kobiety, pozbawia je sił, tę jednak najwyraźniej wyposażył w jakieś nadludzkie właściwości.

- Może uda mi się przewieźć panią do szpitala. - Od Harris Memoriał dzielił ich jakiś kwadrans drogi. No, może osiem minut, jeśli nie będzie zbyt rygorystycznie przestrzegał przepisów. Spojrzał na stacyjkę, ale kluczyków tam nie było. - Proszę mi dać kluczyki...

Maddy rzucała głową na boki.

- Silnik... zdechł. - Za chwilę i ją to czeka, jeśli ten potworny ból nie minie. Jakim cudem inne kobiety przeżywają porody?

Pomyślał, że mógłby ją przenieść do swojego wozu, jeżeli nie będzie się z nim szarpać. Auto stało blisko, a kobieta była bardzo drobna.

- W takim razie przeniosę panią do mojego... Nim zdążył się pochylić, Maddy wczepiła się w tapicerkę i podciągnęła ciało wyżej. Nie zniosłaby żadnych przenosin, za żadne skarby nie pozwoli, żeby ją ruszał.

- Dziecko... już prawie... jest... - Słowa wypowiadała w rytmie oddechów, które regulowała

teraz zgodnie z zaleceniami ze szkoły rodzenia. Z rozpaczy gotowa była stosować wszystkie możliwe metody. Ku jej zdziwieniu kontrola oddechów przynosiła chwilową ulgę. Ale to wszystko za mało. Czuła się jak homar, którego ktoś próbuje rozłupać.

J.T. zdawał sobie sprawę, że nie ma wyjścia. Poród wszedł w fazę końcową. Kiedyś już zdarzyła się mu podobna historia. W listopadzie, przed śmiercią Lorny, rozszalała się potężna burza. Wracali właśnie z koncertu, kiedy ich auto zatrzymał mąż rodzącej kobiety. Zamierzał odwieźć żonę do szpitala, lecz drogi okazały się nieprzejezdne. Bełkotał coś na temat omijania drzewa eukaliptusowego, które tarasowało jezdnię.

J.T. przeżył wtedy najbardziej niesamowite dwadzieścia minut w całym życiu. Razem z Lorną przyjęli na świat bliźniaki. Nigdy wcześniej nie czuł się tak bardzo związany z żoną. Nagle ponad wszystko zapragnął założyć własną rodzinę.

Pamiętał to uczucie, gdy trzymał w rękach maleńką dziewczynkę. Taka kruszynka, z dużymi, błyszczącymi oczkami. Przypominał sobie, jak ponad głową noworodka czule spojrzeli na siebie z Lorną.

Na krótką chwilę zawładnęły nim gorzkie wspomnienia, ponura przeszłość mieszała się z równie smutną terażniejszością.

Czemu on tak stoi? - myślała gorączkowo Maddy. Czemu nic nie robi?

Nadszedł kolejny skurcz, tak silny, że nie była w stanie kontynuować swoich ćwiczeń oddechowych. Miała nikłą świadomość, że chwyta policjanta za rękę, omal nie łamiąc mu palców w uścisku.

- Pomóż mi - jęknęła błagalnie.

W jej oczach dostrzegł przerażenie. Rzeczywiście, nie mógł jej zostawić ani na chwilę. Myśl o wzywaniu karetki gdzieś się ulotniła.

- W porządku. - J.T. wsunął się do samochodu.

- Jak się nazywasz? - Chciała znać imię mężczyzny, który teraz podnosił jej sukienkę.

- Co takiego? - Nie słuchał, co mówiła. Usiłował sobie przypomnieć, jak należy postępować.

- Jak się nazywasz? - powtórzyła, z trudem wymawiając słowa. - Muszę wiedzieć, kto pomaga mojemu dziecku w przyjściu na świat. - Próbowała się uśmiechnąć, ale na jej twarzy pojawił się tylko bolesny grymas.

Podniósł głos, żeby go usłyszała.

- J.T.

- To nie imię, tylko fragment alfabetu. - Rzęsy miała wilgotne; sama już nie wiedziała, czy to pot, czy łzy.

Wszyscy, także Lorna, tak go nazywali. Jedynie matka używała pełnych imion, które odziedziczył po obu dziadkach.

- John Thomas. - Napotkał jej pytające spojrzenie i uzupełnił: - John Thomas Walker.

Maddy kiwnęła głową z zadowoleniem. Dobrze, niepretensjonalne imię. Jej mąż miał na imię John. Johnny. Och, Johnny, pomyślała. Tak bardzo chciała, żeby teraz był przy niej.

- John Thomas - powtórzyła. Usta miała wyschnięte, ciało wilgotne od potu. - Mam nadzieję, że nie jesteś panikarzem, bo ja jestem... - W tej chwili mogła tylko próbować utrzymywać strach w ryzach.

Wydawało mu się, że rozwarcie jest już całkowite. A zatem to nie potrwa długo.

- Dla mnie to bułka z masłem - próbował podtrzymać ją na duchu.

- Chyba z wbitym w nią nożem. - A raczej wielkim majchrem, wyposażonym w ogromne zębiska, które z każdym oddechem wbijały się w jej ciało. - O Boże, znowu...

J.T. chwycił ją za rękę.

- To minie - powiedział uspokajająco, pochylając się, żeby otrzeć jej czoło.

- Łatwo ci mówić.

Wcale nie było mu łatwo. Czuł się, jakby cofnął się w czasie, jakby ponownie przeżywał jeden z najważniejszych wieczorów w swoim życiu.

Ich oczy spotkały się na ułamek sekundy.

- Nie - zaprzeczył zdecydowanie. - Wcale nie.

- Zastanawiał się, jak odwrócić jej uwagę od bólu. Lorna poprzednim razem uspokoiła rodzącą kobietę, śpiewając jakąś starą irlandzką kołysankę, jednak J.T. nie podjąłby się śpiewania. Po co, skoro jego głos brzmiał jak zdarta płyta. - A tobie jak na imię i

- Mad... - zaczęła. W pierwszej chwili zamierzała podać używane przez wszystkich zdrobnienie. Ale czy kobieta, która właśnie rodzi dziecko, może nazywać się Maddy? Tak należy zwracać się do trochę zwariowanej trzpiotki, jaką zawsze była. Teraz jednak postanowiła się zmienić. Zostanie matką, a wszystkie matki powinny być przecież poważne i odpowiedzialne. - Madeline Reed.

Widział już główkę dziecka. Za chwilę i on, i rodząca odetchną z ulgą.

- No, Mad Madeline Reed, zaraz zostaniesz matką.

Żałowała, że nie ma nic, czego mogłaby się trzymać.

- Co ty powiesz? A to niespodzianka!

- Chłopak czy dziewczynka? Nie zrozumiała pytania.

- To jakaś zagadka?

- Pytam, co byś wolala? Syna czy córkę?

- Bez znaczenia, byle już to się skończyło. - Nie wierzyła, że da sobie radę. Była zbyt zmęczona.

- Jeszcze tylko chwileczkę - obiecał. - Teraz, kiedy ci powiem, zaczniesz przeć.

- Nie mogę już czekać! - jęknęła. Nie była pewna, czy zdoła znieść ból choćby sekundę dłużej. Nie była przygotowana na takie męczarnie. Przecież w ogóle nie planowała tej ciąży. Teraz cieszyła się jednak, że w ten sposób zachowa na zawsze jakąś część Johnny'ego. - Muszę przeć! Natychmiast!

Bał się, żeby coś jej się nie stało, żeby nie zrobiła sobie krzywdy.

- Jeszcze nie - ostrzegł. Nerwowo usiłował sobie przypomnieć wszystkie konieczne czynności. Ostatecznie ten poród odbywał się w dość nietypowych warunkach.

- Mogę już? - szepnęła prosząco. Zresztą było jej wszystko jedno, co on odpowie. I tak zacznie przeć, po prostu musi.

- Teraz. Raz, dwa, trzy, przyj!

Zupełnie niepotrzebnie liczył do trzech, bo Maddy już na „raz” zaczęła przeć z całej siły.

Po chwili, wyczerpana, opadła na siedzenie jak szmaciana lalka.

Próbowała zebrać siły, żeby zmierzyć się z kolejnym skurczem.

- Świetnie - pochwalił ją J.T.

Z jakiej racji traktował ją tak protekcyjnie?- Nieprawda.

Gdyby było, jak mówisz, już bym urodziła.

- Jeszcze tylko moment.

- Może chciałbyś się zamienić ? - Z trudem podciągnęła się trochę wyżej.

Wiedział, że teraz już powinna urodzić. Jeszcze tylko trochę, tylko odrobinę, pomyślał, czując narastające wzruszenie.

- Nie da rady - odparł.

- Nieużyty gbur.

I znów skurcz. Atakował zniecka, jak drapieżnik polujący na kluczącą gazelę.

- O Boże...

Przestraszył się paniki, którą usłyszał w jej głosie. Zmusił ją, żeby spojrzała mu w oczy.

- Przyj - rozkazał. - Mocniej!

Nie wierzyła, że może wykrzesać z siebie więcej energii.

Zacisnęła powieki. Wyobraziła sobie dziecko, które wreszcie się z niej wysuwa, i parła, wkładając w to moc całego ciała, wszystkie siły ogłupiałego umysłu. W końcu, ciężko oddychając, opadła z sił.

To jeszcze nie koniec, pomyślała przerażona.

- Na pewno coś się stało...

- Nie dzieje się nic złego. - Specjalnie użył szorstkiego, zdecydowanego tonu, licząc, że w ten sposób powstrzyma jej panikę. - To dziecko, a nie puszka, która wyskakuje z automatu po wrzuceniu monety. No, jeszcze raz. Gotować

- Nie.

Spojrzał w jej pobladłą twarz. Cholera, czemu od razu, kiedy dostrzegł jej samochód, nie wezwał pomocy?

- No, dawaj! Zamknij oczy i przyj. Dasz sobie radę, Madeline.

- Maddy - poprawiła go. Chciała usłyszeć używane od lat zdrobnienie. Takie imię nosiła, kiedy poznała męża. Również jako Maddy szła na jego pogrzeb.

- Maddy - powtórzył J.T. Rzeczywiście, to imię do niej pasowało.

- Urodźmy wreszcie to dziecko.

Zamknęła oczy i modląc się w duchu, parła z całych sił.

Po chwili dotarł do niej płacz dziecka.

ROZDZIAŁ TRZECI

Nie chciał tego ani nie planował.

Trzymał w rękach nowo narodzone dziecko, gdy nagle ogarnęło go to uczucie. Zaczęło się gdzieś wewnątrz, w piersi, a potem rozeszło po całym ciele. Wielkie oczy popatrzyły na niego ciekawie, a on w tej samej sekundzie poczuł, że wraca do życia, znów staje się częścią świata.

Tak sobie wyobrażał spojrzenie własnego dziecka. Swojego i Lorny.

Jego zamarte serce odtajało i zaczęło znów bić. To wszystko działo się mimo jego woli. Nie miał na to żadnego wpływu. Usta J.T. powoli rozciągnęły się w uśmiechu.

Było za cicho, za spokojnie. Czyżby coś stało się dziecku ? - pomyślała Maddy ogarnięta paniką.

- Czy... wszystko w porządku

Oddech Madeline zaczynał się już wyrówny-

wać, lecz wciąż brakowało jej powietrza, żeby móc powiedzieć jednym ciągiem całe, nawet krótkie zdanie. W piersiach czuła pieczenie, całe ciało miała odrętwiałe z bólu, ale w tej chwili najgorszy był ból serca. Dziecko musi być zdrowe!

Ledwo usłyszał jej pytanie. Oczy go piekły, gardło miał ściśnięte. Zapomniał, jak czuje się człowiek, gdy trzyma na rękach nowe życie, gdy jest świadkiem cudu.

- Wszystko w porządku - odpowiedział. - Jest piękny.

Przeczenie mówiło jej, że to prawda. Nie wiedziała, skąd ma tę pewność, ale wierzyła J.T. bez zastrzeżeń.

- Onv

J.T. podniósł wzrok na Maddy. Jak mógł się tak zapomnieć?

Przecież ta kobieta nadal potrzebuje jego pomocy. Przytaknął, rozglądając się jednocześnie, w co by tu owinąć noworodka.

- Masz syna.

Zacisnęła usta, walcząc ze łzami, które pojawiły się nie wiedzieć skąd. Johnny byłby taki dumny! Jednak Johnny nie wiedział nawet o ciąży. Zginął, nim zdążyła go zawiadomić. Mamy syna, Johnny! - pomyślała. Gratulacje!

W samochodzie było ciemno, mimo to w nikłym świetle latarni J.T. dostrzegł łzy w oczach wzruszonej Maddy.

Pochylił się trochę niezręcznie i podał synka kobiecie, układając małe ciało w zgięciu jej ramienia. Ich oczy spotkały się na krótką chwilę. Tak samo popatrzyli na siebie z Lorną, gdy odnaleźli swoje spojrzenia ponad główką noworodka.

J.T. spuścił wzrok.

- Ostrożnie, jest śliski.

Była pewna, że ze wzruszenia głos odmówi jej posłuszeństwa, kiwnęła więc tylko głową, gdy poczuła niewielki ciężar na rękę.

- W bagażniku mam koc - odważyła się w końcu odezwać.

Odszukał dźwignię i otworzył klapę. Koc leżał na koszu wypełnionym bielizną i ręcznikami. Przede wszystkim potrzebne było narzędzie, którym mógłby przeciąć pępowinę, ale nie widział nic odpowiedniego. W końcu sięgnął po koc, zabrał też kilka ręczników.

- Zawsze podróżujesz z praniem? - spytał, układając ręcznik na przednim fotelu.

- W sobotę zepsuła mi się pralka. - Maddy z uśmiechem patrzyła na synka. Jej matka zawsze twierdziła, że nic w życiu nie dzieje się bez powodu. - Robiłam pranie u mamy. - Gdyby nie to, pomyślała, nie byłoby teraz ani koca, ani ręczników.

Bardzo ostrożnie wycierał dziecko.

- Wracająś od matki?

Patrzyła zafascynowana, jak delikatnie ten du-

ży, silny mężczyzna obchodzi się z jej synkiem. Ciekawe, ile ma własnych dzieci? Pokręciła głową w odpowiedzi.

- Nie, wracałam z przyjęcia. Zakończyliśmy właśnie pracę nad ogromnym zleceniem i postanowiliśmy to uczcić - wyjaśniła i natychmiast uświadomiła sobie, że J.T. nie może wiedzieć, o czym ona mówi. Jej rodzina od ponad stu lat prowadziła Rossini Decor, przedsiębiorstwo zajmujące się projektowaniem wnętrz. Firmę z tradycjami, gdzie poza niemodnym już profesjonalizmem liczyły się godność, honor i uczciwość. Nie mówiąc o dobrym guście.

My. Zrozumiał to po swojemu.

- Ty i twój mąż?

To słowo wywołało nowe potoki łez, które za wszelką cenę pragnęła powstrzymać. Skąd się wziął ten melancholijny nastrój? Powinna przecież radować się szczęściem.

Podniosła wzrok.

- Nie.

J.T. zrozumiał, że wkroczył na zakazany teren. Może była rozwiedziona?

Oddając Maddy owinięte dziecko, rzucił okiem na jej dłoń. Na palcu ciągle tkwiła obrączka. Rozwód mógł nastąpić niedawno i pewno Maddy nie zaakceptowała tego faktu. W przeciwnym wypadku natychmiast zdjęłaby obrączkę.

- Muszę cię odwieźć do szpitala - odezwał się, starając się ocenić odległość między autami. Bał się ryzyka związanego z przeniesieniem jej do swojego samochodu. Nie zdecydowałby się na to, nawet gdyby stał bliżej. Wiedział też, że nie wolno mu zostawić wozu patrolowego bez opieki. Że też Fenelli właśnie teraz musiał się rozchorować!

- Zgodzisz się, żebym poszedł wezwać karetkę?-

- zwrócił się do Maddy.

Zagryzła wargi, wspominając ze wstydem, jak się zachowała, gdy proponował to wcześniej.

- Przepraszam. Byłam okropna.

Nie potrzebował jej przeprosin, nie chciał też, żeby go źle zrozumiała.

- Miałaś rację. Powołano nas, by służyć i bronić. To moja praca i mój obowiązek.

Tak zawsze mówił Johnny. Przytuliła mocniej synka, którego mąż nie mógł już zobaczyć.

- Wiem. Mój mąż był policjantem. Odchodził już do wozu, lecz zatrzymał się w pół kroku.

- Był?

Taki króciutki wyraz, ale ile kryje się w nim treści! Poczowała ucisk w sercu.

- Zginął na służbie osiem miesięcy temu. Zaskoczyła go ta informacja. Gdy zmarł jej mąż, Maddy była zaledwie w pierwszym miesiącu ciąży. J.T. spojrzał na dziecko.

- Wiedział?

- Nie.

Nigdy nie pozbędzie się wyrzutów sumienia, że trzymała tę nowinę w tajemnicy. Johnny tak bardzo pragnął mieć dzieci. Chciała zrobić mu niespodziankę w czasie romantycznego weekendu, na który się wybierali.

J.T. widział jej smutek i chociaż wydawało mu się, że jego serce nie jest już do tego zdolne, żałował Maddy.

- Przykro mi.

Maddy powoli wciągnęła powietrze, próbując wyrównać oddech.

- Jasne. Mnie również. - I po chwili dodała: - Nie wzywaj karetki.

Odwieź mnie sam.

Popatrzył na nią niepewnie.

- Nie wiem, czy powinienem cię ruszać...

- Dlaczego? Jesteś przecież silny, a ja także nie jestem takim słabeuszem, na jakiego wyglądam.

Zastanawiał się przez chwilę, wreszcie podjął decyzję.

- No, dobrze. Podjadę bliżej.

Maddy uśmiechnęła się pod nosem.

Przenosiny okazały się łatwiejsze, niż przewidywał. Maddy była lekka jak piórko, a fakt, że trzymała w objęciach synka, nie miał właściwie znaczenia. Sterty teczek z aktami, które zdarzało mu się nosić, bywały cięższe.

Wiatr wzmógł się i kiedy J.T. układał Maddy na siedzeniu swojego auta, owionęła go przez moment cudowna, oszałamiająca woń.

Chyba mam przywidzenia, pomyślał, siadając za kierownicą, a głośno powiedział:

- Za kilka minut dojedziemy na miejsce. Maddy czuła się bezpiecznie na tylnym fotelu.

- Nie spiesz się. Wszystko, co mi potrzebne do szczęścia, mam już przy sobie - odparła, patrząc na dziecko.

W lusterku widział, jak promiennie wygląda. On sam miał wrażenie, że emocje w nim wrą jak lawa, to nieoczekiwanie trzeszcza, to znów napinają się, jak dawno nie używane stawy i mięśnie. Próbował zignorować to dziwne odczucie. Przecież Maddy jest tylko jedną z wielu mieszkańek miasta. Odebrał poród, teraz odwiezie kobietę z dzieckiem do szpitala, nic poza tym.

- Chcesz, żebym kogoś zawiadomił? - spytał, przejeżdżając skrzyżowanie w chwili, gdy światło pomarańczowe zmieniało się na czerwone. Przed sobą mieli wjazd na autostradę, gdzie ruch był minimalny.

- Tylko moją matkę. - Dziecko zakwiliło, więc zaczęła je kołysać.

- Ona już da znać reszcie. Chyba powinnam cię uprzedzić, że mama zechce podziękować ci osobiście. - Jak znała matkę, słowo „zechce” było zdecydowanie zbyt łagodne.

Lorraine Rossini zawsze umiała dopiąć swego. - Zresztą wszyscy inni także.

Spojrzał w lusterko, ale oczy Maddy skierowane były na synka.

- Jak to: wszyscy?

Zaśmiała się. Zabrzmiało to trochę niepewnie.

- Mam wielką rodzinę. Wielką i bardzo zżytą. Ciekawe, jak to jest. J.T. był jedynakiem. Jego rodzice zmarli, nim skończył dwadzieścia pięć lat. Całym jego światem była Lorna.

- To chyba miłe - mruknął, bo nic innego nie przyszło mu do głowy.

- Rzeczywiście - powiedziała z przekonaniem. - A teraz przybył na świat nowy członek naszego klanu. - Przejęta radością pocałowała malutką główkę. - Naprawdę miłe.

Cóż, on nie mógł mieć o tym zielonego pojęcia i prawdopodobnie nigdy nie będzie miał. Jego nadzieje na założenie rodziny umarły wraz z Lorną, tamtej sylwestrowej nocy.

ROZDZIAŁ CZWARTY

J.T. postanowił zakończyć swój udział w tej sprawie.

Zrobił, co do niego należało, a nawet więcej. Zawiózł Maddy do szpitala i zawiadomił, tak jak prosiła, jej matkę. Cierpliwie wysłuchał okrzyków radości, które pani Rossini zaczęła wydawać, kiedy już poznała wszystkie szczegóły dotyczące narodzin wnuka. Udało mu się to wszystko załatwić jeszcze przed opuszczeniem szpitala. W tym momencie poczuł się zwolniony z wszelkiej odpowiedzialności.

Wcale nie musiał więc prosić Ambroise'a, kolegi z posterunku, o podwiezienie go do porzuconego na drodze auta Maddy. Nie musiał też awaryjnie uruchamiać jej samochodu ani odstawiać go na podjazd przed jej domem. Na pewno nie były to sprawy najważniejsze, a ich załatwienie nie nale-

żało do obowiązków policji. Nie potrafiłby wyjaśnić, czemu to wszystko zrobił; po prostu wydawało mu się, że tak właśnie należało postąpić.

Evan Ambroise jechał za J.T., żeby odwieźć go potem do domu. Wysoki, postawny policjant, o czarnej jak heban skórze, nie próbował nawet ukryć swojego zadowolenia. Czekał na J.T. w wozie, a gdy samochód Maddy został już bezpiecznie zaparkowany, uśmiechnął się szeroko.

- Cieszę się, że zaczęłaś wykazywać trochę zdrowej energii. Choćby po to, żeby parkować cudze auta. - Roześmiał się z własnego dowcipu, wyprowadzając wóz z osiedlowych uliczek. J.T. wzruszył ramionami.

- Musiałem dokończyć pewną sprawę - odparł, nie patrząc na koleżkę.

- Czy ta sprawa ma jakieś imię -- spytał Ambroise z domyślnym uśmiechem.

J.T. nie przejął się pytaniem. Wiedział, do czego zmierza starszy, od dawna żonaty kolega, ojciec sześciorga dzieci. Oboje z żoną, Claire, zapraszali go do siebie niezliczoną ilość razy. Tak jak jego partner, namawiali go, żeby zaczął gdzieś wychodzić, spotykać się z ludźmi, wrócił do życia. Nikt nie potrafił zrozumieć, że on tego zwyczajnie nie chce. Życie stało się zbyt puste i bezsensowne. Po cóż więc do niego wracać?

- Zeszłej nocy odebrałem poród, a potem

odwiozłem tę kobietę do szpitala - wyjaśnił w końcu niechętnie.

- Meżatka? - W głosie Ambroise'a pojawiła się nuta niepokoju.

- Wdowa. To jej samochód. - Widząc szeroki uśmiech na twarzy kolegi, dorzucił niecierpliwie:

- Nie wyobrażaj sobie za wiele.

- Dobra, nie będę. - Spojrzał na J.T. - Ciekawe tylko, co ona sobie wyobrazi, gdy stwierdzi, że samochód zniknął z drogi. Może lepiej zawiadom ją, że przestawiłeś auto w bezpieczne miejsce.

- Ambroise zacisnął usta, próbując powstrzymać uśmiech. -

Świeżo upieczona mama ma tyle spraw na głowie. Nie powinna się denerwować, że ktoś jej rąbnął auto.

J.T. w zamyśleniu przeciągnął ręką po twarzy. Powinien sam na to wpaść. Tyle że od zeszłej nocy w ogóle miał kłopoty z logicznym myśleniem. Chyba zaczęły się w chwili, gdy wziął w ramiona dziecko Maddy.

Do diabła, po co się oszukuje! W gruncie rzeczy od momentu, kiedy pierwszy raz spojrział na Maddy, Trochę przypominała mu Lornę. Taka drobna blondynka, na dodatek ciężarna... Taką zawsze pragnął widzieć swoją żonę.

Nie zamierzał wspominać o tym Ambroise'owi. Wystarczyło jedno niewłaściwe słówko, a cały posterunek huczałby od plotek. Jedyną

rzeczą, którą Ambroise utrzymał kiedyś w tajemnicy, był ból zęba, a i wówczas zachował sekret zaledwie dziesięć minut.

- Zamierzałem tak zrobić.

Ambroise kiwnął głową bardzo zadowolony, że J.T. ma pretekst, by ponownie zobaczyć się z tą kobietą. Trzeba koniecznie opowiedzieć o tym Claire.

- Świetnie. Nie chciałbym, żeby jednego z najlepszych gliniarzy w Bedford pomyłkowo oskarżono o kradzież samochodu.

J.T. zignorował kolejny szeroki uśmiech, jednak nie umiał już udawać, że nie słyszy radosnego rechotu, który go ścigał aż do drzwi domu.

Ambroise trafił w sedno. Jak Maddy miałyby się domyślić, co stało się z jej autem?

A to znaczy, że znów ją spotka.

- Dobre uczynki nigdy się nie sprzykrzą - mruknął pod nosem powiedzenie usłyszane dawno temu od matki.

Z ciężkim westchnieniem wszedł do swojego auta i ruszył w stronę szpitala.

J.T. szedł powoli do wind usytuowanych w końcu korytarza.

Zadziwiające, żeby miejsce, gdzie przebywali chorzy przecież ludzie, mogło wyglądać tak wesoło, kolorowo i przytulnie. A przede wszystkim pozbawione było tego

okropnego, właściwego większości instytucji medycznych, zapachu, od którego żołądek zawsze podchodził mu do gardła. Jednakże, mimo sympatycznej, podnoszącej na duchu atmosfery, wcale nie chciał tu przyjeżdżać.

Próbował sobie tłumaczyć, że to nic nadzwyczajnego.

Ostatecznie wpadł tylko zawiadomić Maddy o przestawieniu samochodu. A skoro już tu jest, może przy okazji sprawdzić, jak czują się mama i maleństwo. W gruncie rzeczy każdą sprawę należy doprowadzać do końca. Takie rutynowe działanie, nic poza tym.

Nawet do głowy by mu nie przyszło przyznać się przed samym sobą, że najzwyczajniej w świecie chce ją znów zobaczyć. Fakt, zeszłej nocy przeżyli coś niezwykłego, coś, o czym się nie zapomina, ale co to ma do rzeczy- Co z tego, że pomógł jej synkowi przyjść na świat, że tym samym stał się swego rodzaju uczestnikiem tego cudu natury?

Jeśli nie chce powiększać swojego bólu, nie może pozwolić sobie na dalsze zaangażowanie w tę sprawę.

Wysiadł z windy na piątym piętrze i w dyżurce pielęgniarek poprosił o informację. Chodzenie po korytarzu w poszukiwaniu właściwego pokoju byłoby zwykłą stratą czasu. Im szybciej odnajdzie Maddy, tym prędzej będzie mógł opuścić szpital.

Starsza kobieta spojrzała znad okularów.

- Jeszcze jeden, co?

- Słuchami

Pielegniarka potrząsnęła głową.

- Nieważne. Nie wiedziałam, że przyjęliśmy tak popularną osobę

- zaśmiała się jak z dobrego żartu. - Wprowadziła na oddział trochę życia.

Nie miał pojęcia, o czym ona mówi.

- Przepraszam, czy Madeline Reed leży na tym piętrze, czy nie?

- Och, jasne, że tak. Pokój pięćset dwanaście. Proszę iść tym korytarzem. - Wskazała w lewo. - Jeśli będzie się pan kierował słuchem, na pewno pan trafi.

Dochodząc do końca korytarza, faktycznie usłyszał szmer głosów. A gdy otworzył drzwi pokoju, ujrzał mur stworzony z ludzkich pleców. Część gości zgromadziła się przy łóżku, inni stali pod oknem, wszyscy w znakomitych nastrojach. Szpitalny pokój wyglądał, jakby jakaś firma postanowiła urządzić doroczne spotkanie integracyjne w najmniejszym z biurowych pomieszczeń.

Niezdecydowanie zatrzymał się przy drzwiach. Może powinien przyjść trochę później. Albo po prostu zadzwoni do szpitala i każe połączyć się z pokojem. Szkoda, że wcześniej nie wpadł na ten pomysł. Choć pewno i tak nikt nie usłyszałby dzwonka w tym hałasie.

Odwracał się, żeby odejść, kiedy ktoś chwycił go za rękę. Koło niego stała promieniejąca radością niska, tęgawa, starsza kobieta w jasnoczerwonej sukience.

- Pan jest na pewno J.T. - bardziej stwierdziła, niż zapytała.

- Tak - odparł, przyglądając się uważnie kobiecie. Miała bystre, niebieskie oczy, jasną cerę i ciemnoblonde włosy. Wypisz, wymaluj, starsza wersja Maddy.

- Tak myślałam. Bardzo dokładnie pana opisała. Chciałam uścisnąć mężczyznę, który uratował moje dziecko. - Nim zdążył się odezwać, starsza pani objęła go ramionami. Kiedy go uścisnęła, stwierdził, że podobieństwo rodzinne jest niezaprzeczalne. Do tej pory czuł na przegubie palce jej córki. Słyszając radosne piski matki, Maddy spojrzała w kierunku drzwi. Biedny John Thomas, pomyślała. Matka miała skłonność do popadania w przesadę i lubowała się w dość teatralnych gestach. Na szczęście Maddy dawno już wyrosła z wieku, kiedy takie demonstrowanie uczuć wprawiało ją w zażenowanie.

- Mamo, ja rodziłam, a nie wisiałam nad przepaścią.

- Żadna różnica - prychnęła Lorraine Rossini. - Mogłabym ci podać parę przerażających przykładów. Uwierz mi.

Wciąż trzymając rękę J.T., Lorraine ruszyła do łóżka córki. Zgromadzeni goście rozstępowali się przed nią jak przed monarchinią.

- O, na pewno - zgodziła się Maddy, powstrzymując uśmiech, który jednak pojawił się w jej oczach, gdy podniosła wzrok na nowego gościa. - Wróciłeś.

Zabrzmiało to, jakby go oczekiwała. Skąd jej to przyszło do głowy?

- Chciałem cię poinformować, że odstawiłem twój samochód. Starszy, niski mężczyzna z ciemnymi, przyprószonymi siwizną włosami zastąpił mu drogę.

- Skonfiskował pan jej samochód - Zabrzmiało to jak wyzwanie.

- Uspokój się, tatusiu - odezwał się z tłumu jakiś głos. - Daj mu dokończyć.

J.T. zmarszczył brwi.

- Zaparkowałem go na twoim podjeździe

- zwrócił się do Maddy, nie do mężczyzny, który prawdopodobnie był jej ojcem.

- Skąd pan wiedział, gdzie ona mieszkać - To pytanie zadała jakaś starsza dama, patrząc podejrzliwie na J.T.

- Jest policjantem - wyjaśniła matka Maddy.

- Oni wszystko wiedzą.

Nie odwracał wzroku od Maddy.

- Zajrzałem do twojej torebki - poinformował

ją. - Pomyślałem, że pod domem auto będzie bezpieczniejsze -
dodał, rugając się w myślach. Po co się tak bezsensownie
tłumaczyć

- Bardzo rozsądnie pan postąpił - ucieszyła się Lorraine, ciągle
uczepiona jego ręki.

Nagle odniósł nieodparte wrażenie, że pani Rossini ogląda go jak
najnowszy model sportowego auta, który dopiero zjechał z
taśmy. Jakby zastanawiała się, czy warto kupić go ukochanej
osobie w prezencie...

Wyzwolił się z jej uścisku i cofnął o krok.

- No, będę już szedł - powiedział do Maddy i zataczając ręką
wokół, dodał: - Masz wystarczająco dużo gości.

Zupełnie jakby jego gest był umówionym sygnałem do
zakończenia odwiedzin, hałas raptem się wzmógł. Ktoś nagle
zauważył, że zrobiło się strasznie późno, ktoś spieszył się do
szkoły, ktoś inny do sklepu. Tłoczyli się teraz przy łóżku Maddy,
całowali ją w policzek i kierowali do wyjścia. Wcześniej jednak
każde z nich dokładnie lustrowało J.T.

Po chwili w pokoju zostali już tylko rodzice Maddy.

- Też chyba pójdziemy, kochanie - oznajmiła pani Rossini. - Miło
mi było pana poznać. - Położyła rękę na dłoni J.T. - Wczoraj
zmówiłam za pana modlitwę.

Spojrzał na nią zaskoczony.

- Dlaczego?

- Jak to? Oczywiście z wdzięczności, że był pan przy Maddy. - Spojrzała na córkę. - Zawsze musi tak ryzykować. Chcieliśmy odwieźć ją do domu, ale uparła się wracać sama, tłumacząc, że niepotrzebnie się martwimy, skoro termin porodu wyznaczono za półtora tygodnia. Szkoda tylko, że dziecko nie zna się na kalendarzu. - Lorraine uśmiechnęła się do J.T. - Jestem szczęśliwa, bo znalazła anioła stróża, który się nią zaopiekował. Jej mąż wymamrotał kilka słów pożegnania i pociągnął Lorraine do wyjścia, uśmiechając się do oszołomionego J.T., który stał z otwartymi ze zdziwienia ustami.

Kiedy drzwi się zamknęły, odwrócił się do Maddy.

- Męcząca, co? - zaśmiała się. Pokiwał głową.

- Można tak to określić.

- Ma jak najlepsze chęci. Czemu nie podejdziesz? - zachęciła go.

- Chciałabym, żebyś poznał pewnego, teraz już bardzo czyściutkiego, obywatela.

Dopiero w tej chwili J.T. dostrzegł przezroczyście, przypominające głęboką kuwetę łóżeczko, ustawione tuż przy łóżku Maddy.

ROZDZIAŁ PIĄTY

J.T. z reguły zachowywał równowagę i spokój ducha i rzadko pozwalał, żeby coś go z tego stanu wytrącało. Kiedy jednak spojrział na maleństwo, które w nocy przyjmował na świat, nastąpił jeden z tych nielicznych momentów.

Maddy zauważyła, że John Thomas patrzy na dziecko jak na coś wyjątkowego. Zresztą i ją nachodziły myśli, że uczestniczy w magicznym wydarzeniu. Jej usta rozciągnęły się w uśmiechu. Z tego gliniarza wcale nie był taki twardziel, za jakiego chciał uchodzić.

- Może weźmiesz go na ręce ?

Jak automat ruszył do przodu, ale tym razem instynkt samozachowawczy zadziałał błyskawicznie i J.T. zatrzymał się w pół kroku. Musi zachować dystans. To dziecko w ogóle nie powin-

no pojawić się w jego życiu. Nie może angażować się w coś, co i tak nie ma żadnej przyszłości.

Bojąc się, że ręce nie posłuchają tych logicznych argumentów i zrobią coś głupiego, wcisnął je głęboko do kieszeni.

- Nie, wpadłem tylko zawiadomić cię o aucie. Nie słuchała, co mówi, tylko patrzyła mu w oczy.

- Na pewno? Nie jest już taki śliski. - Pielęgniarki wymyły i wypudrowały noworodka, no i pieluszka powinna być jeszcze sucha. - I znacznie ładniej pachnie.

Mimo najlepszych chęci wrócił myślami do poprzedniego wieczoru, do wspaniałych chwil, kiedy trzymał w ramionach noworodka. Niemal bez udziału woli podszedł do łóżeczka.

- Moim zdaniem wczoraj pachniał bardzo pięknie - powiedział cicho, patrząc na małą istotkę. Małeńka piąstka wysunięta z biało-niebieskiego kocyka leżała koło małego policzka.

Nie potrafiłby wyjaśnić, czemu postąpił dokładnie wbrew sobie.

Schylił się po dziecko i przytulił je do piersi. Przymknął oczy, gdy przeniknęło go ciepło maleństwa. Zaskoczyło go, że w miejsce bólu, którego się spodziewał, pojawiło się rozkoszne uczucie słodczy. Bardzo delikatnie pogłaskał czarne włoski.

- Chyba nigdy nie widziałem noworodka z tak

bujną czuprynką - powiedział zdziwiony, spoglądając na Maddy.

- W rodzinie mojego ojca to się często zdarza - odparła. Jak zahipnotyzowana wpatrywała się w J.T. i próbowała wyobrazić sobie na jego miejscu swojego męża. - Masz dzieci?

Odczuł jej pytanie jak bolesny policzek. Kiedy podniósł głowę, jego twarz wyglądała niemal jak skamieniała.

- Nie mam - rzucił sucho.

Dostrzegła ból, chociaż próbował go ukryć. Zaintrygowana drażyła dalej:

- Ale chciałeś mieć, prawda?

Spojrzał na nią tak ostro, że czym prędzej się wycofała. Nie powinna była tego mówić.

- Przepraszam. Moja matka zawsze powtarza, że nie znam umiaru. Spytałam, bo wyglądałeś tak smutno, a jednocześnie tak wprawnie trzymasz Johnny'ego.

Uniósł brwi, patrząc na śpiące niemowlę.

- Johnny'ego?-

Wyciągnęła rękę, żeby poprawić kocyk synka. Kiedy palcami musnęła rękę J.T., poczuła, jak napięły się jego mięśnie.

- Postanowiłam nadać mu imię męża... - Podniosła na niego oczy.

- I twoje. Od urodzenia będzie miał dwóch bohaterów.

Co mógł jej na to odpowiedzieć? Czy spodzie-

wała się, że pozostanie w, jej życiu tylko dlatego, że znalazł się we właściwym miejscu o właściwym czasie?- Nie zamierzał z nikim dzielić swojego życia, tak postanowił. Wystarczyło, że jego partner i pozostali koledzy z posterunku próbowali wciągnąć go do swojej paczki, chociaż bronił się przed nimi, jak mógł. Był samotnikiem i odpowiadało mu takie rozwiązanie. A poza tym nie zależało mu na czczych pochwałach.

- Nie znałem twojego męża, ale ze mnie żaden bohater. Lepiej, żeby twój syn znalazł sobie kogoś, kogo rzeczywiście mógłby podziwiać.

Spodobała się jej ta powściągliwość.

- Przyszedłeś mi na ratunek, a to w moim rozumieniu prawdziwe bohaterstwo. Czy ci się to podoba, czy nie - dodała szybko, nim zdążył zaprotestować - jesteście ze sobą w jakiś sposób związani. Niemowlę poruszyło się i nowa fala ciepła przeniknęła ciało J.T.

- Czemu sądzisz, że mi się to nie podoba? Chyba go rozgryzła. Wyglądał na człowieka,

który za wszelką cenę chciał się od innych trzymać z daleka, więc mówił „białe”, ilekroć inni widzieli „czarne”.

- Tak mi się zdaje. Podejrzewam, że już w szkole miałeś opinię trudnego we współżyciu indywidualisty.

Nieustannie stawiano mu taki zarzut. A właściwie przecież nie chodziło wcale o to, że zawsze miał inne zdanie. Nie sądził jednak, by miało sens przyłączanie się do grupy, tylko dlatego, że inni tak postępują. Niewielu nauczycieli potrafiło to zrozumieć, większość próbowała zmienić J.T.

- Rzeczywiście jestem typem samotnika, jeśli to miałaś na myśli - potwierdził jej opinię.

- Tak, właśnie to miałam na myśli. A zauważyłeś kiedyś, że samotnik i samotny to wyrazy pokrewnej

Rozumiał intencje i dobrą wolę Maddy, jednak nie zamierzał wdawać się w dyskusję na ten temat.

- Nigdy się nad tym nie zastanawiałem.

Nieprawda, pomyślała. Na pewno nieraz przyszło mu to do głowy. Wybrał świadomie taki sposób na życie, a teraz już nie potrafi zawrócić z obranej drogi.

- Samotność nie zawsze jest najlepszym rozwiązaniem.

- Mnie się podoba - uciał dyskusję.

Dał jej wyraźnie do zrozumienia, że powinna się wycofać, Maddy jednak postanowiła na razie zmienić taktykę. Musiała wdrzeć się za ten mur, którym się otoczył.

- A więc nie ma pani Walker?-

- Zamierzasz poznać historię mojego życia? - spytał oschle.

Miał nadzieję, że suchy, nieprzyjemny ton zniechęci ją. Znacznie bardziej odporni tracili w takiej sytuacji kontenans. Szybko się jednak przekonał, że nie docenił Madeline Rossini Reed.

- Chętnie - przyznała. - Jeśli tylko zechcesz mi ją opowiedzieć. Zaśmiał się krótko. Jeszcze chwila, a oznajmi mu, że należy jej się ta opowieść, skoro połączyło ich tak intymne przeżycie jak narodziny dziecka. Skorzystał jednak z furtki, którą zostawiła.

- Nie, wolę nie.

Maddy przechyliła głowę. Ciekawe, pomyślała, czy zdawał sobie sprawę, że zaczął właśnie kołysać dziecko, które cichutko zakwiliło- Nie miała wątpliwości, ten facet, pomimo pozornej oschłości, jest wspaniałym materiałem na ojca.

- Dlaczego?

Pytanie, zadane tak bezpośrednio, zupełnie zbiło go z pantafelku.

- Sądziłem, że dajesz mi wybór.

Widział jej uśmiech i poczuł tę samą słodycz, która ogarnęła go, gdy przytulił niemowlę.

- Chciałam być uprzejma.

Podszedł do okna i popatrzył na przystań. Żeglarstwo nigdy go nie pociągało, ale kołysane przez fale łodzie działały uspokajająco.

- A jesteś po prostu wścibska.

Nie powiodła się próba zawstydzenia jej.

- Faktycznie, czasami mi to zarzucają. Spojrzał na nią przez ramię.

- Jednak nie zdołali cię tego oduczyć.

- Nie.

Zapatrzył się na port. W szybie widział odbicie Maddy. Wziął głęboki oddech.

- Ponad dwa lata temu, w sylwestrową noc, moja żona zginęła w wypadku samochodowym. Właśnie zdecydowaliśmy się na dziecko.

Zrobiło jej się przykro.

- Jak sobie z tym radzisz?

Lekko wzruszył ramionami. Przede wszystkim próbował o tym za często nie myśleć.

- Jakoś mi idzie.

Miała na ten temat nieco odmienne zdanie.

- Jesteś tego pewien? Zaczynał tracić cierpliwość.

- Moja pani, dla mnie jedyną pewną rzeczą jest to, że słońce wciąż wschodzi, nawet jeśli ja uważam to za zbędne. - Przeszedł przez pokój i podał jej synka. Na Boga, czemu w ogóle tu przychodził?

- Czuję się podobnie, gdy zginął Johnny - odparła zupełnie nie spieszona złością, która malowała się na twarzy J.T.

- Ale ci przeszło - zauważył, wkładając w swoją odpowiedź tyle sarkazmu, by zabrzmiało to jak wyzwanie.

Wiedziała, że zawsze będzie odczuwać ból i tęsknotę za mężczyzną, który dla niej tyle znaczył; który razem z nią stworzył nowe życie i zostawił jej część siebie.

- Nie - odpowiedziała spokojnie. Była bardzo poważna. - Jednak uświadomiłam sobie, że John pragnąłby, abym żyła dalej. Zbyt mnie kochał, by chcieć oglądać mnie pogrążoną w żałobie i rezygnującą z życia. Gdyby stało się odwrotnie, też wolałabym, by nie umarł z powodu mojej śmierci. No, oczywiście najpierw powinien za mną trochę popłakać - dodała z uśmiechem, ale po chwili znów spoważniała. - Jednak przede wszystkim pragnęłabym jego szczęścia.

Lorna była równie bezinteresowna. Tylko jakie to miało teraz znaczenie?- Co za różnica, czego pragnęłaby dla niego?- Był, jaki był i czuł, co czuł. Jak ktoś, kto każdego dnia przedziera się przez piekło.

- Cóż, to nie zawsze działa w ten sposób. Zdziwił się, kiedy wzięła go za rękę.

- Ale mogłoby. Trzeba tylko chcieć.

- W tym właśnie problem. - Zdecydowanie cofnął rękę. - Ja chyba nie chcę.

Do diabła, czemu pozwolił wciągnąć się w tę rozmowę? Ta kobieta jest mu przecież całkiem obca, zatrzymał się przy niej tylko z poczucia obowiązku. Czemu więc tak się przed nią

odkrywać Dlaczego mówi jej o planach, jakie mieli z Lorną?-
Wściekły na siebie, postanowił jak najszybciej skończyć wizytę.

- Muszę już wracać.

Nie chciała, żeby wychodził, szczególnie w takim stanie. Co jednak mogła zrobić^

- Wpadniesz znowu4 - Tylko to przyszło jej do głowy.

Teraz na pewno znajdzie jakąś wiarygodną wymówkę.

- Myślałem, że cię jutro wypisują? - Szpitale zwykle odsyłały pacjentki do domów po dwóch dniach, jeśli nie było żadnych komplikacji.

- Właśnie - przytaknęła, zadowolona z pomysłu, który wpadł jej do głowy. - Mógłbyś nas odwiedzić do domu.

Na to nie był przygotowany.

- Niby dlaczego ja? - spytał całkiem zbity z tropu.

- Bo jesteś bohaterem Johnny'ego - odparła spokojnie.

Zniecierpliwił się. Nie chciał od niej podziękowań ani tym bardziej hymnów pochwalnych.

- Nie skończył nawet jednego dnia życia. Trudno, żeby miał już swoich bohaterów.

- Na to nigdy nie jest za wcześnie - odpowiedziała wesoło. Za wszelką cenę musi go

wywlec z tych otchłani czarnej rozpacz. - Poza tym byłeś pierwszym człowiekiem, którego ujrzał na świecie.

J.T. zatoczył ręką krąg.

- Kiedy wszedłem, było w tym pokoju więcej ludzi niż na niejednym festynie. Dlaczego ktoś z nich nie mógłby cię zabrać do domu?

Uniosła głowę.

- Bo proszę o to ciebie - odparła spokojnie. Zrezygnowany pokręcił głową. Gotów był się zgodzić na wszystko, byle tylko skończyć te słowne przepychanki.

- Zawsze jesteś taka przebojowa? Zwyciężyłam, pomyślała z radością.

- Zawsze. Jestem najmłodsza z rodzeństwa. Gdyby nie silne łokcie, nawet by mnie nie zauważyli. Nie miałabym szans... Nie uwierzył. Coś mu mówiło, że Maddy zawsze była w centrum uwagi.

Westchnął. Co mu szkodzi? Zajmie mu to raptem dwadzieścia minut. Odwiezie ją do domu i na tym skończy się jego udział w całej historii.

- No cóż. Przywiozłem cię tutaj, myślę więc, że mogę też odstawić cię do domu.

Co dziwne, podjęcie tej decyzji wcale go nie zdenerwowało, chociaż tego właśnie oczekiwał.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Lorraine *Rossini* wymieniła z synami porozumiewawcze spojrzenia. Z westchnieniem położyła samochodowy fotelik dziecięcy na jaskrawo-niebieskim szpitalnym krześle.

- Każde z nas mogłoby cię odwiedzić do domu - powiedziała podniesionym głosem, nie próbując ukryć rozczarowania. - Co ci przyszło do głowy, żeby prosić o to kompletnie obcego człowieka? No wiesz!

Przez cały wieczór Maddy próbowała dodzwonić się do rodziców, jednak nie udało jej się złapać matki. Krążyła zapewne z wieścią o wnuku po wszystkich krewnych, których wczorajszego popołudnia zabrakło w pokoju szpitalnym.

Rodzice byli prawdopodobnie jedynymi ludźmi w okolicy, którzy nie zafundowali sobie automatycznej sekretarki. W końcu Maddy nagrała wiadomość na

sekretarkę Tony'ego, jednego z braci, ale jak widać, nikt jej nie odsłuchał.

- Kiedy właśnie on wcale nie jest „kompletny”.

- Maddy posłużyła się słowami matki, by wyrazić swoje zdanie o J.T. - Wiele mu brakuje i chyba właśnie dlatego to jego poprosiłam o przysługę.

- Oho, zdaje się, że wrócił syndrom opiekunki porzuconych kociąt - ironicznie zauważył jej najstarszy brat. Przestał nerwowo przemierzać pokój i zatrzymał się przy łóżku.

Dawno już wyrosli z lat dzieciennych, które upłynęły im na ciągłej rywalizacji i walkach o pierwszeństwo. Od dawna też potrafili nie tylko dogadać się we wszystkich sprawach, ale także zgodnie prowadzić rodzinną firmę. Bracia jednak nadal widzieli w Maddy smarkulę, którą należy traktować pobłażliwie i patrzeć przez palce na jej szczeniackie wybryki.

już chciała zaprotestować, kiedy przyszło jej do głowy, że być może Bill ma rację. Nie warto wdawać się w dyskusję, czy użył właściwego określenia.

- John Thomas ponad dwa lata temu stracił żonę - zwróciła się do matki i natychmiast ujrzała błysk żalu w jej piwnych oczach.

Mało kto potrafił tak współczuć ludziom, jak jej matka.

- Podobnie przeżywaliśmy stratę bliskiej osoby, tylko on nadal nie potrafi otrząsnąć się z bólu.

Joe, młodszy z braci, wydawał się rozumieć jej intencje. Był od Maddy starszy zaledwie o trzynaście miesięcy i zawsze świetnie się dogadywali.

- A ty koniecznie chcesz mu w tym pomóc? Prychnęła. Nie zamierzała wysłuchiwać ich

pouczeń. Jej zdaniem zawsze zachowywali nadmierną ostrożność. Tak samo zachowywali się w pracy. Była jedyną osobą w firmie, która starała się wprowadzać zmiany, stosować jasne, radosne, czasem trochę szokujące połączenia kolorów.

- Co w tym złego, że staram się wyjść mu naprzeciw?

- Obyś się tylko nie potknęła - ostrzegł Bill, jak zwykle bardzo pragmatyczny.

Wszyscy mieli jak najlepsze chęci i chodziło im wyłącznie o jej dobro. Kiedy zginął Johnny, otoczyli ją opieką jak najszczelniejszą zbroją. Bez nich na pewno by zginęła.

- W razie czego pomożecie mi się podnieść. Jesteście wszyscy tak blisko, że wystarczy jeden telefon.

- Nawet bliżej, jeśli tylko zechcesz - wyrwał się Joe zapatrzony w siostrzeńca jak w obraz. Ciągle był kawalerem i na razie nie planował założenia własnej rodziny, bardzo mu więc odpowiadała rola wujka.

Maddy kochała ich ogromnie, ale trochę ją przytłaczali, a ona potrzebowała przestrzeni.

- Na razie dam sobie radę sama, ale dziękuję. Lorraine zaśmiała się pobłaźliwie.
- Ciekawe, czy powiesz to samo, gdy nadejdzie pora karmienia o drugiej w nocy.
- Chyba nie... - przyznała Maddy. W pierwszej chwili Lorraine zamierzała wprowadzić się do córki na przynajmniej dwa tygodnie, kiedy jednak Maddy stanowczo zaoponowała, ustaliły w końcu, że będzie tylko zostawać na noc. Maddy nie miała wyjścia. Gdyby nie wyraziła zgody, ryzykowała, że matka rozbije namiot pod jej drzwiami.
- Zresztą sama będziesz mogła się o tym przekonać, prawda?
- I przekonam się na pewno. No dobrze, idziemy, bo znów wystraszymy tego policjanta
- zwróciła się do synów i popchnęła obu znacznie od siebie wyższych mężczyzn w stronę drzwi.
- Wczoraj wyglądał, jakby miał ochotę czym prędzej stąd czmychnąć.
- A ciebie nie przeraziłby taki tłum? Zresztą, po prostu nie chciał przeszkadzać - Maddy stanęła w obronie J.T. - Zachowaj to unoszenie brwi na lepsze okazje - zwróciła się do Billa. Ucałowała każdego z braci na pożegnanie i uśmiechając się do matki, rzuciła: - Widzimy się wieczorem.
- Bez wątplenia - mruknęła Lorraine, wychodząc z pokoju.

J.T. zapukał do drzwi dwadzieścia minut później. Kiedy wchodził do pokoju, minę miał równie sceptyczną, jak poprzedniego dnia. Maddy już na niego czekała. Spakowana walizka stała na podłodze, dziecko smacznie spało w biało-niebieskim nosidełku.

Przyszedł, bo tak obiecał, jednak wątpliwości wcale go nie opuściły.

- Na pewno nie wolałabyś jechać z kimś z twojej licznej rodziny^

- Na pewno. - Zadzwoiła po pielęgniarkę, która miała przyprowadzić obowiązuający wszystkie pacjentki wózek. - Robią takie zamieszanie, jakbym była inwalidką - narzekała, patrząc na niego z lekką kpina. - Wydaje mi się, że ty nigdy nie wpadasz w panikę.

- Bo nie mam powodu.

Rozejrzał się po pokoju. Wszędzie stały kwiaty. Przez chwilę opadły go wątpliwości, czy nie powinien wczoraj pojawić się z bukietem. Bzdura, uspokoił się szybko. Nie przyszedł przecież z przyjacielską wizytą, a zresztą i tak zginęłyby w tym morzu roślin...

Przez moment zastanawiał się, jak powinien określić znajomość z Maddy, skoro to nie była przyjaźń. Nie, to bez sensu. Po co mu prowadzić takie bezsensowne rozważania 4 Musi skoncentrować się na chwili bieżącej, zrobić to, o co

poprosiła go Maddy. Potraktuje to jak kolejne zadanie, a potem skreśli w kalendarzu kolejny mijający dzień.

- Chcesz je zabrać ze sobą? - spytał, wskazując wspaniałe bukiety.

Maddy uśmiechem powitała pielęgniarkę, która właśnie Weszła; z jej pomocą usiadła w wózku i wzięła na ręce synka.

- Nie, prosiłam już siostry, żeby rozstawiły je w szpitalnych pokojach. Przyznasz chyba, że robi się weselej, gdy dokoła są kwiaty.

Na grobie Lorny było ich pełno. Nie widział w tym nic wesołego.

- Nie - odparł ponuro.

Jego spojrzenie ostrzegło ją, że powinna zmienić temat.

- Nie zapomnij o foteliku samochodowym

- zwróciła mu uwagę, widząc, że w rękę trzyma tylko walizkę.

Cofnął się szybko do pokoju.

- Czy twój szef nie miał żadnych obiekcji?

- spytała, gdy dołączył do nich na korytarzu i ruszyli w stronę windy. J.T. dziękował Bogu, że przynajmniej pielęgniarka się nie odzywa.

- Skąd ten pomysł? - zdziwił się.

- Chyba musiałeś się zwolnić, żeby tu przyjechać. Czy taki Drzwi windy rozsunęły się. J.T. zasłonił dłonią fotokomórkę, żeby pielęgniarka mogła

bezpiecznie i bez pośpiechu wtoczył wózek z pacjentką do kabiny.

- Mam teraz wolne - odparł, wsiadając za nimi i wciskając guzik z oznaczeniem parteru. - Zapomniałaś, że pracuję na nocną zmianę¹?

- Zawsze masz służbę w nocy? Ależ ze mnie szczęściara. - Uśmiechnęła się i odwróciła głowę do pielęgniarki. - To on odebrał dziecko. Zaczęłam rodzić, a mój samochód odmówił posłuszeństwa na środku drogi.

Pielęgniarka spojrzała na J.T. ze szczerym podziwem.

- Faktycznie, miała pani szczęście - zgodziła się. Nie lubił znajdować się w centrum uwagi bez względu na powody. Wzruszył ramionami.

- To samo zrobiłby każdy inny patrol.

Na drugim piętrze do windy wsiadło dwoje ludzi. Maddy podniosła oczy na J.T.

- Zawsze uważasz, że szklanka jest do połowy pusta, co?

Co ją obchodzi jego podejście do życia i czemu, na Boga, zadaje mu takie pytania w obecności innych ludzi?- Bał się, że milcząc, sprowokuje Maddy do dalszych pytań, postanowił więc udawać, że zgadza się z jej opinią. Zresztą, czy rzeczywiście tak bardzo udawał?

- Do połowy pusta, brudna i na dodatek pęknięta. Tak właśnie uważam.

Maddy pokiwała głową. Spodziewała się dokładnie takiej odpowiedzi. Miała wrażenie, że trafiła na problem jakby specjalnie dla niej stworzony. Była gotowa zmierzyć się z tym zadaniem i doskonale zdawała sobie z tego sprawę.

Odstawiając wczoraj auto, właściwie w ogóle nie zwrócił uwagi na otoczenie. Maddy mieszkała w piętrowym domu, jakby z rozmysłem zbudowanym dla dużej, wielodzietnej rodziny.

Zatrzymał samochód i rozejrzał się wokół.

- Tu mieszkasz?

- Tak - odparła zdziwiona. O co chodzi, przecież był tu wczoraj...
Spojrzał na nią uważnie.

- Sama?

Teraz już nie, pomyślała.

- Czemu pytasz? Nie podoba ci się? Kochała ten dom, wszystkie jego kąty. W każdym pokoju, każdym zakamarku kryło się wiele wspomnień. Zamieszkali tu ponad pięć lat temu, zaraz po ślubie. Johnny nie wtrącał się, kiedy urządzała wnętrza. Zawsze twierdził, że na jego smaku można polegać wyłącznie w kuchni. J.T. wzruszył ramionami. Chyba zgubiłby się tu zaraz po przekroczeniu progu. Dawno sprzedał dom, który kupili razem z Lorną, i zamieszkał

w mieszkaniu, gdzie stały tylko najniezbędniejsze sprzęty:
lodówka, stół, łóżko i komoda.

- Wydaje się zbyt duży dla jednej osoby.

- Teraz jest nas dwoje - poprawiła go, patrząc na tylne siedzenie,
gdzie drzemał jej synek.

Chciała już wejść do środka. Nie mogła się doczekać, żeby
ułożyć dziecko w ozdobionej licznymi falbankami kołysce, którą
obdarowała ją matka. Sięgnęła do klamki, ale J.T. przytrzymał jej
dłoń.

- Poczekaj momencik - poprosił. - Nie powinnaś sama wysiadać -
wyjaśnił, widząc jej zdziwione spojrzenie. - Jesteś jeszcze
osłabiona.

Nie przypuszczała, że potrafi grać rolę rycerza.

- Chyba za mało mnie znasz. - Najwyraźniej zamierzała
sprostować jego błędną opinię na swój temat.

Zgoda, nie znał jej. Ale też wcale nie chciał jej poznawać.

Obiecał odwiedzić ją do domu i na tym kończyła się jego rola.

Potem każde z nich pójdzie swoją drogą. Tak będzie, bo właśnie
tego chciał.

- Może i jesteś silna, ale nienawidzę niepotrzebnego ryzyka.

Siedź tutaj. - Zabrzmiało to jak rozkaz, nie prośba. Okrążył
samochód i energicznie otworzył drzwiczki. - No, teraz możesz
wysiadać.

Uśmiechnęła się szeroko.

- Tak jest!

Jej uśmiech zbladł trochę, kiedy się podniosła i nagle świat wokół niej zawirował. Oszołomiona chwyciła J.T. za ramię. Poczowała, jak ją obejmuje i przyciąga do siebie, pomagając zachować równowagę.

Wiedziała, że przyczyną fali ciepła, która ją ogarnęła, nie było grożące jej omdlenie, lecz mężczyzna, który mu zapobiegł. Zaczerpnęła powietrza i uniosła głowę.

- Zdaje się, że miałeś rację.

- Rzadko się mylę - odparł ze stoickim spokojem i bardzo poważnie.

Znów się uśmiechnęła.

- Spróbuję to zapamiętać.

Nie powinien jej tak obejmować, bez względu na okoliczności. Nie podobała mu się taka poufałość ani fakt, że czuł się w tej chwili po prostu cudownie.

- Możesz już stać o własnych siłach[^] Nogi przestały się pod nią uginać.

- Tak.

Naprawdę nie chciał trzymać jej w ramionach. Nie miał pojęcia, co go opętało. Może to jej bliskość, a może niezwykle podobieństwo do Lorny.

Może też zbyt długo był samotny. Jedno nie ulegało wątpliwości: Maddy nie miała na to żadnego wpływu, nie o nią tu chodziło.

I choć z pewnością nie potrafiłby podać ani jednego rozsądnego powodu, zrobił to.

Pochylił głowę i delikatnie musnął wargami jej piękne usta.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Przez chwilę toczył wewnętrzną walkę. Instynkt samozachowawczy kazał mu się wycofać, pożądanie popychało go do działania. Nim zdążył się opamiętać, pocałunek rozkwitł, pogłębił się. J.T. poczuł w piersi ucisk, który odbierał mu oddech. Jej usta były takie słodkie, tak łatwo było się zapomnieć. Kusiło go, żeby się temu poddać. Tak długo nic nie czuł, od tak dawna jego życie wypełniały tylko cienie.

Pogłaskał jej twarz, gładził dłonią jej gorącą skórę. Pamiętał, że kiedyś, w innym życiu, wszystko było inaczej.

Do diabła, co ja wyprawiam! - opamiętał się. Rzeczywistość podziałała na niego jak zimny prysznic. Jeszcze nigdy w życiu nie postąpił pochopnie, nie pozwalał, by kierowały nim uczucia. Na Boga, przecież dawno wyzbył się

wszelkich podobnych emocji! I nigdy, przenigdy, im nie ulegał!
A jednak... Wystarczył moment, żeby zaprzeczyć tym wszystkim twierdzeniom.

Wstrząśnięty i wściekły na siebie, opuścił rękę i cofnął się o krok.
- Maddy, przepraszam cię bardzo... - Nie miał pojęcia, jak się tłumaczyć.

Poruszył w niej jakąś strunę, przypomniał, że nie zawsze była wdową i nie tak dawno jeszcze wzbudzała pożądanie. Zauważyła jego zażenowanie. Zawstydził się jak dziecko przyłapanie na potajemnym wyjadaniu ciasteczek.

W jej oczach pojawił się uśmiech.

- Dlaczego? Czyżbym zionęła cebulą? Patrzył na nią bez słowa.

Dopiero po chwili

zrozumiał, że próbuje żartem pokryć ich obopólne zmieszanie.

- Nie, to znaczy... Nie chciałem, żeby to się zdarzyło.

Chyba słusznie podejrzewała, że John Thomas Walker nigdy nie zrobiłby czegoś wbrew sobie. W tej chwili na pewno był zły, ponieważ miał ochotę ją pocałować. Uważał to za karygodny błąd. Była w stanie go zrozumieć, bo sama przez to przeszła. Wiedziała, że tak wygląda pierwszy krok, który prowadzi do pogodzenia się z faktem, że nadal żyjesz, choć osoba, którą kochałeś, odeszła.

- Czasami dobrze jest postępować spontanicznie. - Nie chciała, żeby czuł się niezręcznie. - Nie masz za co przepraszać. Przecież do niczego mnie nie zmuszałeś. - Patrzyła mu prosto w oczy. - Nie pocałowałbyś mnie, gdybym i ja tego nie chciała.

Zaśmiał się sucho. Żarty sobie z niego stroi?-

- Przed momentem przekonałem się, jaka jesteś silna. Nie poradziłabyś sobie nawet z pchłą.

Miała świadomość, że jej nie zrozumiał. Nie zdawał sobie sprawy, jak dobrze go już poznała. A może wolał tego nie wiedzieć.

- Nie to chciałam powiedzieć. Nie musiałabym używać siły. Nie wobec ciebie, bo ty nigdy nie zmuszasz kobiet do robienia czegoś, na co nie mają ochoty.

Zmarszczył brwi. Nie powinna tak bardzo ufać ludziom. Nic dziwnego, że rodzina bała się ją spuścić z oka. Tak, powinni nad nią czuwać, bo gotowa zrobić jakieś głupstwo.

- Znasz mnie zaledwie od dwóch dni. Skąd możesz wiedzieć, jakim jestem człowiekiem? - To, że noszę mundur...

Potrząsnęła głową. Znów ją źle zrozumiał.

- Mundur nie ma tu nic do rzeczy. To można dostrzec, patrząc uważnie na człowieka.

Próbował zwalczyć ogarniające go, znajome uczucie ciepła.

Musiał pamiętać, że była zaledwie przypadkową znajomą.

No, tak, zaśmiał się w duchu. Przed chwilą całowałaś tę przypadkową znajomą.

Prychnął lekceważąco, słysząc jej wyjaśnienie.

- Wyczytałaś to z dłoni czy z fusów? Wiedziała, że będzie próbował ją zbyć, ale nie zamierzała mu na to pozwolić.

- Stosuję o wiele precyzyjniejsze metody. Słyszałeś chyba, że oczy są zwierciadłem duszy? - A twoje w dodatku są piękne, pomyślała.

Dusza. Już dawno w nią nie wierzył. Pozostała mu jedynie wiara w ból i cierpienie. Bezkresne, wszechobecne, nie znające granic i wieczne...

- Nie mam duszy. Straciłem ją dwa lata temu. Patrzyła na niego przez dłuższą chwilę. Tuż pod gniewem krył się smutek.

- Czyli już najwyższa pora, byś ją znów odnalazł.

Niemowle w samochodzie zaczęło popłakiwać.

- Moim zdaniem raczej najwyższa pora, żebyś weszła z dzieckiem do domu.

Tym razem postanowiła go posłuchać.

J.T. opuścił dom Maddy pół godziny później. Idąc do samochodu, złożył sobie solenne przyrzeczenie, że nie zobaczy jej więcej. Teraz zresztą nie miał już żadnych powodów, by się z nią spotykać.

Właściwie dotrzymał słowa. No, może poza tym jednym przypadkiem, kiedy przejechał koło

jej domu, patrolując okolicę, która, powiedzmy otwarcie, nie należała do jego rewiru.

Kusiło go tamtego popołudnia, żeby zajrzeć do Maddy chociaż na chwilę. Tylko, jak miałby to wytłumaczyć? Zaraz by go przejrzała, gdyby stanął w progu, mamrocząc, że wpadł dowiedzieć się, co słyhać. Poza tym przecież nie chciał się angażować. W nic i z nikim.

Nigdy dotąd nie czuł się tak zaskoczony, jak półtora tygodnia później, kiedy do wozu patrolowego przełączono prywatną rozmowę telefoniczną.

Zapomniał już, jak bardzo melodyjny jest głos Maddy.

- W jaki sposób udało ci się uzyskać połączenie? - spytał ostro, przybierając oficjalny, służbowy ton.

Długo czekała cierpliwie na wizytę Johna Thomasa. W końcu postanowiła wziąć sprawy we własne ręce. Nie pozwoli, aby znowu schronił się w swoim pancerzu.

- Przedstawiłam się w centrali jako twoja siostra i powiedziałam, że to sprawa niecierpiąca zwłoki. - Nie musiała widzieć jego miny, żeby zdawać sobie sprawę, co myśli. Trudno, czasem cel uświęca środki. - Przepraszam. Wiem, że to niezgodne z przepisami, ale inaczej nie miałam szans skontaktować się z tobą.

J.T. westchnął, celowo omijając wzrokiem partnera. Domyślał się, że Fenelli spogląda na niego z dumą właściwą ojcu, którego syn wreszcie dojrzał i idąc za radą rodzica, rozpoczął dorosłe życie.

- Dobra, udało ci się. Co to za nagła sprawa?

- Chcę cię prosić, żebyś został ojcem chrzestnym Johnny'ego. -

Szcześliwa, że od razu nie rzucił słuchawki, mówiła dalej: -

Chrzest odbędzie się w najbliższą niedzielę, w kościele św.

Marka na Alton, o drugiej. No, powinnam już kończyć. Zadzwoń do mnie.

Oszołomiony patrzył na słuchawkę, z której przed chwilą dobiegał głos Maddy. W tej chwili słyhać było tylko ciągły sygnał. Niewiarygodne. Przełknął przekleństwo i odłożył słuchawkę, wkładając w to odrobinę więcej siły, niż było konieczne.

J.T. nie musiał nawet patrzeć na partnera, aby widzieć, że na jego twarzy pojawił się szeroki, promienny uśmiech.

- I co powiesz? - spytał Fenelli.

J.T. zapatrzył się w ciemność przed sobą.

- Nic.

Fenelli zaśmiał się.

- To „nic” ma bardzo zmysłowy głos.

Od czterech lat byli partnerami. Kiedy J.T. postanowił wziąć nocną służbę, Fenelli natych-

miast zgłosił chęć towarzyszenia mu, chociaż Walker tłumaczył starszemu koledze, że nie ma takiej potrzeby. Nagle uświadomił sobie, że Fenelli pod wieloma względami jest podobny do Maddy.

- To długa historia - odparł wymijająco. Ulice były puste i ciemne. Zaspane, jak mieszkańcy domów, które mijali.

- Mamy czas, a ja lubię długie historie.

- Tak, wiem. Ciagle je opowiadasz - prychnął ze złością J.T.

Jednakże Fenelli był odporny na takie zaczepki. Wychowywał się w dużej rodzinie, miał sześcioro rodzeństwa i skórę grubą jak nosorożec. Nie sposób było go obrazić.

- No, to przyszła kolej na ciebie.

J.T. wiedział, że partner nie odpuści, postanowił więc w skrócie przedstawić mu wydarzenia tamtej nocy.

- Tego wieczoru, kiedy leżałeś chory, pomagałem tej kobiecie w porodzie. - Spojrzał na partnera z wyrzutem. - Gdybyś wyjechał ze mną na patrol, ty odbierałbyś dziecko.

Fenelli, w przeciwieństwie do J.T. był urodzonym optymistą, twierdził nawet, że dzięki temu mogą ze sobą wytrzymać. A poza tym wierzył w przeznaczenie.

- Nic się nie dzieje bez powodu. Pewno los

chciał, żebym tego dnia nie pracował. Nie przyszło ci to do głowy

- Nie - odburknął J.T. Skłamał. Myślał przecież o tym od półtora tygodnia, za każdym razem, gdy przypominał sobie Maddy. Jednym słowem, znacznie częściej, niżby sobie tego życzył. Ciągłe też nękała go uporczywa myśl, że jego życie nie skomplikowałyby się tak bardzo, gdyby Fenelli nie zachorował na gripę.

Następnego ranka wybrał się do Maddy. Będzie musiała znaleźć innego ojca chrzestnego. Po drodze powtarzał sobie starannie ułożone przemówienie. Jednakże, kiedy ją ujrzał w drzwiach, wszystkie słowa nagle ulotniły się.

Stała na progu w niebieskiej bawełnianej sukience, która na innej kobiecie wisiałaby jak worek, u niej zaś podkreślała kształty, których półtora tygodnia temu nawet nie podejrzewał. Gdyby nie dziecko na ręku, trudno byłoby poznać, że dopiero co chodziła w ciąży.

Nie zapięła jednego z białych guziczków i w rozcięciu sukienki dostrzegł jej pełne, kształtne piersi. Zdał sobie sprawę, że gapi się na nią jak sroka w gnat, więc czym prędzej podniósł wzrok.

Właśnie skończyła karmić synka. W duchu pogratulowała sobie takiego wyczucia czasu. Otworzyła szerzej drzwi, zapraszając J.T. do środka.

- Miałam nadzieję, że wpadniesz.
- Dlaczego ja? - Przeszedł do sedna sprawy, kiedy tylko odzyskał głos.

- Bo to ty przyszedłeś mi z pomocą. Bo byłeś pierwszą osobą, którą zobaczył Johnny. Bo chcę znaleźć pretekst, żeby nadal widywał cię od czasu do czasu - wymieniła jednym tchem, zamykając drzwi.

Przykro mi, ale nie może być o tym mowy. Nie. W żadnym wypadku. To wszystko zamierzał powiedzieć. Teraz jednak wcisnął tylko ręce do kieszeni. Czuł się dziwnie bezsilny w obecności tej kruchej kobiety.

- Jakie są właściwie obowiązki ojca chrzestnego?

Okazuje się, że to nie takie trudne, jak przewidywała. Ułożyła Johnny'ego na ramieniu i delikatnie poklepując jego plecki, czekała, aż się dziecku odbije:

- Formalne czy rzeczywistej

Patrzył na nią ponuro, powtarzając sobie w duchu, że musi ją traktować bezosobowo. Nie takie to proste, pomyślał. Łatwiej byłoby mu chyba zwyciężyć w konkursie piękności.

- Formalności mnie nie interesują.

- A więc powinieneś wpaść od czasu do czasu i pograć z nim w piłkę. Może czasem zabrać go na mecz. Pamiętać o urodzinach i Gwiazdce. Pokazać

mu, jaki byłby jego ojciec, gdyby żył. Chcę, żeby Johnny był dumny, że miał ojca policjanta. - Rysy jej złagodniały na wspomnienie o mężu.

Pragnął odmówić. Zdawał sobie sprawę, jak skomplikuje sobie życie, jeśli się zgodzi. Jednak tym razem słowo „nie” nie wydawało się tak łatwe do wypowiedzenia jak zawsze. I wcale nie chciał analizować, czemu tak się dzieje.

- Nie pomyślałaś, że mogę być innego wyznania niż ty i twój syn? Przepisy prawa kanonicznego były nieubłagane, ale zawsze można było znaleźć sposoby, aby je ominąć. Liczyła na to, że w ogólnym rozrachunku drobne kłamstwa zostaną jej wybaczone. Bądź co bądź, ratowała ludzką duszę, a co najmniej przywracała człowieka do życia. Jej w trudnych chwilach pomogła rodzina. J.T. natomiast, jak zdążyła się zorientować, nie miał nikogo.

- W sprawach związanych z religią Johnny zawsze może liczyć na swoich wujków - odrzuciła jego argument.

Czyżby znalazł wyjście z tarapatów? - Chyba może również grać z nimi w piłkę? - powiedział z nadzieją. Roześmiała się.

- Od razu widać, że nie znasz moich braci. Są znakomitymi projektantami wewnątrz, każdy z nich ma świetne oko, jeśli w grę wchodzi kolory

i proporcje. Nie mają jednak pojęcia, co zrobić z małym okrągłym przedmiotem rzuconym w ich stronę. - Odwróciła niemowlę tak, że śliczna dziecięca buzia znalazła się tuż przy twarzy J.T. - Sam powiedz, potrafisz mu odmówić? Delikatnie przypomniała mu, że robi to dla dziecka, nie dla niej. Jednak J.T. w głębi duszy wiedział, że jego zgoda nie ma nic wspólnego z tym malcem. - Masz rację. Nie potrafię.

ROZDZIAŁ ÓSMY

W niedzielę J.T. czuł się fatalnie. Czemu właściwie dał się uwikłać w całą tę historię? Po południu jak lunatyk wszedł do auta i pojechał do kościoła. Ciągle się zastanawiał, lecz nie umiał sobie wytłumaczyć, jak to się stało, że wyraził zgodę, aby zostać ojcem chrzestnym dziecka Maddy. Nie nadawał się przecież zupełnie do tej roli.

Pocieszał się trochę, że rodzice chrzestni nie muszą się specjalnie udzielać. Swoich na przykład w ogóle nie mógł sobie przypomnieć. W jego życiu ojciec chrzestny na pewno nie odegrał znaczącej roli. Trzeba przez to przejść, przetrwać uroczystość i na tym wreszcie zakończyć całą sprawę. Tym razem definitywnie.

Uderzyło go, że takich samych sformułowań użył poprzednio, myśląc o Maddy. No tak, jednak

tym razem będzie się trzymał swoich postanowień. Na pewno. Z ciężkim westchnieniem skręcił w prawo za skrzyżowaniem i wjechał na przykościelny parking. Poczł ucisk w gardle na widok znajomego budynku. To oczywiście zbieg okoliczności, ale czemu Maddy musiała wybrać akurat ten kościół? Właśnie u Św. Marka brali z Lorną ślub. Tu także, dwa lata temu, odbyła się msza żałobna.

Od tamtego dnia nie przyszedł tu ani razu. Wiarę i duszę pogrzebał w tym samym grobie, w którym złożył żonę. Wziął się w garść, wysiadł z samochodu i pokonał kilka kamiennych schodków. Przed drzwiami czekał na niego mężczyzna, którego widział wcześniej w szpitalu w pokoju Maddy. Na oko wydawał się o kilka lat starszy od J.T. i parę centymetrów wyższy.

- Cześć, jestem Bill. Czekają na ciebie - powiedział, chwytając J.T. za ramię.

Nie znoził, kiedy go dotykano. Zdecydowanie wyszarpnął rękę.

- Skąd wiesz, że jestem właściwą osobą?

- Maddy cię opisała.

Stłumił pokusę, żeby rozwinąć temat. Intrygowało go, co też mogła powiedzieć.

Chrzcielnica była po lewej stronie od wejścia. Na co dzień od głównej nawy odgradzała ją

ozdobna, wykuta z żelaza krata, którą dziś otworzono. Wokół stanęła grupka ludzi z księdzem pośrodku. Maddy trzymała na rękę syna, w białym ubranku. Za duże skarpetki sięgały malcowi aż za kolanka.

Uśmiechem powitała J.T. Najwyraźniej czekali już tylko na niego.

- Prawie uwierzyłam, że zmieniłeś zdanie - szepnęła, podając mu dziecko.

- Zmieniłem - odparł. - Dlatego przyszedłem. W oczach duchownego J.T. zauważył błysk

rozpoznania, lecz nie zdradził się, iż pamięta, że ten sam ksiądz prowadził nabożeństwo żałobne, a potem modlił się nad grobem Lorny. Zresztą, jakie to teraz ma znaczenie?

Nie było powodu, żeby odświeżać kontakty ani z tym człowiekiem, ani z instytucją, którą reprezentował. J.T. dawno pogrzebał tę część swojej osobowości, której zależało na tak zwanym życiu duchowym.

Co go skłoniło, żeby tu przyjść i udawać, że zgadza się stanąć na straży nieśmiertelnej duszy tej maleńkiej niewinnej istoty, że gotów jest recytować chłopcu słowa, którymi i jego karmiono od dziecka? Czyż nie taka jest rola ojca chrzestnego?- Nadawał się do tego w równym stopniu, jak niedźwiedź polarny do życia w tropikach, a może jeszcze mniej.

To wszystko jej wina, myślał, patrząc z ukosa na Maddy. Ale dość już tego. Wcześniej nie potrafił jej odmówić, jednak do niczego więcej nie da się zmusić. Bez względu na to, co jeszcze szykowała, może go spokojnie wykreślić ze swoich planów. Weźmie udział w ceremonii i na tym koniec.

Niestety, znów się przeliczył.

W gruncie rzeczy przeczuwał kolejną porażkę. Po ceremonii usłyszał, jak Bill i Tony rozmawiają o planowanym przyjęciu. Dadzą sobie radę beze mnie, pomyślał. Nie umawiał się z Maddy, że zostanie dłużej, a poza tym wcale nie zamierzał zadawać się z taką chmarą nieznajomych ludzi.

Cóż, kiedy Maddy udaremniła jego misterny plan ucieczki.

Ledwie ksiądz oddalił się, a już Maddy chwyciła J.T. pod rękę i poprowadziła do zaparkowanego przed kościołem auta. J.T. patrzył na dziecko wygodnie ułożone na drugim ramieniu Maddy i wyraźnie zadowolone z bliskości mamy. Mały wydawał się taki spokojny...

O sobie nie mógł tego powiedzieć. Na pewno nie był zadowolony... Tylko, na miłość boską, dlaczego dawał się jej prowadzić? Czemu nie odsunął się i nie odszedł?

Za żadne skarby nie przyznałby się nawet przed -sobą, że nie tylko nie sprawiało mu to przykrości, ale wręcz radowało...

- Dziękuję w imieniu Johnny'ego. Spojrzał na buzię chłopczyka. Zdawał sobie

sprawę, że w tym wieku dzieci nie uśmiechają się świadomie, teraz jednak wyraźnie widział, jak małe usteczka układają się do uśmiechu. To niemowlę zauroczyło go prawie tak samo, jak jego matka.

Za wszelką cenę próbował nie wypaść z narzuconej sobie roli.

- Wątpię, czy jemu robi to jakąś różnicę. Maddy wierzyła święcie, że niemowlęta zdają sobie sprawę z otaczającego świata w znacznie większym stopniu, niż to podejrzewają dorośli.

- Może jeszcze nie w tej chwili, ale ja to w każdym razie doceniam.

Ucałowała małą główkę i przypięła synka pasami do fotelika.

Johnny, którego płuca znacznie się już wzmocniły, gwałtownie zaprotestował.

Maddy podniosła oczy na J.T.

- Znasz drogę do „DiAngelo”?

Spojrzał na nią podejrzliwie. Całe życie spędził w Bedford i znał to miasto jak własną kieszeń, a może nawet lepiej.

- Czemu pytasz?

- Tam właśnie odbywa się przyjęcie - wyjaś-

niła z niewinną miną i wskazując dziecko, dodała: - Gość honorowy musi być na nim obecny, a wolałabym, żebyś ty nas odwiózł. W tę stronę jechaliśmy z Billem, lecz on prowadzi jak kierowca rajdowy. Chyba jeszcze nie wydorósł. Rozejrzał się po parkingu.

- A co z moim autem?

- Odwieziemy cię tu po przyjęciu.

- No, a Bill? Jak on się tam dostanie?

- Pojedzie z kimś innym.

Na wszystko potrafiła znaleźć odpowiedź. Jego zaś wyraźnie zawiódł refleks.

- Ale przede wszystkim, o jakim przyjęciu mówimy? - postanowił udąć głupiego.

Wyjaśniła mu wszystko, jakby rozmawiała z przybyszem z innej planety. Mówiąc do niego, miała w istocie wrażenie, że tak właśnie jest. Wprowadzając go na nowo w świat, zamierzała spłacić dług wdzięczności. Przynajmniej tyle mogła zrobić. Zresztą jej zdaniem mieli wiele wspólnego, łączyło ich to, że oboje przeżyli wielką tragedię.

- Takie spotkanie z okazji chrztu to przyjęty zwyczaj. Mama wpadła na pomysł, żeby urządzić je w restauracji. Unikniemy dzięki temu zmywania i sprzątanía. - Maddy uśmiechnęła się. na wspomnienie przerażonej miny matki, gdy Lorraine wyobraziła sobie bałagan pozostawiony przez kilkudziesięciu gości.

Odniósł wrażenie, że od chwili, kiedy ją poznał, ciągle musi podejmować próby, żeby się z czegoś wykpić.

- Hmm...

Wiedziała, co znaczy to chrząknięcie. Zamierzał odmówić.

- Będzie tylko najbliższa rodzina, wyłącznie goście obecni na chrzcie w kościele - wtrąciła pospiesznie, nie dając mu dojść do słowa.

Kątem oka widział ludzi, którzy w kościele zajmowali kilka ławek. Wcześniej nie wiązał ich obecności z chrztem Johnny'ego.

- Nie gryzą, naprawdę. Nie zrobili tego w kościele, nie pokasają cię i w restauracji. Obiecuję

- odezwała się prosząco.

Właściwie, co mu szkodzi zgodzić się jeszcze jeden raz?

Ciekawe, skąd ona bierze ten dar przekonywania? Swoją drogą, mogłaby spróbować zrozumieć jego stanowisko. Chociaż nie, to raczej on powinien wreszcie zdobyć się na odmowę.

Jednak, kiedy kręcąc bezradnie głową, spojrzał na Maddy uważnie, w jego wzroku trudno by się dopatrzeć niezadowolenia.

- Chyba cię potwornie rozpieszczano w dzieciństwie?

- Rozpieszczano? Mnie? Skądże znowu.

- Uśmiechnęła się radośnie. Wiedziała, że zwycię-

żyła. - Na wszystko musiałam ciężko zapracować. Nie zauważyłaś jeszcze, że mam siłę, wytrzymałość i upór bullteriera?

Co jak co, ale to na pewno rzucało się w oczy.

Kłopot w tym, że widział znacznie więcej. Na przykład uśmiech, który zawsze najpierw rozjaśniał jej oczy, a dopiero potem pojawiał się na twarzy. Albo to, jak podnosiła na niego wzrok, kiedy chciała go do czegoś nakłonić.

Wystarczy! W jego życiu nie ma miejsca na uczucia, które nagle zaczęły dawać o sobie znać.

Nie ma najmniejszego powodu, żeby ją widywał i przebywał w jej towarzystwie. Przysiągł sobie, że nigdy więcej nie dopuści do sytuacji, w której okrutny przypadek może zniemacka złamać mu serce. Już raz przeżywał to piekło i nie chciał, by kiedykolwiek się powtórzyło. Nie zniósłby tego...

Jeśli znów wkroczę na zaminowany teren, będę potem mógł obwiniać wyłącznie siebie, pomyślał ponuro. Po czym, pełen poczucia winy, zabrał Maddy i Johnny'ego na przyjęcie.

- Wcale nie tańczysz.

Wybór miejsca przy stole, gdzie siedziała matka Maddy, okazał się strasznym błędem. Lorraine mówiła bez przerwy, chyba w ogóle nie potrzebowała przerwy na zaczerpnięcie oddechu.

Szczerliwie pan Rossini często zabierał żonę na parkiet, dzięki czemu J.T. miał czas na zebranie sił przed kolejnymi atakami jej gadulstwa.

Rozważał właśnie możliwość wymknięcia się z restauracji, kiedy zza krzesła dobiegła go cicha uwaga Maddy.

- Mam swoje powody - odparł.

Nie zważając na jego opór, chwyciła go za rękę.

- Opowiesz mi o tym na parkiecie.

- Maddy, ja nie tańczę - zaprotestował zdecydowanie.

Jego słowa zdawały się w ogóle do niej nie docierać.

- Ale ustać na nogach potrafisz, prawda? Zatrzymał się i popatrzył na nią zdziwiony. Ta kobieta była niepoprawna.

- Chcesz, żebym stał bez ruchu na środku sali?

- Przynajmniej na początku. - Zajęła się nim, jakby był manekinem. Jedną jego rękę położyła na swoich plecach, w drugą wsunęła dłoń. - Poddaj się muzyce. Zobaczysz, rytm cię porwie. Jednak to nie rytm go porwał, tylko ona. Grali właśnie wolną piosenkę, a Maddy była tak blisko, że czuł każdy jej oddech, gdy kołysała się w rytm melodii.

- Po prostu odpręż się - namawiała go. - Daję słowo, że nikt cię tu nie będzie oceniał.

Spojrzał na uniesioną twarz Maddy i przyłapał

się na tym, że musi walczyć z pragnieniem pocałowania jej. Ona chyba jest czarownicą!

- Nawet ty?

- Oczywiście - uśmiechnęła się ciepło. Nie miał nic do stracenia.

- Sama tego chciałaś.

Zamknął dłoń na jej palcach, ręką ułożoną w pasie przyciągnął ją do siebie. Co prawda rzeczywiście nigdy nie tańczył, jednak uznał, że woli przez kilka minut markować taniec, niż się z nią kłócić. Na parkiecie miał przynajmniej jakieś szanse, mógł zachować twarz. Natomiast podczas dyskusji z Maddy był z góry skazany na porażkę.

Maddy uniosła głowę i popatrzyła na niego z uśmiechem, który poruszał w nim najczulsze struny.

- Wiem o tym.

Zmusił się, żeby patrzeć ponad jej głową.

- A co na to twoja rodzina?

- Na co?

Na piersi czuł jej ciepły oddech, od którego zakręciło mu się w głowie.

- Co myślą o tym, że mnie wybrałaś na ojca chrzestnego?

- Pochwalili mnie za znakomity wybór. - Nie była to całkiem prawda, ale Maddy wiedziała, że w końcu najbliżsi przyznają jej rację.

J.T. wątpił w szczerść jej odpowiedzi, lecz

w żadnym razie nie zamierzał wdawać się w długą dyskusję. I tak pewno nie zdołałby wydobyć z tej kobiety prawdy.

- Na wszystko masz gotową odpowiedź, co? Roześmiała się.

- Och, po prostu jak dotąd zadajesz mi łatwe pytania, więc mogę czuć się bezpiecznie.

Ona jest bezpieczna, a co z nim? Jeszcze dwa tygodnie temu twierdził stanowczo, że jedyne uczucie, jakie może w sobie wzbudzić, to gniew. Teraz jednak szalały w nim emocje, których nawet nie próbował zrozumieć.

Uznał, że w tej sytuacji lepiej w ogóle się nie odzywać.

Najbezpieczniej będzie pójść za radą Maddy. Dlatego J.T. poddał się muzyce.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Trzeba to natychmiast przerwać.

Powtarzał sobie te słowa przez trzy ostatnie miesiące. Przez ten czas grzął coraz głębiej w pułapce, w którą wpadł przez czysty przypadek. Dręczyły go coraz silniejsze uczucia. Chociaż zdawało mu się, że zdążył o nich zapomnieć, odżywały ze zdwojoną siłą.

Musiał przyznać, choć robił to bardzo niechętnie, że Maddy wprowadziła w jego życie trochę światła. Zmusiła go wręcz, by zaczął z nadzieją czekać na następny dzień. Fenelli też dostrzegał zmiany zachodzące w zachowaniu kolegi i rozpowiadał wokół, że łatwiej z nim teraz wytrzymać. Chociaż J.T. zarzucił partnerowi przesadę, w głębi serca przyznawał mu rację. Nie, Fenelli nie miał żadnych przywidzeń.

W tych przemianach, których nie mógł już

ignorować, tkwił największy problem. Bo przecież wcale nie chciał się zmieniać, nie chciał myśleć o przyszłości. Bał się odprężyć, gdyż uważał, że na takie właśnie chwile naszej nieuwagi czyha los. Potem atakuje z nienacką i odbiera wszystko, co nam wcześniej łaskawie podarował, a czasami nawet więcej. Była na to tylko jedna rada. Jeśli nic nie masz, nie możesz nic stracić. J.T. nauczył się, że lepiej jest w ogóle nie kochać, bo skoro nie znasz tego uczucia, nie zdajesz sobie sprawy z poniesionych strat.

Dzięki Lornie dowiedział się, co czuje człowiek zakochany; jak to jest, gdy ukochana osoba staje się centrum twojego świata. W następstwie tego snuje się teraz po świecie jak ciężko ranne, oślepienie bólem zwierzę.

Powinno go to nauczyć, że każdy człowiek ma obowiązek uważnie słuchać swego instynktu samozachowawczego.

Czemu więc, mimo pobranych lekcji, pragnę widywać Maddy każdego dnia? - zastanawiał się często, na ogół z niesmakiem.

Przestał być wzorcowym samotnikiem, chociaż właśnie do tego od dawna dążył.

Jednym słowem, trzeba z tym skończyć.

Natychmiast, zanim zacznie żałować.

Podjął decyzję i czekał, aż pojawi się ulga. To dziwne, ale nic takiego nie czuł.

Nie szkodzi, przyjdzie później, pomyślał pełen nadziei i stanowczo sięgnął po słuchawkę.

Maddy wróciła do pracy trzy tygodnie po porodzie. Na zapleczu biura ustawiła kojec dla swojego, jak żartobliwie mówiła, konsultanta. Pracowała wraz z trzema braćmi, z których każdy wnosił coś innego do firmy założonej przez dziadka, a rozbudowanej przez ich ojca.

Maddy kierowała finansami przedsiębiorstwa, robiła też część projektów. Bill zajmował się zaopatrzeniem, do Steve'a należały projekty architektoniczne, Tony natomiast, który miał szczególny dar przekonywania i wymowy, był odpowiedzialny za zdobywanie klientów. Jeszcze do niedawna pracowali razem z rodzicami. Teraz jednak państwo Rossini postanowili przejść na emeryturę, co zresztą nie powstrzymywało ich wcale przed częstymi wizytami w biurze, szczególnie ostatnio, kiedy mogli przy okazji odwiedzić wnuka.

Cała rodzina rozpieszczała dziecko, Maddy jednak zarzekała się, że oczy jej synka nabierają szczególnego blasku, dopiero gdy do pokoju wchodzi J.T.

Kiedy mu o tym powiedziała, oczywiście nie uwierzył. Zmyślała, pojęcia tylko nie miał, w jakim celu. Tak czy inaczej, nie brał jej słów do

serca, a przynajmniej nie przyznawał się do tego. Osiągnął już zresztą całkiem dobre rezultaty w oszukiwaniu samego siebie. Teraz wreszcie podjął ostateczną decyzję: na dobre zakończy swoje kontakty z Maddy i jej dzieckiem. W tym celu zadzwonił do firmy. Telefon odebrał Bill, który rozpoznał J.T. po głosie. To tylko utwierdziło J.T. w przekonaniu, że spędził z rodziną Rossinich za dużo czasu.

Nie pozwolił wciągnąć się w pogawędkę, którą podjął Bill, i poprosił do telefonu Maddy.

- Wyszła na spotkanie z klientem. Dać ci numer jej komórki4 Maddy wielokrotnie próbowała podać mu ten numer. Uparcie odmawiał, bał się bowiem, że to kolejna nić, która go z nią połączy. Teraz jednak miał konkretny powód, żeby skorzystać z możliwości złapania jej w mieście.

Zapisał telefon i rzucił sucho:

- Dzięki!

Po chwili w słuchawce rozległo się wesołe:

- Halo?

- Mówi J.T.

- John Thomas? - w jej ciepłym głosie słychać było radość.

Czuł się winny, że zaraz powie słowa, których Maddy z pewnością nie chciałyby słyszeć. Na razie dochodził do niego głęboki głos mężczyzny

odzywającego się gdzieś w tle. Zaskoczyło go własne zdenerwowanie i nagłe ukłucie zazdrości.

- Kto tam jest z tobą?

- Nasz klient. - Usłyszał, jak przeprasza mężczyznę. - Czemu zawdzięczam ten niespodziewany zaszczyt? Ostatnio, jak pamiętam, nie chciałeś wziąć numeru mojej komórki.

- Nie było cię w biurze, więc...

- Czy coś się stało? - spytała wyraźnie zaniepokojona.

Oczywiście wyobraźni widział, jak przyciska do ucha mały czarny aparacik, a ustami prawie dotyka jego podstawy. Zrobiło mu się gorąco z pożądania. Chyba najwyższa pora dorosnąć, pomyślał, przeklinając w duchu te właściwe nastolatkom figle wyobraźni.

- Jesteś wolna w czasie lunchu?

Po drugiej stronie zapadła cisza. Domyślał się, że zaproszenie ją zaskoczyło, jednak nie mógł przeprowadzić tej rozmowy przez telefon. To byłoby tchórzostwo, a on tchórzem nie był. No, może poza tym jednym przypadkiem.

- Mogę być. Wystarczy za pół godziny?

W jej głosie brzmiała radość, która tylko pogłębiła jego skrepowanie.

- Tak, świetnie. Niech będzie za pół godziny. Umówili się w restauracji niedaleko miejsca, gdzie miała służbowe spotkanie. Maddy co

prawda musiała jeszcze podrzucić klienta do biura, ale twierdziła, że zdąży.

Odkładając słuchawkę, zaczął planować rozmowę. Nigdy nie potrafił wyrażać uczuć i teraz również nie umiał dobrać właściwych słów.

Musiał jednak powiedzieć jej wszystko, zanim będzie za późno. O ile już nie jest...

Ruch był większy, niż się spodziewała. W porze lunchu na ulice wylewały się tłumy ludzi, którzy w ciągu wolnej godziny próbowali załatwić swoje prywatne sprawy. Jak na taki tłok i tak udało jej się osiągnąć całkiem niezły czas.

J.T. czekał już na nią w małej restauracji, która cieszyła się dobrą renomą, bo w przeciwieństwie do większości lokali, tutaj każdy mógł znaleźć trochę spokoju. Nie wiedzieć czemu Maddy opanowało zdenerwowanie. Może dlatego, tłumaczyła sobie, że J.T. nigdy dotąd nie umawiał się ze mną w restauracji. Wpadał do firmy albo do domu, spotykali się również w miejscach, które ona proponowała. Nigdy jednak inicjatywa nie wyszła od niego.

Czyżby wreszcie udało mu się pokonać największą przeszkodę? Jednak widząc wyraz jego twarzy, domyśliła się, że nie dlatego chciał się z nią zobaczyć. Najwyraźniej szykowało się coś niedobrego.

Przez ostatnie miesiące oszukiwała się, że robi to wszystko dla jego dobra; wmawiała sobie, że chce tylko przywrócić mu chęć do życia. A przecież zupełnie o to chodziło.

Na pewno taki cel przyświecał jej na wstępie, wkrótce jednak J.T. stał się dla niej nie tylko człowiekiem potrzebującym pomocy, ale kimś znacznie więcej. A mówiąc bez owijania w bawełnę, po prostu się w nim zakochała.

J.T. pewno zdawał sobie sprawę z jej uczuć i stąd dzisiejsze spotkanie. Prawdopodobnie chciał łagodnie usunąć ją ze swojego życia.

Serce Maddy zamarło.

J.T. uniósł się na powitanie. Zdecydowanie, które dostrzegła w jego oczach, było wyraźne nawet w przyćmionym, stwarzającym intymną atmosferę świetle restauracji.

To śmieszne. Gdyby nie zdała sobie sprawy z własnych uczuć, spojrzenie J.T. nie zrobiłoby na niej żadnego wrażenia. Zawsze na nią tak patrzył, ilekroć próbowała, bardziej lub mniej delikatnie, namówić go, by chociaż na moment postarał się zapomnieć o swoim bólu.

- Co za miła niespodzianka - powiedziała, siadając naprzeciwko. Zauważyła, że wybrał możliwie odosobniony stolik. Ciekawe, czy pragnął tylko podkreślić prywatny charakter ich spotkania, czy też bał się, że Maddy może urządzić

scenę? - Zwykle to ja muszę proponować ci spotkania.

Sięgnęła po kartę, ale ani na chwilę nie spuszczała wzroku z J.T.

- Zaczynasz nowe życie?

Cholera, jak to możliwe, żeby kobieta w zwykłym, biurowym kostiumie wyglądała tak pociągająco? - Zresztą, czy wyglądała kiedyś źle? - Nawet tamtej nocy, z wielkim brzuchem i włosami przyklejonymi do czoła była piękna. Mimo potwornego bólu i strachu wydawała się bardziej atrakcyjna niż niejedna gwiazda filmowa.

Pragnął jej. I to był jego problem, bo wcale tego nie chciał. Pod żadnym zresztą względem, ani dla seksu, ani tym bardziej dla czegoś więcej.

Nie dosłyszał pytania, które zadała. Chyba mówiła coś o rozpoczynaniu nowego etapu życia.

- Nie - odparł krótko.

- Mam nadzieję, że nie chodzi ci o mieszkanie? - Zrozumiał jej intencje. Rozpaczliwie próbowała zmienić tok jego myśli.

Prawie miesiąc temu udało jej się wprosić do mieszkania J.T.

Przeraziło ją spartańskie życie, które tam wiódł. Najpierw, bardzo delikatnie, rzuciła kilka pomysłów i propozycji zmian. Po kilku dniach pokazała mu zdjęcia z kolorowych magazynów, a stąd już prosta droga do sklepu z meblami i wyposażeniem wewnątrz.

W chwili słabości, z czego świetnie zdawała sobie sprawę, J.T. poddał się i pozwolił jej zająć się urządzeniem mieszkania. Nie minęło wiele godzin, a dostarczone zakupione towary i nieprzytulne wnętrza nabrało cech domu.

Wiedziała, że ze zdumieniem obserwował jej poczynania. Gdy przyszło do oglądania efektów pracy, zrzędlwym tonem dopytywał się, czy nie wystarczają jej obowiązki przy dziecku i w firmie. Wyznała wówczas, że według niej należy żyć pełnią życia, a robienie magicznych sztuczek, jak określiła projektowanie wnętrza jego mieszkania, nadaje jej istnieniu szczególnie głęboki sens.

Podobały mu się zmiany, jakie wprowadziła, i szczerze to przyznał. Taka pochwała z jego ust stanowiła bardzo pożądaną nagrodę.

Teraz jednak najwyraźniej nie zamierzał sypać pochwałami. Zdążyła się już zorientować, że nie spotkał się z nią, by mówić o mieszkaniu. Postanowiła jednak podjąć próbę powstrzymania tego, co zdawało się nieuchronne. Musi walczyć, nie podda się tak łatwo. Przecież nawet mrówki potrafią zbudować osłonę przed nadciągającą nawałnicą. Jeśli tylko przeżyje, odbuduje zniszczenia po burzy.

J.T. czekał na nią ponad pół godziny. Skóra mu cierpła ze zdenerwowania na myśl o czekającej go

rozmowie. Sam już nie wiedział, czy chce ją przeprowadzić, czy nie.

- Nie - uciął krótko. - Nie chodzi mi o mieszkanie. Powiedziałem już przecież, że mi się bardzo podoba.

Udawała, że nie słyszy jego cierpkiego tonu.

- Prawda. - Sięgnęła do koszyka po kawałek chleba i bezwiednie zaczęła go skubać. - Czemu więc chciałeś się ze mną zobaczyć^

Nie było wyjścia. Musiał to wreszcie powiedzieć i zamknąć ten rozdział.

- Chcę odzyskać moje życie.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Zapadła martwa cisza.

Cholera jasna, skąd się wzięło to poczucie winy? Powinien przecież odczuwać ulgę!

- Chcę odzyskać moje życie - powtórzył.

Maddy złożyła ręce, jak pilna uczennica w klasie, która boi się, że mogłaby coś stracić z lekcji. Pochyliła się teraz do przodu ze wzrokiem utkwionym w J.T.

- Czyżby ktoś je wziął do niewoli? Wiedział, że Maddy zna odpowiedź na swoje pytanie.

- Tak, ty - odparł. Uniosła gwałtownie głowę.

- Słucham?

Nie chciał wdawać się w dyskusję, ale też nie wiedział, jak to rozegrać. Do diabła, sam nie był pewien, czy wszystko rozumie.

Uciekły wszystkie starannie przygotowane zwroty. Zresztą teraz i tak na nic by się nie zdały.

Nabrał powietrza, jakby to mogło mu pomóc zebrać myśli.

- Nie chcę z nikim dzielić swojego życia.

- Nie zdawałam sobie sprawy, że próbuję cię do tego zmuszać.

Z jej obojętnego tonu wywnioskował, że musiał ją bardzo zranić.

Chyba po raz pierwszy nie słyszał w jej głosie entuzjazmu.

- Nie wiem, czy próbowałaś, ale jednak sprawiłaś, że przywiązałem się do ciebie. Do niego też.

- Spojrzała na niego zaskoczona. - Do Johnny'ego

- wyjaśnił. Zarówno Maddy, jak i jej syn coraz głębiej zapadali mu w serce, coraz więcej miejsca zajmowali w jego życiu.

Codziennie budził się z nadzieją, że ich ponownie zobaczy. - Nie mogę powtórnie przechodzić przez to wszystko.

- Przez co? - Odrętwiała ze zdenerwowania starała się zrozumieć, co J.T. ma na myśli. - Chodzi ci o to, że zaczynasz wreszcie coś odczuwać?

- próbowała zgadnąć. Cień, który przemknął po jego twarzy, był najbardziej wymowną odpowiedzią. - J.T., żywy człowiek nie może istnieć bez uczuć, może jedynie pozorować życie.

- Mnie to wystarczy. - Podniósł się z krzesła. Nie mógł znieść myśli, że to z jego winy oczy Maddy posmutniały. Nie ma rady.

Jeśli teraz się

podda, później będzie jeszcze gorzej. - Chcę tylko, żebyś wiedziała, że to we mnie tkwi błąd, nie w tobie.

- Wiem - odparła cicho. - Ale pragnę to zmienić. - Kiedy ruszył do wyjścia, podniosła głos. - Nie możesz przejść przez życie samotnie. Jeśli nie chcesz, żebym to ja ci pomogła, znajdź kogoś innego.

Słyszał te słowa w drodze do samochodu, przez całe popołudnie, przez następne dni i noce. Jak bardzo musiało jej na nim zależeć, skoro się tak martwiła! Pragnęła nawet, żeby znalazł kogoś innego, byle tylko był szczęśliwy.

Do diabła, skąd się bierze ta jej bezinteresowność? Na świecie nie ma już takich ludzi! - pomyślał, wyładowując wściekłość na klapie schowka w swoim aucie.

Będzie jej lepiej z kimś innym, tłumaczył sobie w drodze do wozu patrolowego. Z mężczyzną, który o nią zadba tak, jak na to zasługiwała. A on powinien wrócić do stanu wyjściowego. Czyli prowadzić takie życie, jak wówczas, kiedy jej jeszcze nie znał.

W ciągu dnia J.T. krążył nerwowo po mieszkaniu, które Maddy tak odmieniła, i za wszelką cenę starał się o niej nie myśleć.

Trzymał się

twardo przez dwa tygodnie. Zgłaszał się na dodatkowe dyżury, brał zastępstwa za wszystkich nieobecnych, oby tylko odpędzić natrętne myśli i samotność, która znów zaczęła go nękać.

Nie zdawał sobie nawet sprawy, że to widmo zniknęło z jego życia, póki nie powróciło teraz, osaczając go jeszcze szczelniej. Czuł się tak samotny jak dawniej, z tą jednak różnicą, że tym razem sam wybrał takie życie. Chciał wrócić do swojej skorupy, lecz okazała się zbyt szczelna i za ciasna. Zaczynał się w niej dusić, cierpieć na klaustrofobię.

Mimo to nie sięgnął po słuchawkę, nie przejeżdżał obok domu Maddy. Ciągłe liczył na to, że jeśli uda mu się wytrzymać wystarczająco długo, wszystko się samo ułoży. Wyleczy się z Maddy, jak z grypy.

Fenelli przez pewien czas cierpliwie znosił nastroje partnera, jednak któregoś wieczoru, gdy patrolowali cichą przemysłową dzielnicę w zachodniej części Bedfordy nie wytrzymał.

- Słuchaj, być może nie potrzebujesz rady... J.T. patrzył niewzruszenie wprost przed siebie.

- Zgadza się.

Fenelli zignorował próbę ucięcia rozmowy.

-I tak ci jej udzię, bo jeśli nie zrobisz czegoś, i to szybko, zbierzemy się w kilku i zastrzelimy cię na tyłach posterunku - ciągnął beznamiętnym

tonem. - To będzie zabójstwo z litości. - Rzucił okiem na J.T. -
Dla ciebie i dla nas.

Tracąc cierpliwość, J.T. odwrócił głowę do kolegi.

- O czym ty, do cholery, gadasz - warknął.

- Mówię o tym, że wszyscy w życiu bezustannie podejmujemy
ryzyko, bez względu na to, co robimy - zaczął Fenelli. - Zawód
policjanta to ryzyko. Schodzenie z krawężnika też - ciągnął, choć
obawiał się, że porównanie może okazać się zbyt bolesne. - Jakiś
chrzaniony pijak może wyskoczyć zza rogu i posłać cię prosto na
łono Abrahama.

- Bądź łaskaw przejść do rzeczy - uciął J.T. Fenelli zatrzymał
samochód przy krawężniku

i popatrzył na młodszego kolegę, którego wziął pod swoje
skrzydła dawno temu.

- Chodzi o to, że nie wiemy, co przyniesie nam dzień dzisiejszy
czy jutrzejszy, ani nawet następna godzina. Możemy najwyżej
cieszyć się odrobiną szczęścia, jeśli uda nam się je znaleźć gdzieś
po drodze. Moim zdaniem tobie przydarzyło się to dwukrotnie.
Nie odrzucaj tej drugiej szansy, którą ci daje los, bo będziesz
żałował przez całe życie, nawet jeżeli pozostało ci niewiele
czasu. Zresztą, jeśli do niej nie wrócisz, na pewno nie będzie
długie, bo cię zastrzelimy - zakończył Fenelli i ponownie
uruchomił samochód.

J.T. odetchnął głęboko.

- Chyba rzeczywiście czasami używasz mózgu.

Fenelli uśmiechnął się pod nosem, nie odwracając oczu od ulicy, którą jechali. Miał nadzieję, że udało mu się wreszcie dotrzeć do kolegi.

- Chyba tak.

Maddy nie sądziła, że może się tak bardzo zaangażować, a już zupełnie nie była przygotowana na taki ból, jaki odczuwała po odejściu J.T.

Od dnia, kiedy J.T. wyszedł z restauracji, a tym samym odszedł z jej życia, nie miała jednej wolnej chwili, a jednak każdy dzień wydawał się pusty.

Pusty mimo zajęć przy synku, którego uwielbiała, i pracy, którą kochała. Pusty mimo rodziny, która jak zwykle otoczyła ją czułą opieką, nie zadając zbędnych pytań.

Walcząc z uczuciami, powtarzała, że wytrzyma... Dała sobie radę po śmierci Johna, da i teraz.

Jednak to musi potrwać.

Dzień Matki jej bliscy postanowili świętować u niej w domu, przykleiła więc do warg uśmiech i postanowiła udawać, że wcale nie płacze nad swoim losem. Kto wie, może jeśli się bardzo postara, sama też zdoła w to uwierzyć.

Kręciła się po pokoju, gawędziła z gośćmi, uśmiechała się do nich. I stale myślała o tym, dlaczego nie ma przy niej J.T.

Cóż, nie ma i nie będzie. Dał jej jasno do zrozumienia, że nie chce jej więcej widzieć. I faktycznie, nie pokazał się od trzech tygodni. Czemu dziś miałoby być inaczej?

Zatrzymała się przy kojcu i podniosła Johnny'ego.

- Jesteś jedynym mężczyzną, jakiego mi potrzeba-wymruczała, przytulając się do policzka synka.

Z daleka dobiegł ją melodyjny dźwięk gongu.

- Maddy, ktoś dzwoni - zawołał Bill, który ze swoją najnowszą ukochaną stał najbliżej drzwi wejściowych. - Mam otworzyć?

Pokręciła głową.

- Dziękuję, zajmę się tym. - Podała bratu Johnny'ego. - Weź go na chwilę.

To pewno ktoś ze znajomych, myślała, idąc do drzwi. Wszyscy członkowie rodziny zdążyli się już zebrać, bracia przyszli ze swoimi nowymi dziewczynami, którym z ogromnym zainteresowaniem przyglądał się tata. Z niego z kolei nie spuszczała czujnego oka Lorraine.

Maddy uśmiechnęła się do siebie, sięgając do klamki. Ojciec dawno już nie był młodzieniaszkiem, ale czasami zachowywał się, jakby nadal miał dwadzieścia lat. Uważała zresztą, że to jedna z jego bardziej ujmujących cech.

Gdy otworzyła drzwi, uśmiech zamarł jej na wargach.

Czyżby wyobraźnia spletała jej figła? Przymknęła oczy, ale kiedy je znów otworzyła, stał tam nadal.

- To ty - wyjąkała.

J.T. z zażenowania omal nie przestępował z nogi na nogę. Gdzieś ulotniła się odwaga, którą zbierał przez cały dzień.

- No właśnie, ja. - Widząc spojrzenie Maddy skierowane na jego ręce, przypomniał sobie o bukiecie, który ścisnął w dłoni. W kwaciarni kazał go ułożyć ze wszystkich dostępnych kwiatów. W ten sposób miał większe szanse, że któryś z nich okaże się ulubionym kwiatem Maddy.

- Proszę, to dla ciebie. Najlepsze życzenia z okazji Dnia Matki.

Minę miała nadal niepewną. Maddy nie mieściło się w głowie, że J.T. słyszał o takim święcie.

- Dziękuję. - Wciągnęła powietrze, wdychając woń kwiatów.

Podniosła oczy. - Sądziłam, że ma to być gest pojednania.

- Właściwie też. - Przerwał, jakby zabrakło mu energii. Szukał właściwych słów, a wszystkie wydawały mu się żałośnie puste. - Zgodzisz się zawrzeć pokój?

- Nie ja wypowiedziałam wojnę - odparła spokojnie.

Zrobił ruch, jakby chciał wzruszyć ramionami.

- Wiem, to ja.

- Maddy, kto przyszedł? - z głębi pokoju dobiegł głos matki.

- Kolega, mam - odkrzyknęła Maddy. J.T. zaśmiał się.

- Mam wrażenie, że za każdym razem, gdy cię odwiedzam, zastaję tłum ludzi.

W odpowiedzi przymknęła za sobą drzwi wejściowe, J.T. jednak błędnie odczytał jej intencje.

- Czy dajesz mi do zrozumienia, żebym sobie poszedł?

- Sądziłam, że chcesz się odgrodzić od moich gości. Wiem, jak bardzo cenisz sobie prywatność.

Zajrzał jej w oczy. Boże, ależ tęsknił za tą chwilą! Za tym spojrzeniem, za wdzięcznym, kuszącym łukiem szyi, za ustami. Po prostu za Maddy.

- Nie tak bardzo, jak mi się zdawało. - W oczach Maddy dojrzał zdziwienie i niepewność, gdy ulegając pragnieniu, wyciągnął rękę i pogłaskał jej włosy. - Chcę odzyskać swoje życie.

Słyszała już te słowa.

- Myślałam, że to właśnie osiągnęłaś, odchodząc. A może się mylę?

- Nie chodzi mi o tamto życie, lecz o to, które ty mi ofiarowałaś. - Mówił teraz głębszym, dźwięczniej szym głosem. - Chcę świata, który się otwierał za każdym razem, gdy się zaśmiałaś, ilekroć spojrzałem na ciebie i Johnny'ego.

- Nigdy ci tego nie odebrałam - zaproponowała, bojąc się okazać choćby cień nadziei. - Ty sam odrzuciłeś ten świat.

- Wiem. - To jego wina, tylko jego. Świetnie zdawał sobie z tego sprawę. - Czy pozwolisz, żebym do niego wrócił?

- To zależy. - Przycisnęła kwiaty do piersi, jakby chciała stworzyć z nich tarczę, która zdoła ochronić jej serce. - Przede wszystkim, czy rzeczywiście tego chcesz?

- Najbardziej na świecie - powiedział, jakby składał przysięgę. Jej uśmiech zajaśniał jak słońce.

- No, to wracaj. Nikt ci nie zabrania.

Pragnął przycisnąć usta do jej warg, spić słodycz, która pozwoliłaby odegnać smak pustki ostatnich tygodni. Z tym jednak musiał poczekać, póki nie powie wszystkiego.

- Jest jeszcze jedna sprawa.

Uniosła brwi. W jej oczach znów pojawiła się niepewność.

- Mianowicie? Zawahał się.

- Maddy, wiesz, że nie potrafię ładnie mówić. Przypomniała sobie, jak bezpiecznie się czuła, gdy był blisko, jak dobrze, kiedy ją całował.

- Nie wszyscy muszą to umieć. Masz inne zalety. Zresztą, dzięki temu znakomicie się uzu-

pełniamy - zaśmiała się. - Ja potrafię mówić, a ty słuchać.

Pokręcił głową.

- Jednak tym razem wolałbym, żebyś posłuchała, gdy ja będę mówił.

- W porządku. Mów.

Zapadła cisza. J.T. zacisnął wargi i uciekł spojrzeniem gdzieś w bok, na trawnik. Był świetnym policjantem, ale miał wrażenie, że w życiu prywatnym jest do niczego.

Zdenerwowany wcisnął dłonie do kieszeni i pod palcami poczuł aksamitne pudełeczko. Popatrzył na Maddy i nagle słowa, choć może zbyt krótkie i proste, przyszły same.

- Wyjdź za mnie.

Nigdy nie czuła się tak zaskoczona.

- Powinieneś chyba najpierw powiedzieć, że mnie kochasz.

- To prawda. Kocham cię. - Jak to ładnie brzmi! Ciekawe, co go powstrzymywało od wyznania tego wcześniej? - Dlatego odszedłem...

Kwiaty wysunęły się z jej rąk i posypały na wycieraczkę.

Delikatnie dotknęła jego twarzy.

- A więc teraz kochaj mnie i zostań - poprosiła.

Otoczył ją ramionami.

- Po warunkiem, że tego chcesz. Roześmiała się z całego serca.

- Obawiam się, że masz marne szanse na awans, jeśli jeszcze tego nie odkryłeś.

Otworzył pudełeczko, które wyciągnął z kieszeni. Tradycyjnie szlifowany brylant zaśnił w popołudniowym słońcu. Usłyszał i również poczuł, jak Maddy wstrzymuje oddech.

- Może łatwiej go dostanę, jeśli pomożesz mi przygotowywać się do egzaminów?

- Jestem gotowa pomagać ci nawet codziennie - obiecała, zarzucając mu ręce na szyję. - A odpowiedź brzmi „tak”. Wyjdę za ciebie.

- Ten twój kolega nadal tam jest? - usłyszeli głos Lorraine.

- Nie, już poszedł! - odkrzyknęła Maddy przez ramię. Podniosła głowę i zajrzała J.T. w oczy. - Za to wpadł ktoś znacznie ważniejszy.

- I zamierza tu zostać na zawsze - dodał J.T. Pochylił głowę i całując usta Maddy, rozpoczął pierwszy etap swojej drugiej szansy.

Bevarly Elizabeth

Poznaj moją mamę 03

Pomocna dłoń



ROZDZIAŁ PIERWSZY

Zapowiadał się fatalny dzień. Sloan Sullivan wiedział o tym już w chwili, kiedy szef poprosił go o wzięcie udziału w charytatywnej akcji „Pomocna, dłoń”. Na domiar złego miał być zaangażowany w tę akcję dobroczynną cały miesiąc.

W firmie prawniczej z siedzibą w Atlancie w stanie Georgia, gdzie Sloan był od lat jednym ze współników, ciągle musiał podawać komuś pomocną dłoń. Gdyby nie brak fizycznych możliwości, oczekiwano by od niego z pewnością nawet kilku pomocnych dłoni... Jednak teraz naprawdę nie widział żadnych szans, żeby do wypełnionego ponad miarę terminarza włączyć jakiegokolwiek dodatkowe zajęcia.

Siedział przy wielkim stole, który dzielił na pół salę posiedzeń spółki Parmentier, Barnaby, Shepperton i Ganz i gorączkowo wertował kalendarz.

Na dobrą sprawę aż do wiosny nie było w nim ani jednej wolnej kartki. A i potem nie zapowiadało się wcale lepiej. Zbliżał się mianowicie Turniej Mistrzów, kiedy to Sloan miał zwyczaj wyjeżdżać na kilka dni do Augusty, by uczestniczyć w organizowanych tam licznych przyjęciach. Nie było wyjścia. Pomocną dłoń mógł podać potrzebującym dopiero w miesiącach letnich.

Uczciwie mówiąc, bez względu na porę roku Sloan najzwyczajniej w świecie nie miał czasu, żeby przyjmować dodatkowe zobowiązania. Jego zajęcia zawodowe, był specjalistą od prawa majątkowego, wydawały się nie mieć końca. Ponadto zaś pochłaniały go inne, nie cierpiące zwłoki sprawy.

Energicznie przeczesał palcami ciemne włosy, podniósł wzrok znad terminarza i napotkał pełne nadziei spojrzenie swojego siwowłosego szefa, który siedział po przeciwnej stronie masywnego stołu.

- Przykro mi, Edgar - zwrócił się do Edgara Parmentiera, współwłaściciela firmy, a zarazem swojego szefa. - To fatalny moment. Wiesz, że zawsze chętnie służę pomocą, ale w tej chwili nie mam ani jednej wolnej godziny. Musisz mnie zrozumieć. Edgar świdrował go wzrokiem, przed którym Sloan zawsze miał ochotę uciekać, gdzie pieprz rośnie.

- Jedno na pewno rozumiem. Ty po prostu nie dostrzegasz, że nie wszystkim na świecie powodzi się tak dobrze, jak tobie. Nie wszyscy są piękni, zdrowi, zaradni i bogaci.

- Wcale nie o to chodzi - zaproponował Sloan, chociaż właściwie musiał przyznać szefowi rację. Rzeczywiście nie lubił myśleć o nędzy, niedostatku i ludziach potrzebujących pomocy. A kto tak naprawdę lubi?-

- Dobrze wiesz, że o to - powtórzył z uporem Edgar. - Wy, Sullivanowie, już za długo siedzicie zamknięci w swoich wieżach z kości słoniowej. Najwyższa pora, żeby przynajmniej jeden z was zobaczył, jak wygląda prawdziwy świat: No, dalej! Pokaż, że masz ikrę - kpił w żywe oczy. - Dobrze ci to robi.

W pierwszym odruchu Sloan chciał przeciwstawić się niezbyt pochlebnej opinii szefa o swojej rodzinie i o nim samym. Ugryzł się jednak w język. Nie było sensu zaprzeczać, że w istocie jest rozpieszczony, uprzywilejowany i majątny. W takiej atmosferze dorastał, taką rzeczywistość znał i lubił. Rodzina Sullivanów należała do elity Atlanty. Sloan nie miał najmniejszego zamiaru rezygnować ze stylu życia, na jaki pozwalała mu pozycja społeczna. Teraz jednak nieoczekiwanie poruszyło go to, co powiedział Edgar. Ku jego zaskoczeniu ubodła go opinia wyrażona przez

szefa. Czy rzeczywiście był tak okropnie drętwy i pustyń Musiał jednak mieć jakieś pozytywne cechy, skoro coś w życiu osiągnął. Odpędził od siebie ponure myśli.

- Jednak aktualnie... - spróbował jeszcze raz.

- Nie ma złej pory na dobre uczynki - przerwał mu szef. - W tym roku trafiały się naprawdę ciekawe przypadki. Wybierz sobie jeden.

Starszy pan wskazał ruchem głowy brązowy kapelusz leżący pośrodku stołu. Wewnątrz umieszczono kilkadziesiąt złożonych pasków papieru. Na każdym wypisano zadanie do wykonania.

Do tej pory czterech spośród ośmiu współwłaścicieli firmy Parmentier, Barnaby, Shepperton i Ganz wylosowało swój przydział. Pozostałe kartki zostaną rozdane po posiedzeniu wspólników pomiędzy biurowych pracowników firmy. I gdy nadejdzie luty, wspaniała drużyna ofiarnych wolontariuszy będzie w komplecie.

Oczywiście, większość pracowników nie miała nic przeciwko działalności dobroczynnej. Sloan też zaliczałby się do tej większości... gdyby tylko akcja przypadła na bardziej sprzyjający okres, bo akurat w nadchodzącym miesiącu miał na głowie zatrzęsienie spraw. I to spraw niezwykle ważnych. Partię tenisa z Bambi Winston. Wizyty u Farringtonów. Przyjęcie u Babs i Leonarda Bayardów. Długa lista towarzyskich zobowiązań.

No, właśnie, przypomniał sobie nagle, a praca? Na przykład oszacowanie naprawdę wspaniałej posiadłości MacCorkindale'ów...

- Jednak... - ponowił próbę.

- Wybieraj - bezlitośnie rozkazał Edgar, wyciągając swój serdelkowa ty palec w kierunku kapelusza.

Sloan z ciężkim westchnieniem sięgnął do kapelusza i wybrał papierowy pasek. Wszystkie zadania na wyciągniętych do tej pory kartkach wydały mu się dość przerażające. Dennis Robertson miał spędzić każdy lutowy weekend na malowaniu domu opieki. Fred Schwartz połowę przerw na lunch poświęci na wydawanie mięsa z fasolą w stołówce dla bezdomnych. W czasie przerwy na lunch będzie także pracować Lauren Riordan, której przypadło czytanie książek przedszkolakom w domu dla samotnych matek. A Anita Spinelli poświęci cztery weekendy na przygotowywanie koszy z żywnością dla osób niepełnosprawnych, które znalazły się w ciężkiej sytuacji.

Wstrzymując oddech, powoli rozwijał kartkę. Jaki też cios spadnie na jego głowę? Czy będzie musiał piec ciasteczka na kościelne zebrania? Albo wyprowadzać psy starych ludzi? A może opiekować się drużyną skautów? Zerknął na kartkę i ze zdziwieniem stwierdził, że przynajmniej częściowo nadaje się do wykonania wylosowanego

zadania. W dodatku będzie musiał udzielać się społecznie zaledwie dwa razy w tygodniu.

„Częściowo”, jak określił swoją przydatność do wykonania zadania, było chyba najwłaściwszym słowem. Zwrot „trener koszykówki” nie pozostawiał wątpliwości, o jakie zajęcia chodzi i to była ta jaśniejsza, w pełni zrozumiała treść notatki. Natomiast użyte dalej określenie „prowincjonalna szkoła średnia w Georgii” brzmiało już o wiele bardziej tajemniczo i nic mu nie mówiło. Nie ulegało jednak wątpliwości, że Walecznym Dzikusom ze szkoły Stonewall Jackson w Wis-terii, odległej od Atlanty o jakieś trzy kwadransy jazdy, potrzebny był w lutym nowy asystent trenera koszykówki, poprzedni bowiem uległ wypadkowi podczas polowania. Sloan co prawda nigdy nikogo nie trenował, jednak miał honor grzać ławkę w uniwersyteckiej drużynie Vanderbilt, a wcześniej grał w kosza - i to zupełnie dobrze - w szkole średniej. Jakieś dwadzieścia lat temu jako rozgrywający doszedł z Bojowymi Cietrzewiami z Penrose Academy do tytułu mistrzów stanu. Co prawda zdobyli mistrzostwo w rozgrywkach elitarnych szkół prywatnych, których nie było zbyt dużo, ale sukces pozostaje sukcesem. No cóż, skoro poznał smak zwycięstwa z Cietrzewiami, może uda mu się podobna sztuka z Dzikusami.

Nagle, ni z tego ni z owego, oczyma wyobraźni zobaczył dzikusa wcinającego cietrzewia na lunch. Co za bzdury... To przecież tylko licealiści, jakoś się z nimi dogada. Musi im poświęcić

raptem dwa wieczory tygodniowo i to zaledwie przez jeden miesiąc. Nic straszego, da się zrobić.

Sloan zaparkował jaguara przed szkolną salą gimnastyczną. Hmm, chyba zbyt pochopnie i nadto optymistycznie ocenił wyciągnięte z kapelusza zadanie. Nigdy przedtem nie był w Wisterii, nie miał więc pojęcia, czego się spodziewać. Przejeżdżając przez miasteczko, zdążył się jednak zorientować, że były tu tylko dwie szkoły średnie, a teraz przekonał się, że Stonewall Jackson niestety nie jest tą lepszą. Część miasteczka, którą zostawił za sobą, była malownicza, pełna czystych, białych domków z zadbanymi ogródkami i staromodnych rodzinnych sklepików. W śródmieściu, jeśli taka miejscina może mieć śródmieście, zauważył nawet lodziarnię. Był też rynek z prawdziwego zdarzenia, wiosną i latem pewnie pełen zieleni i klombów z kwiatami. Natomiast tutaj... No cóż, ta część Wisterii na pewno nie była malownicza ani oryginalna. Żadnych białych domków czy uroczych sklepików. Nie było lodziarni ani miejsca, które kiedykolwiek mogłoby się zazielenić. Widział za to pełno składów z częściami samochodowymi, skle-

py ze starzyzną, parkingi pełne przyczep kempingowych i liczne, niewątpliwie nielegalne, wysypiska śmieci. No i oczywiście była tu też szkoła Stonewall Jackson z wielkim, ponurym budynkiem sali gimnastycznej, który sprawiał wrażenie, że nie zdoła wytrzymać silniejszego podmuchu wiatru, a już na pewno nie chronił przed deszczem.

Sala i szkoła, której budynek był równie zrujnowany, stały na ogromnym zwirowanym parkingu. Szare kamyczki zachręściły pod nieprzyzwoicie drogimi sportowymi butami Sloana, wilgotny lutowy wiatr przywiał zapach cuchnących chemikaliów z papierni położonej na obrzeżach miasta. Dziwne, że w tamtej części Wisterii nie poczuł tego smrodu... Chwacko postanowił oddychać trochę ostrożniej.

Smętnie zwisający transparent nad wejściem do sali pozbawiony był części liter, jednak Sloan nie miał kłopotów ze zrozumieniem jego treści: DZI...I POŻ...RA...Ą ŚW.. JE MŁO...E! DO B...JU! Próbując osłonić się przed zimnem, zapiał zamek sportowej bluzy, pod którą miał koszulkę z emblematem uniwersytetu Vanderbilt. W sprawy drużyny wprowadził go pobieżnie dyrektor szkoły podczas rozmowy telefonicznej. Dzieciaki w zasadzie były przygotowywane do międzyszkolnych mistrzostw stanowych i jak dotąd grały rewelacyjnie. Drużyna na razie kroczyła od

zwycięstwa do zwycięstwa i ostatnio dokopała kilku szkołom, które niewątpliwie należały do grona faworytów.

Wiem więc, pomyślał Sloan, że grają dobrze, a także - jak wynika z transparentu - pożerają swoje młode. Zaczęła dręczyć go obawa, iż być może nie sprosta zadaniu, jakie mu wyznaczono. Jego obawy znacznie się wzmożyły, gdy pchnął drzwi i podążył przez obskurny hol do brzydkiej i zaniedbanej sali gimnastycznej. Zdziwiło go, że ławki są puste. Co prawda dzisiaj nie rozgrywano meczu, jednak zazwyczaj odnoszące sukcesy drużyny mogły liczyć na obecność kibiców także na treningach. Na ogół tłumnie zjawiali się rodzice i przyjaciele młodych zawodników, ale w tej sali, o dziwo, nie było nikogo. Zaraz, zaraz, nagle w Sloana wstąpiła otucha. Dopiero teraz zauważył, że w drugim końcu hali zebrała się spora grupa dziewcząt. Większość z nich była w szortach, kilka miało na sobie dresy. Prawdopodobnie należały do zespołu zagrzewającego koszykarzy do gry. A może to dziewczyny zawodnikowi W każdym razie miło z ich strony, że przyszły dopingować kolegów.

Właśnie, a gdzie są chłopcy? Sloan bezradnie rozejrzał się po sali. Świdrujący dźwięk gwizdka przekonał go, że drużyna jest gdzieś na terenie „budy”. „Buda”...

tak mówiło się dawniej o szkole. Czy nadal uczniowie używają tego określenia? Niewiele wiedział o współczesnej młodzieży. Bo i niby skąd, skoro jedynym programem telewizyjnym, który oglądał, był magazyn „Stylowy dom”. No, dobrze, ale gdzie podziewają się za wodnicy i Dziewczyny wybiegły na środek, pewno żeby zaprezentować jakiś układ choreograficzny przed meczem chłopców.

Sloan dopiero teraz zorientował się, kto tak umiejętnie używał gwizdka. Kobieta, której wcześniej nie zauważył, szła teraz w kierunku rozgadanych dziewczyn. W tej samej chwili i ona dostrzegła Sloana. Uśmiechnęła się, uniosła rękę w powitalnym geście i biegiem ruszyła w jego stronę, trzymając pod pachą piłkę do koszykówki.

Była wysoka, zdaniem Sloana miała niemal metr osiemdziesiąt wzrostu, szczupła, ale bardzo zgrabna, z małym kształtnym biustem i krótkimi, ciemnymi włosami. Ubrana była niemal identycznie jak on, tyle że jej dres był szary, a nie granatowy. Napis na koszulce informował, że studiowała w Clemson. Kiedy podeszła bliżej, dostrzegł, że tak jak on musi dobiegać czterdziestki, ma jasnoszare oczy, jej włosy o kasztanowym odcieniu poprzetykane są srebrnymi nitkami, a nos i kości policzkowe obsypane piegami. Sloanowi spodobał się szeroki,

szczerzy uśmiech oraz ładnie wykrojone usta. Na jej twarzy nie widać było śladu makijażu, lecz o dziwo nie wyglądała z tym źle. W ogóle sprawiała wrażenie osoby niezwykle silnej, zdrowej i bardzo naturalnej. Uznał, że jest całkiem atrakcyjna, co go zaskoczyło, bo od zawsze gustował w kobietach o olśniewającej, wręcz rzucającej na kolana urodzie.

- Pan Sullivan, prawda- - Wyciągnęła rękę na powitanie.

Przytaknął i automatycznie ujął jej dłoń. Ręce też miała inne niż większość znanych mu kobiet. Duże, silne, z krótko przyciętymi paznokciami

i całkowicie pozbawione biżuterii.

- Tak, przyjechałem w ramach akcji „Pomocna dłoń” - odparł, puszczając wreszcie jej rękę. - Szukam człowieka o nazwisku Carmichael, trenera koszykówki. Wie pani może, gdzie go znajdę?

Jej uśmiech trochę przygasł. Przez chwilę przyglądała mu się z zainteresowaniem, po czym znów się uśmiechnęła, oparła dłoń na wyjątkowo ładnie zaokrąglonym biodrze i nie spuszczać wzroku z rozmówcy, oznajmiła:

- Jestem Naomi Carmichael. Trener Carmichael. Nie wiem doprawdy, jak mam panu dziękować, że zechciał pan poświęcić swój cenny czas, aby pomóc moim dziewczynom.

Sloan zmarszczył brwi. Przez chwilę patrzył na nią w osłupieniu.

- Pani jest trenerem? - spytał zmieszany.

- O jakich dziewczynach pani mówi?

- No, jak to? - Kciukiem wskazała grupę dziewcząt, które przyglądały się mu ciekawie.

- O Dzikuskach, oczywiście - wyjaśniła. - Naprawdę jesteśmy wdzięczne, że zgodził się pan zastąpić mojego asystenta.

ROZDZIAŁ DRUGI

- Dzikuski?! Dziewczyny?! - wykrzyknął Sloan, patrząc ponad ramieniem Naomi na środek sali, gdzie stały zawodniczki. Naomi zastanowiła jego reakcja. Na miłość boską, chyba zawiadomiono go, że chodzi o dziewczęcą drużynę? Zresztą, co za różnica, kogo się trenuje?

- Zgadza się - odparła wolno. - Czy to jakiś problem?

Ale... to przecież... sądziłem... to znaczy... - jękał się.

Jak na wykształconego faceta ma dość ubogie słownictwo, pomyślała Naomi. Chociaż z takim wyglądem pewno nie musiał dużo gadać, żeby zdobyć to, co chciał.

Był wysoki, o kilkanaście centymetrów wyższy od niej, a ona nie spotykała wielu mężczyzn, na

których nie musiałaby patrzeć z góry. Wyglądał dość potężnie, była jednak pewna, że nie z powodu nadwagi. Phil Leatherman, dyrektor Stonewall Jackson, powiedział jej, że pan Sullivan uprawiał koszykówkę w liceum i na studiach. Najwyraźniej nadal był świetnie wysportowany. Widocznie nawet taki zapracowany prawnik potrafi znaleźć czas, żeby zadbać o kondycję.

Sądząc po delikatnych zmarszczkach w kącikach oczu i wokół ładnych, pełnych ust oraz po srebrnych nitkach widocznych w jego czarnych włosach, musiał dobiegać czterdziestki. Popatrzyła na idealnie przystrzyżone baczki i doszła do przekonania, że ten facet wydaje na jedną wizytę u fryzjera więcej, niż ona ma do dyspozycji dla siebie i czworga dzieci na cały tydzień. A jego dłonie... Duże, męskie, ale świetnie utrzymane, bez żadnych odcisków. A jego oczy! Mój Boże, jaki głęboki, aksamitny błękit! Zupełnie jak letnie niebo o poranku. Jednym słowem, ideał: wysoki, ciemny i przystojny. Jak księżę z bajki.

No, no, kochana, przywołała się do porządku. Fakt, że od ponad czterech lat z nikim się nie spotykasz, nie upoważnia cię jeszcze do snucia takich rozważań...

Już dawno nie pozwalała sobie na oddawanie się marzeniom.

Miała wystarczająco trudne życie jako samotna, porzucona przez męża kobieta,

próbująca utrzymać siebie i cztery córki z nauczycielskiej pensji. Niepotrzebne jej były żadne dodatkowe kłopoty, a Sloan Sullivan w markowym dresie i z fryzurą za sto pięćdziesiąt dolarów bez wątpienia oznaczał duże problemy, skoro już kilka minut po poznaniu go zaczęła tęsknić za czymś, o czym od lat w ogóle nie myślała i co z pewnością było dla niej nieosiągalne.

Nie spotkała dotąd zbyt wielu mężczyzn, którzy mieliby ochotę umawiać się z kobietą obarczoną czwórką dzieci. Zresztą facet z takim wyglądem jak Sloan Sullivan na pewno wolał drobne, delikatne blondynki w obcisłych sukienkach, a nie rosłe, noszące się niemal po męsku brunetki, które nie tylko nie używały kosmetyków, ale nawet nie znały ich nazw. No cóż, wszystko dlatego, że w tak małym miasteczku jak Wisteria jedynymi kandydatami na męża byli osiemdziesięcioletni wdowcy.

Jednak to tutaj Naomi spędziła większość swego dorosłego życia. Wspaniałe miasteczko do wychowywania dzieci, spokojne, bez wielkomiejskiego pędu i z niskim współczynnikiem przestępczości, nie licząc niegroźnych wykroczeń popełnianych przez nastolatków.

Powtórzyła pytanie, na które Sloan Sullivan wciąż jeszcze nie odpowiedział.

- Czy to jakiś problem, panie Sullivan ? Ma pan

coś przeciwko trenowaniu dziewczęcej drużyny?

- Jeszcze chwila, dodała w myślach, a chyba mu przyłożę. To powinno mu przywrócić jasność myślenia.

Spojrzał na nią, a ona ponownie pomyślała, że jest zabójczo przystojny. Cholera, ten miesiąc może okazać się znacznie trudniejszy, niż się spodziewała. Już sam fakt, że drużyna miała pracować z nieznanym i tymczasowym trenerem, nie rokował najlepiej. A w dodatku nowy trener wygląda jak gwiazdor filmowy. Podejrzewała, że Dzikuskom trudno będzie skupić się na grze. Zresztą nie tylko im.

- Przecież to... dziewczynki! - W głosie Sullivana słychać było rozdrażnienie i jak gdyby niesmak.

Naomi pokiwała z politowaniem głową.

- Brawo, panie Sullivan! Ma pan całkowitą rację. Rzeczywiście, to są dziewczynki.

- Ależ dziewczynki nie mogą grać w kosza

- z całym przekonaniem stwierdził Sloan.

- Tak? A z jakiego powodu? - spytała sucho.

- No, bo... to dziewczyny. Nie mają...

- Nie radzę panu kończyć - przerwała Naomi, starając się, żeby zabrzmiało to możliwie grzecznie. - Na pańskim miejscu dobrze bym się zastanowiła nad doborem słów.

Zamknął usta, ale widziała, że nie zamierza się poddać.

Postanowiła przemówić mu do rozsądku.

- Pozwoli pan, że powiem mu coś na temat dziewcząt, które uprawiają sport - zaczęła lodowatym tonem. - Otóż dzięki odpowiednim zajęciom ruchowym w wieku szkolnym dziewczyny wyrastają na silniejsze i zdrowsze kobiety, które w przyszłości znacznie rzadziej zapadają na choroby serca, depresję czy raka piersi, za to nabierają pewności siebie i mają większe poczucie własnej wartości. Mniej z nich decyduje się na bardzo wczesne macierzyństwo, natomiast znacznie łatwiej przychodzi im uwolnić się od toksycznego partnera. Nie wspominam już o tak błahym fakcie, że przy okazji świetnie się bawią.

Na chwilę zapadła kłopotliwa cisza.

- A więc co pan chciał powiedzieć o dziewczynach? - ciągnęła odrobinę łagodniejszym tonem. - Czego im brakuje, żeby grać w kosza?

Sullivan zmitygował się trochę.

- No, chodzi mi o to, że... po prostu są zbyt dziewczęce - niezręcznie dokończył myśl.

Naomi uśmiechnęła się pobłaźliwie.

- Ma pan cholernie dużo racji - warknęła. - Niech pan patrzy. Bez dalszych wyjaśnień odwróciła się i rzuciła piłkę do swojej córki. Evelyn złapała ją w locie i umiejętnie kozłując, przebiegła boisko, zręcznie omijając atakujące ją koleżanki. W znakomitym tempie dotarła do przeciwległej tablicy, wykonała

przepisowy dwutakt i bez wysiłku umieściła piłkę w koszu.

- Wedle życzenia, mamó! - zawołała wesoło.

- Mamó? - powtórzył zdumiony Sloan. Naomi z uśmiechem kiwnęła głową.

- Moja krew! - odkrzyknęła. Sama nie potrafiłaby powiedzieć, czy tylko gratuluje córcę, czy na użytek Sloana Sullivana chce potwierdzić pokrewieństwo łączące ją z rozgrywającą drużyny. - W zespole jest też moja druga córka, Katie. - Wskazała trochę niższą dziewczynkę.

- Ma pani w drużynie dwie córki? - Sloan nie posiadał się ze zdumienia.

- Zgadza się - odparła. - Evy gra na pozycji rozgrywającej, a Katie, pierwszoklasistka, jest w obronie.

- Są do pani podobne - zauważył. - Zdaje się, że uczy też pani angielskiego - przypomniał sobie informację uzyskaną od dyrektora szkoły.

- Owszem.

- Strasznie dużo ma pani obowiązków - ocenił, przyglądając się drużynie, która ponownie zbierała się na środku parkietu.

- To prawda - zgodziła się Naomi z pogodnym uśmiechem. - Zwłaszcza że w domu mam jeszcze dwie córki.

W milczeniu odwrócił głowę. W jego spojrzeniu dostrzegła zdumienie i ciekawość. Było w nim

jeszcze coś, co sprawiło, że Naomi zapragnęła wyrzucić na tym mężczyźnie jak najlepsze wrażenie. Oczywiście, podświadomie czuła, iż nie ma na to najmniejszych szans.

I co z tego? - pomyślała buńczucznie. Przecież nie interesowali ją mężczyźni. Była trzydziestoosmioletnią kobietą z czwórką dzieci. Mąż wziął nogi za pas jeszcze przed narodzinami czwartej pociechy. Nie miała czasu, by przejmować się tym, co myślą o niej inni, a już szczególnie mężczyźni.

A jednak... z trudem powstrzymała się od przyglądzenia niesfornych włosów, których od rana nie zdążyła tknąć szczotką, a także od przygryzienia ust, by nadać wargom trochę koloru. Odwróciła się natomiast do dziewcząt, wydała odpowiednie polecenia i skupiła się na treningu.

Na dźwięk gwizdka zawodniczki podzieliły się na dwa zespoły.

W innej sytuacji Naomi przyłączyłaby się do nich, dziś tylko przyglądała się grze w milczeniu, spod oka obserwując reakcję Sloana. Zauważyła, że z początku nie mógł się zorientować, kto gra przeciwko komu, w końcu jednak mecz go wciągnął.

Przesuwał wzrok od jednej zawodniczki do drugiej, śledził ich ruchy na boisku i z każdą chwilą rósł jego podziw dla szybkości i zręczności dziewczyn.

- Coś takiego! - odezwał się wreszcie. - Są dobre... Naprawdę dobre.

Naomi uśmiechnęła się z dumą.

- No pewnie! Są wręcz rewelacyjne. Startują w międzyszkolnych mistrzostwach i co więcej, zamierzają je wygrać. Pozostaje więc pytanie, panie Sullivan, czy zechce pan pomóc nam osiągnąć to zwycięstwo, czy też będzie pan tylko markować pracę?

Ponownie rzucił okiem na dziewczyny, błyskawicznie poruszające się po boisku.

- Chcę pomóc - zwrócił się z uśmiechem do Naomi. - Naprawdę. Zróbmy to, proszę!

On nie składa ci nieprzyzwoitej propozycji, tylko mówi o treningach, skarciła się w duchu. Mimo to nie potrafiła opanować fali gorąca, która oblała jej ciało. Do diabła, co też jej chodzi po głowie?! Po pierwsze dopiero go poznała, a po drugie, Sloan Sullivan już za miesiąc zniknie ponownie z jej życia na zawsze. Zresztą, to bez znaczenia. Przecież i tak nie planowała wiązać się z nikim, dopóki nie odchowa córek. Ponieważ zaś Sophie, jej najmłodsza, miała dopiero cztery latka, należało przyjąć za pewnik, że kiedy już wszystkie dziewczynki usamodzielnia się, ich matka będzie zasuszoną staruszką, na którą nie zechce spojrzeć żaden mężczyzna. A jeśli nawet komuś się spodoba, to

i tak dawno nie będzie pamiętać, co kobieta i mężczyzna mogliby razem robić.

Cóż, w tej chwili powinna skupić się na treningach z drużyną. Śmieszne, dlaczego nagle ta sprawa przestała być dla niej najważniejsza? Dopóki nie pojawił się Sloan Sullivan, nie snuła tego typu rozważań.

- Trening kończy się o siódmej - zwróciła się do Sloana, odsuwając na bok niewygodne myśli. - Czy ma pan potem trochę czasu?

Sprawił wrażenie zaskoczonego.

- Chyba tak - powiedział niepewnie.

- Mieszkam niedaleko, zresztą w Wisterii wszędzie jest blisko - uśmiechnęła się. - Jeśli zechce pan do mnie wpaść, przygotuję kolację, a kiedy dziewczęta pójda już do siebie, będziemy mogli zastanowić się nad strategią treningów.

Widziała, że przy pierwszych słowach na twarzy Sloana pojawiło się przerażenie. Rozluźnił się, dopiero kiedy skończyła. Biedak, pomyślała Naomi. Pewno podejrzewał, że chce go usidlić.

Mężczyźni jego pokroju uwielbiali romansować i flirtować, jednak jak ognia unikali stałych związków i emocjonalnego zaangażowania. Dobrze się składa, że będzie jej asystentem tylko przez miesiąc, do powrotu Lou Meltona. Sloan Sullivan bardziej pasował do wielkich sal konferencyjnych pełnych eleganckich, pachnących wytwornymi

perfumami kobiet, które jednak nie potrafiłyby odróżnić ziółki spod kosza od dwutaktu. - Opracowanie strategii to świetny pomysł

- przyznał i powtórzył gotowość współpracy:
- Wchodzę w to!

No właśnie, zamyśliła się Naomi. Chociaż знаła go zaledwie od kilku minut, bez zastrzeżeń przyjęła deklarację i uwierzyła w dobre chęci. Miała tylko nadzieję, że równie łatwo będzie jej pogodzić się z jego zniknięciem, kiedy minie już miesiąc wspólnej pracy.

ROZDZIAŁ TRZECI

Sloan zatrzymał jaguara tuż za wysłużonym mikrobusem Naomi. Wbrew temu co mówiła, wcale nie mieszkała w pobliżu szkoły, lecz w jednym z uroczych, białych domków, które tak mu się spodobały, gdy jechał przez Wisterię. Pewnie wraz z nastaniem wiosny mały przydomowy ogródek zamieniał się w prawdziwą oazę zieleni. Całość wyglądała bardzo przytulnie, chociaż domek wydawał się zbyt ciasny dla sześciuosobowej rodziny. Sloan bowiem zakładał istnienie jakiegoś pana Carmichaela, choć myśl o nim wprawiała go w rozdrażnienie.

Przytulność nie była cechą, która szczególnie pociągałaby Sloana, lecz rozumiał, że niektórzy ludzie mają ją we krwi. Wnętrze, do którego wprowadziły go trzy panie Carmichael, wydało mu się równie czarujące, jak

to, co zobaczył na zewnątrz. Stare, lecz wygodne meble były oryginalne i odznaczały się swoistym charakterem. Krzesła obite kwiecistym kretonem, uroczy sekretarzyk z mnóstwem pamiątek, podniszczone wełniane dywaniki rozłożone na drewnianej podłodze. Ciemna, głęboka zieleń salonu znakomicie harmonizowała z ceglana barwą jadalni, która mieściła się w następnym pomieszczeniu. Półki w obu pokojach wypełniały książki, zdjęcia i najróżniejsze bibeloty. Ściany obwieszono fotografiami i akwarelkami przedstawiającymi kwiaty i ogrody, a w każdym wolnym kącie stały rośliny doniczkowe. Jednym słowem dom Carmichaelów był miejscem pełnym życia i barw. Sloan pomyślał o własnym luksusowym mieszkaniu w centrum Atlanty. Ultranowoczesne wnętrze: białe ściany, nieliczne białe sprzęty, biała wykładzina dywanowa i kilka kolorowych akcentów w postaci abstrakcyjnych obrazów o wyrazistych barwach oraz prostych przedmiotów o geometrycznych kształtach. Jego mieszkanie na pewno nie nadawało się dla rodziny z dziećmi i absolutnie w niczym nie przypominało wnętrza, w którym się teraz znajdował.

Pierwszy raz od chwili, gdy się tam wprowadził, jego luksusowy apartament przestał mu się podobać. Może pora na jakieś zmiany i Ciekawe... Przecież wynajął wiodącą firmę wnętrzarską,

a potem wydał majątek na realizację projektu. Skąd więc wrażenie, że Naomi Carmichael osiągnęła znacznie lepszy efekt bez żadnej pomocy, a w dodatku z pewnością nie zapłaciła kilku tysięcy dolarów osobnikowi o imieniu Serge.

- Ginny! Sophie! Już jesteśmy! - zawołała Naomi, przechodząc przez jadalnię.

Sloan uznał, że powinien chyba podążyć za nią i jej córkami i nagle znalazł się w staromodnej kuchni. Kolorowej i pełnej życia jak reszta domu, ze ścianami wyłożonymi kwiecistą tapetą, sosnowymi szafkami o przeszklonych drzwiczkach i z plecionymi chodniczkami na podłodze. Wokół ciężkiego sosnowego stołu ustawiono proste drewniane krzesła. Jak to się dzieje, zastanowił się, że we wnętrzu, które tak odstaje od jego gustu i przyzwyczajzeń, czuje się tak dobrze i swojsko?

Po chwili do kuchni wpadły dwie nieznane mu jeszcze córki Naomi. Natychmiast spostrzegł, że starsza jest bliźniaczą kopią grającej w obronie Katie. Czwarta z dziewczynek była znacznie młodsza od sióstr i nawet Sloan, choć niezbyt zorientowany w tej kwestii, od razu zgadł, że nie chodziła jeszcze do szkoły.

- Cześć - powitała gościa, pokazując w uśmiechu buzię pełną małych, równiutkich ząbków. - Kto ty jesteś? - spytała dociekliwie.

- To pan Sullivan - wtrąciła się Naomi, zanim

Sloan zdołał otworzyć usta. - Panie Sullivan, to Sophie, moja najmłodsza córka.

- Witaj, Sophie. - Z uśmiechem wyciągnął rękę. Zrobił to automatycznie, jak gdyby witał się z kolegą po fachu, ale o dziwo, dziewczynka nie zdziwiła się. Mocno ujęła jego dłoń i trzy razy nią potrząsnęła.

- Miło mi pana poznać - przywitała się grzecznie i odważnie. Sloan powstrzymał śmiech, słysząc ten formalny zwrot. Sophie również była ciemnowłosa i trochę piegowata, ale w przeciwieństwie do brązowookich sióstr miała jasnoszare oczy matki. Na dobrą sprawę była jej miniaturową kopią, nawet ich krótkie fryzury były identyczne. Trzy pozostałe dziewczynki, choć trochę podobne do Naomi, prawdopodobnie więcej cech odziedziczyły po ojcu. Ciekawe, gdzie on jest ? Zresztą, nieważne. Choć Sloan musiał przyznać, że Naomi Carmichael jest bardzo atrakcyjna, jednak wcale nie był nią zainteresowany. A już na pewno nie jako kobietą, z którą miałby ochotę poromansować. Aż się wzdrygnął na tę ostatnią myśl. Po pierwsze Naomi z pewnością była mężatką. Chociaż... Nie zauważył, by nosiła obrączkę. Jakie to ma właściwie znaczenie? Przecież wiele osób, szczególnie aktywnych fizycznie, nie nosi

obrączek. Poza tym Naomi ma dzieci. A przede wszystkim w ogóle nie jest w jego typie.

Był tylko... ciekawy. O, właśnie, to najwłaściwsze słowo.

Ciekawy. Zaintrygowała go, bo tak bardzo różniła się od kobiet, które znał. Obserwował ją podczas treningu, patrzył, jak wydaje polecenia, z jakim wdziękiem się porusza, jaki świetny kontakt ma z drużyną. Była dokładnie taką kobietą, jakich zawsze unikał: silną, pewną siebie, samodzielną, zdecydowaną. Oczywiście, nie znaczy to, że lubił bezwolne, naiwne i uległe kobietki, jednak, jak każdy mężczyzna, lubił czuć, że jest potrzebny. Natomiast Naomi świetnie poradziłaby sobie bez mężczyzny, takie przynajmniej sprawiała wrażenie.

- A to kolejna z moich córek. - Jej głos oderwał Sloana od męczących rozważań. - Ginny, bliźniaczka Katie, jak zresztą widać.

- Jesteśmy podobne tylko z wyglądu - wtrąciła pośpiesznie Ginny.

- O, tak - zgodziła się natychmiast Katie. - Ginny jest bardzo dziewczęca.

To akurat zdążył już dostrzec. Ginny ubrana w różową trykotową koszulkę, lawendową minispódniczkę i różowe rajstopy, z ozdobną, błyszczącą opaską na starannie ułożonych włosach przypominała trochę lalkę Barbie. Po makijażu sądząc, nie szczędziła wysiłków, by wykorzystać

wszystko, czym dysponował dział kosmetyków w domu towarowym. Rzeczywiście, swoją siostrę, zziąjaną i spoconą, uczesaną w koński ogon i ubraną w przepocone sportowe ciuchy, przypominała tylko rysami twarzy.

- Sportsmenka się znalazła! - odparowała Ginny. - Ja przynajmniej chodzę na randki.

- Co to, to nie - wtrąciła się Naomi. - Żadnych randek, dopóki nie skończysz szesnastu lat.

- Co ty, mamó - zaprotestowała Ginny.

- Przecież w czasie weekendu spotkałam się ze Stuartem Bensonem.

- Jasne. I jeszcze z szóstką innych dzieciaków - dodała Katie. - To nie randka, tylko zlot małolatów.

- Wcale nie.

- Właśnie, że tak.

- Nie!

- Tak!

- Nie, ty obdartusie!

- Właśnie, że tak, laluniu!

- Dość! - zdecydowanie przerwała im Naomi. Dziewczęta natychmiast zakończyły kłótnię,

patrzac jednak na ich wściekłe miny, Sloan domyślił się, że spór wcale nie wygasł i wiele czasu upłynie, nim bliźniaczki dojdą do porozumienia.

- Mamy gościa - upomniała córki Naomi.

- Wiem, że to trudne, postarajcie się jednak

zachowywać jak kulturalne nastolatki. Idźcie się umyć - zwróciła się do dwóch koszykarek. Spojrzała na swoją wilgotną koszulkę i odwróciła się do Sloana. - Zaraz wracam. Kolacja będzie za niespełna dwadzieścia minut.

- Iście sportowe tempo - odparł zdziwiony.

- W mojej kuchni nie ma miejsca dla rzeczy, które trzeba by gotować dłużej niż kwadrans albo odgrzewać w mikrofalówce dłużej niż dziesięć minut - wyjaśniła.

Nie ma co, aż ślinka cieknie, zakpił w duchu Sloan i solennie przyrzekł sobie, że następnym razem w drodze do Wisterii kupi w ulubionym barze coś na wynos.

Naomi wyszła, zostawiając go z dwiema córkami. Ginny niemal natychmiast wymknęła się za matką pod pretekstem wykonania pilnego telefonu. Sloan spodziewał się, że Sophie także uraczy go jakąś wymówką, ale dziewczynka została w kuchni, z zainteresowaniem przyglądając się gościowi.

Chyba pierwszy raz w życiu nie miał pojęcia, jak rozpocząć rozmowę. Zwykle łatwo nawiązywał kontakty, potrafił godzinami gawędzić o niczym. Jednak nigdy dotąd jego rozmówca nie był taki mały!

- Lubisz Barneya? - z trudem przypominał sobie imię postaci z kreskówek. - Fajny gość, nie?

- Nie lubię - bez entuzjazmu odrzekła Sophie. - To dobre dla maluchów.
- Aha - odpowiedział niezbyt mądrze. - No, tak. Rozumiem.
- Jestem na to za duża. Lubię Thomasa.
- Jeffersona? - wyrwało się Sloanowi, nim zdążył pomyśleć.
- Cysterne - wyjaśniła z uśmiechem. - To pociąg-cysterna. Ma dużo przyjaciół wśród innych pociągów.
- Aa, rozumiem. - Kiwnął głową z dość głupią miną. - No, tak...
- Chcesz zobaczyć moją kolejkę?

W jej pytaniu było tyle powagi i pełnej przejęcia prośby, że Sloan nie potrafił odmówić. Na pewno życie najmłodszej latorośli nie jest łatwe ani przyjemne, pomyślał. Nie wiedział co prawda, czemu akurat on zasłużył sobie na zaufanie, skoro też był od niej o tyle starszy, ale może Sophie po prostu liczyła na to, że nowy znajomy okaże się bratnią duszą. Jako mały chłopiec bawił się oczywiście kolejką, chyba więc fajnie będzie przypomnieć sobie tamte czasy.

- Jasne - zgodził się z uśmiechem. - Bardzo chętnie zobaczę twoją kolejkę, Thomasa oraz wszystkich jego przyjaciół.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Naomi wyszła z łazienki po pięciu minutach. Odświeżyła się i przebrała w dzinsy i spraną, niegdyś czerwoną, sportową bluzę. Starła się nie myśleć o tym, jak wyglądała bezpośrednio po dwóch godzinach treningu, ani o tym, że to, co zobaczyła w lustrze ona, musiał także zauważyć Sloan Sullivan.

Przez chwilę stała w korytarzu. Z sypialni bliźniaczek dobiegał przytłumiony głos Ginny. Dziewczynka mówiła z emfazą, jakby wyraźnie chciała dać wszystkim do zrozumienia, że rozmawia z chłopcem. Z pokoju obok słyhać było Sophie, która modulowanym głosem relacjonowała wydarzenia na trasie. Naomi po cichu podeszła bliżej i zajrzała przez uchylone drzwi do środka.

Zachciało je się śmiać, gdy ujrzała Sophie leżącą

na brzuchu na środku pokoju. Stopami, z których jedna była pozbawiona skarpetki, zataczała kółka w powietrzu. Na bardzo krętej trasie kolejki - tory prowadziły pod łóżko i z powrotem i wielokrotnie krzyżowały się ze sobą - ustawiła cały zestaw kolorowych wagoników. Sloan siedział po turecku na podłodze. Łokieć oparł o udo, brodę podparł ręką i wyglądał, jakby zatopił się bez reszty w opowieści Sophie i zapomniał o bożym świecie. Można by pomyśleć, pomyślała Naomi, że naprawdę dobrze się bawi.

- Nieznośny wagonik - opowiadała Sophie
- zbyt szybko przejechał zakręt. Stop! Zatrzymaj się, krzyknął Edward, który ledwie zdążył przed nim uskoczyć.
- Oho, wygląda na to, że ten nieznośny wagonik znów będzie sprawiał kłopoty - odezwał się Sloan.
- Ciągłe jest niegrzeczny - poinformowała go Sophie swoim normalnym głosem. - Dlatego nazwałam go „Nieznośny”.
- Rozumiem. - Sloan pochylił się do przodu i popchnął wzdłuż torów czerwony elektrowóz.
- Jak on się nazywa? James?
- Tak - przytaknęła Sophie. - James Czerwony Elektrowóz. Jest bardzo pomocny.
- Mam wrażenie, że James mógłby poradzić sobie z nieznośnym wagonikiem - zauważył Sloan.

Naomi zagryzła wargi, powstrzymując śmiech. Biedny pan Sullivan! Skoro Sophie wreszcie udało się złapać dobrowolnego - albo nawet i nie bardzo dobrowolnego - słuchacza, nie wypuści go z rąk tak szybko. Choć właściwie Sloan Sullivan nie wyglądał, jakby chciał stąd uciec.

Było jej to na rękę, bo mogła spokojnie zająć się przygotowaniem kolacji. Idąc w stronę schodów, usłyszała jeszcze radosny okrzyk Sloana:

- Nie pójdzie panu tak łatwo, panie Nieznośny Wagoniku!

Zgodnie z zapowiedzią dwadzieścia minut później Naomi skończyła przygotowania do kolacji. Chyba od ponad czterech lat, czyli od czasu, kiedy jej mąż Sam zwinął żagle, nie kładła tyłu nakryć. Ustawiła naczynia ze smażonym kurczakiem i sałatką orientalną i zawołała wszystkich do stołu. Rozległ się tupot nóg na schodach i po chwili dziewczynki siedziały już na zwykłych miejscach, nakładały jedzenie i wesoło, a także bez chwili przerwy paplały. Dopiero gdy córki napełniły talerze, Naomi zorientowała się, że jej gość nadal stoi w drzwiach kuchni. Z uśmiechem odwróciła głowę.

- Bardzo przepraszam za nasze zachowanie. Nie przestrzegamy tu etykiety, panie Sullivan. Jeśli chce pan cokolwiek zjeść, musi pan szybko do nas dołączyć.

Sprawił wrażenie speszzonego.

- Nie, to nie dlatego... Po prostu już bardzo dawno nie jadłem posiłku w domu - odparł z niepewnym uśmiechem. - Zagapiłem się, czekając, aż pojawi się szef sali i wskaże mi miejsce.

Naomi ze zrozumieniem pokiwała głową. Rzeczywiście, mogła się domyślić, że ten facet zwykle jada w restauracjach.

- Cóż, musieliśmy wymówić naszemu lokajowi i kelnerowi w jednej osobie - odrzekła, śmiejąc się. - Ale proszę zająć miejsce. - Wskazała ręką jedyne wolne krzesło

Uświadomiła sobie poniewczasie, że wyznaczyła mu miejsce, które zwykle zajmował jej były mąż. Myśl o tym nieco ją speszyła i przstraszyła, dlatego dość gwałtownie poderwała się od stołu i usiadła na wskazanym przed chwilą krześle, Sloanowi zostawiając swoje. Zajął je bez słowa, chyba nawet nie zwrócił uwagi na jej manewr, podała mu więc jedzenie, lub raczej to, co zostawiły jej córki.

Naomi przestrzegała zasady, żeby przynajmniej pięć razy w tygodniu jadały wspólnie wieczorny posiłek, chociaż czasami oznaczało to bardzo późną porę. Dziś także, jak zazwyczaj, dziewczęta mówiły o planach na następne dni. Naomi zadawała zwykle pytania o szkołę, odrobione lekcje i zajęcia dodatkowe, córki udzielały

zwykłych w takich razach odpowiedzi i wszystko toczyłoby się łatwym do przewidzenia rytmem, gdyby nie obecność nadzwyczaj atrakcyjnego mężczyzny, który siedział z nimi przy stole.

Chociaż ani razu nie wtrącił się do rozmowy, Naomi była pewna, że to nie temat wydał mu się mało ciekawy, lecz raczej onieśmieliła go atmosfera rodzinnej zażyłości. Widziała, jak kilka razy uśmiechał się, słuchając ich rozmowy, a nawet parokrotnie sprawiał wrażenie, że chce coś dodać od siebie. Jednak powstrzymywał się, jak gdyby obawiając się ich reakcji. Kiedy wstali od stołu, Naomi rozdzieliła między córki sprzątanie po kolacji, Evelyn poleciła ułożenie Sophie do snu i zabrawszy filiżanki z **kawą**, przeszła ze Sloanem do salonu. Dziwnym **trafem** nie zajęli się jednak planowaniem **treningów**. Przez chwilę prowadzili grzecznościową pogawędkę, a kiedy Naomi dowiedziała się już, co podać gościowi do kawy i kolejny raz **podziękowała** mu za wyrażoną wolę współpracy, Sloan Sullivan zniechęca zmienił temat rozmowy.

- Kiedy tu jechaliśmy, zauważyłem, że mieszkać znacznie bliżej drugiej szkoły średniej. Czemu wybrała pani dla siebie i córek Stonewall **Jackson**?

Naomi wzruszyła ramionami.

- Tam właśnie dostałam pracę, kiedy cztery

lata temu wróciłam do zawodu. A w ogóle lubię tam uczyć - dodała, choć zwykle mało kto wierzył, że mówi prawdę. - Gdy dziewczynki skończyły już szkołę podstawową, najwygodniej było zapisać je do tej samej szkoły, w której zaczęłam uczyć. Sophie chodzi do przedszkola obok domu. Podrzucamy ją tam rano, potem razem jedziemy do szkoły i oczywiście również razem wracamy. To bardzo wygodne, szczególnie teraz, gdy mam tak napięty rozkład zajęć.

- A pan Carmichael? Nie mógłby w drodze do pracy podwozić córek do tej bliższej szkoły?

Pytanie było całkiem niewinne i w logiczny sposób nawiązywało do toczącej się rozmowy, a jednak Naomi miała wrażenie, że Sloana Sullivana interesuje coś więcej niż tylko stopień zaangażowania jej męża w życie rodzinne.

Jednak odpowiedziała równie uczciwie, jak za pierwszym razem.

- Nie mam pojęcia, gdzie podziewa się pan Carmichael, ani tym bardziej, gdzie jeździ do pracy. Od lat nie miałam od niego żadnych wieści.

Sądziła, że udało jej się ukryć gorycz i mówi obojętnym tonem, ale najwyraźniej myliła się, bowiem ręka, którą Sullivan podnosił właśnie filiżankę, zatrzymała się gwałtownie i kawa chlapnęła mu na kolana. Jego niebieskie oczy stały się nagle jeszcze większe. Pewno trochę się poparzył,

pomyślała Naomi. Przecież to niemożliwe, by ten nieprzytomny wzrok był wyrazem zdziwienia. Wolną ręką zaczął ścierać z dresu małą plamkę.

- No tak, rozumiem - bąkał widocznie speszony nagłym obrotem sprawy. - Więc, w takim razie... wydaje mi się, że on nie... hmm... to znaczy, nie ma go... hmm...

- Tutaj - usłudźnie dokończyła Naomi. Już drugi raz dzisiaj zrobiło jej się żal Sullivana. To śmieszne, użalała się nad facetem, który miał życie usłane różami. - Nie, nie mieszka z nami.

Jej gość kiwnął w milczeniu głową.

Naomi westchnęła z rezygnacją.

-. Jestem rozwódką, panie Sullivan. Od czterech lat nie widziałam byłego męża ani z nim nie rozmawiałam. Nawet alimenty przekazuje przez adwokata.

- Ale Sophie... - zaczął, lecz widać zorientował się, że to już zwykłe wścibstwo, a nawet brak taktu. - Przepraszam. To nie moja sprawa.

Znów wyrwało jej się westchnienie.

- Nie szkodzi. To nie ma znaczenia. Evelyn, Katie i Ginny były już na tyle duże, żeby zorientować się, co jest grane, a przynajmniej zdawały sobie sprawę, że między mną a Samem nie układa się najlepiej. Jednak przy Sophie nie chcę o nim mówić. Nigdy nie poznała swojego ojca. Opuścił nas, kiedy upewniłam się, że jestem w ciąży.

Odetchnęła głęboko. Jak to się dzieje, zastanawiała się, że opowiadam o sobie mężczyźnie, którego dopiero poznałam i z którym już niedługo nie będę miała nic wspólnego. A mimo to mówiła dalej.

- Już od jakiegoś czasu nasze małżeństwo było dość burzliwe, aż wreszcie któregoś wieczoru mąż po prostu nie wrócił do domu. Wkrótce potem przysłał papiery rozwodowe. Podpisałam je bez wahania, bo zdawałam sobie sprawę, że nie ma sensu namawiać go do powrotu. Zresztą wcale tego nie chciałam. Starsze córki bardzo mi pomogły, kiedy urodziła się Sophie i od tego czasu tworzymy naprawdę zżytą rodzinę. Słyszałam od kogoś, że Samie mieszka teraz w Atlancie, a w każdym razie tam pracuje. To wszystko.

Z początku Sloan Sullivan nie bardzo wiedział, jak po tak rzeczowo opowiedzianej historii rozkładu rodziny kontynuować rozmowę. Po chwili jednak uśmiechnął się do Naomi.

- Proszę zwracać się do mnie po imieniu. Po prostu Sloan. W końcu mamy razem pracować.

Naomi odpowiedziała smutnym uśmiechem.

- Dziękuję. - Miała nadzieję, że zrozumiał, jak bardzo jest wdzięczna. I nie chodziło jej wcale o propozycję przejścia na ty. Jej uśmiech stał się weselszy. - A ty możesz do mnie mówić „Trenerze”. Zgoda?

- Znakomicie, Trenerze - roześmiał się.

Napięcie zelżało. Kontynuowali rozmowę, nadał jednak nie zajmowali się sprawami drużyny. Właściwie mówiła Naomi, odpowiadając na pytania Sloana. Jak długo jest trenerem Od czterech lat. A co ją do tego skłoniło Już w szkole średniej i na studiach uwielbiała koszykówkę. Była rozgrywającą. Jak sobie radzi, łącząc treningi, nauczanie i wychowywanie dzieci. Uczciwie mówiąc, nie najlepiej. To ogromne wyzwanie dla jej talentów organizacyjnych.

Zaskoczyło ją, że nie miała nic przeciwko pytaniom Sloana. Rzadko wyrażała się o mężczyznach z sympatią, na ogół traktowała ich pobłażliwie lub z lekką pogardą. Jak daleko sięgała pamięcią, zawsze była wyższa od kolegów, bardzo szczupła i niezbyt kobieca. Z tego powodu odstraszała wszystkich znajomych chłopców i w rezultacie oni również się nią nie interesowali. W szkole średniej rzadko chodziła na randki, właściwie nie umawiała się z nikim. Pozostała dziewicą aż do nocy poślubnej, a po rozwodzie także się z nikim nie związała. W gruncie rzeczy źle się czuła w obecności mężczyzn, chyba że rozmawiali z nią o sporcie. Może dlatego czuła się teraz dobrze i swobodnie w towarzystwie Sloana. Z nim mogła rozmawiać o sobie i swojej przeszłości. Prawdopodobnie

wynikało to z przekonania, że mężczyzna taki jak on nigdy się nią poważnie nie zainteresuje. Traktowała go po prostu jak przyjaciela, a od czego w końcu człowiek ma przyjaciół?

- A ty? - spytała, kiedy już zmęczyło ją mówienie wyłącznie o sobie.

Zaskoczyła go nagłym zwrotem w rozmowie.

- Co ja?

- Jesteś żonaty - chciała wiedzieć. - Masz dzieci?

Gwałtownie pokręcił głową.

- Nie, nigdy nie byłem żonaty. Nie miałem na to czasu. A jeśli chodzi o dzieci... - przerwał trochę zażenowany. - Nigdy nie umiałem z nimi postępować. Szczególnie z maluchami.

To dziwne, pomyślała Naomi. Sloan tak świetnie sobie radził podczas dzisiejszego treningu. Widziała go też w trakcie zabawy z Sophie. Wydawało jej się, że znakomicie czuł się w jej towarzystwie. Nie zachowywał się protekcyjnie ani niespokojnie, nie okazywał też rezerwy, którą wyczuwało się zwykle u ludzi bezdziejnych. Widocznie jednak miał swoje powody, żeby twierdzić co innego, toteż postanowiła nie wspominać o poczynionych obserwacjach.

- Praca wypełnia większą część mojego życia - wyjaśnił. -

Naprawdę nie mam czasu na rodzinę.

- Zdziwiłbyś się, ile czasu można wygospoda-

rować, nie rezygnując ze swoich zajęć - odparła. - Trzeba tylko określić priorytety.

- Zgadza się - przytaknął. - Dla mnie priorytetem jest właśnie praca.

- Przynajmniej jesteś uczciwy. Wielu mężczyzn... - ugryzła się w język. Nie chciała przemawiać jak zgorzkniała jędra, bo przecież wcale taka nie była. Raczej przezorna.

- Wielu mężczyzn... co? Wzruszyła ramionami.

- Wielu mężczyzn, choć pochłania ich bez reszty praca, przysięga jednak, że najważniejsza jest dla nich rodzina. Wydaje im się, że są dobrymi ojcami, bo przecież zapewniają rodzinie byt. Ich zdaniem sfera finansowa jest najważniejsza. Rzadko bywają w domu, nie spędzają czasu z rodziną, nie rozumieją zarzutów pod swoim adresem. Tak naprawdę najbliżsi w ogóle się dla nich nie liczą. Nawet gdy bawią się z dziećmi, rozmyślają o firmie.

Zapadła cisza, którą po chwili przerwał Sloan.

- Tak właśnie wyglądało twoje małżeństwo?

Co go to obchodzi? - pomyślała ze złością.

Postanowiła jak najszybciej zmienić temat rozmowy. Nie chciała już opowiadać o swoim małżeństwie ani Sloanowi, ani nikomu innemu. Nie wiedząc czemu, odpowiedziała jednak na jego pytanie:

- Chyba tak. Mój mąż pracował na stanowisku głównego wykonawcy w przedsiębiorstwie budowlanym, w związku z czym często musiał zostawać w biurze po godzinach, także w czasie weekendów. Widywałyśmy go sporadycznie. W domu zresztą też ciągle załatwiał sprawy służbowe przez telefon, więc w zasadzie był nieobecny duchem, nawet gdy siedział z nami przy stole. Czasami podejrzewałam, że wyszukuje sobie dodatkowe zajęcia tylko po to, aby nie przychodzić do domu. Sloan patrzył na nią z niedowierzaniem.

- Jak mógł nie spieszyć się do tak cudownej rodziny i pięknych dziewczyn?

Na ustach Naomi pojawił się pobłażliwy uśmiech. Wiedziała, że ona i córki są dość atrakcyjne, ale piękne? Nawet Katie, najładniejsza z nich, nie zasługiwała na takie miano. Jej córki były przystojne, interesujące, no powiedzmy, ładne, ale nawet Naomi nigdy nie nazwałaby ich pięknosciami. To określenie przywodziło na myśl złociste loki, powabne kobiece kształty, łagodne usposobienie, delikatną budowę. Natomiast dziewczyny, co do jednej, były wysokie, ciemne, choć zgrabne, to jednak dość mocno zbudowane i silne. A jeśli chodzi o nią... Zdarzały się dni, kiedy nawet nie była silna, a co dopiero atrakcyjna.

Uznała, że powinna jednak zareagować na uwagę Sloana.

- Wydaje mi się, że Sam źle się czuł wśród tylu kobiet.

- Co takiego? - zdumiał się. - Przecież to bez sensu. Jak normalnemu mężczyźnie może przeszkadzać towarzystwo kobiet?

No, tak. Sloan, który potrafiłby oczarować w jednej chwili nawet kłodę drewna, nie mógł pojąć natury Sama.

- Taki miał charakter - wyjaśniła spokojnie. - Był wysportowany, interesował się motoryzacją, fascynowały go narzędzia i wszelka maszynaria. Jeśli zdarzyło się nam wybrać razem po zakupy, zostawialiśmy go w dziale z narzędziami i po powrocie, choćby to trwało trzy godziny, zawsze wprost tryskał humorem. Czasami tylko oglądał, czasem coś kupował albo po prostu gawędził ze sprzedawcami lub innymi klientami sklepu.

Nie powiedziała tego głośno, ale doskonale wiedziała, że właśnie usposobienie Sama skłoniło go do małżeństwa z nią. Była dla niego jednym z dobrych kumpli, dlatego czuł się przy niej swobodnie. Po latach jednak uznał, że żona i trzy córki to zbyt wielki bagaż emocjonalny. Zaczął zachowywać się jak słabeusz osaczony przez silne i pewne siebie kobiety, mówił, że tonie

w estrogenie. A kiedy niespodziewanie Naomi po raz czwarty zaszła w ciążę, Sam przeraził się, wpadł w prawdziwą histerię. Oto miała go zaatakować kolejna para żeńskich chromosomów. Wtedy zdecydował, że odejdzie. I zostawił je. Wszystkie.

- Miał wrażenie, że go krępujemy, w rezultacie więc spędzał w domu możliwie mało czasu, coraz mniej i mniej.

- Ale Sophie - zaprotestował Sloan. - Przecież gdyby twój mąż wiedział, że jesteś ponownie w ciąży...

- Sam wiedział o Sophie - odparła spokojnie. - Kiedy mu powiedziałam, że znów spodziewam się dziecka, co zresztą zaskoczyło nas oboje, zażądał, bym usunęła ciążę. Nie zgodziłam się, a wtedy on odszedł. - Odetchnęła głęboko. Znów ta gorycz w głosie, której na próżno usiłowała się pozbyć. - Bał się nawet pomyśleć, że mógłby zostać ojcem jeszcze jednej córki.

Sloan przez chwilę przyglądał się jej w milczeniu.

- O rany. - Tylko tyle zdołał powiedzieć. Naomi kiwnęła głową.

- No właśnie. O rany - przytaknęła. - Teraz chyba rozumiesz, czemu unikam mówienia o Samie przy Sophie.

Zapadła niezręczna cisza, którą przerwało bicie

zegara na kominku. Raz, dwa, trzy, liczyła w myślach. Cztery, pięć, sześć... dwanaście uderzeń.

- Dobry Boże, czy to możliweś - Sloan spojrział na zegar, po czym sprawdził czas na swoim zegarku. - Północ? Wierzyć mi się nie chce! Mam wrażenie, że dopiero tu przyszedłem.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Naomi była nie mniej zaskoczona późną porą, chociaż odniosła zupełnie inne wrażenie niż Sloan. Czuła się z nim tak swobodnie, jak gdyby od pierwszego spotkania minęły całe lata, jakby był tu od dawna i dziś po prostu wdali się w jedną ze swoich zwyczajowych pogawędek.

Nie do wiary, pomyślała. Nie nawiązywała łatwo bliskich znajomości, nawet nie potrafiłaby przypomnieć sobie, kiedy ostatnio podejmowała w domu kogoś, z kim czułaby się tak naturalnie. Nigdy też nie przyszłoby jej do głowy rozmawiać z nowo poznanym człowiekiem o szczegółach dotyczących jej małżeństwa. A tu masz, Sloanowi bez najmniejszego skrepowania opowiedziała wszystko z detalami.

- O rany, przepraszam! - Zerwała się na równe nogi. - Nie zamierzałam trzymać cię tyle czasu.

- To nie twoja wina - odparł, również wstając z miejsca. - Nie zdawałem sobie sprawy, że zbliża się północ.

Dziewczęta już jakiś czas temu życzyły im dobrej nocy, przypomniawszy sobie Naomi. Nie spojrzawszy wtedy na zegar, za to teraz była niesłychanie zdumiona. Już dawno nie zdarzyło jej się stracić poczucia czasu, ale też rzadko kiedy miała okazję pogadać od serca z kimś w swoim wieku.

- Czeka cię jeszcze długa droga do Atlanty - zauważyła. Nie miała oczywiście zamiaru proponować Sloanowi noclegu. To byłoby nie na miejscu.

- Żaden problem - zapewnił ją. - Zdarzały mi się już późne powroty.

O, co do tego nie miała najmniejszych wątpliwości. Mogła wręcz pójść o zakład, że Sloan miał wiele znajomych w okolicach Atlanty i przypuszczalnie u niejednej z nich gościł nawet do rana. Prawdopodobnie z kobietami, u których przesiadywał do tak późna, spędzał również noc, z pewnością jednak żadna z nich nie miała pod swoim dachem czterech stałych lokatorek, a przynajmniej nie tak smarkatych.

- Może pomogę ci pozmywać? - zaproponował, czym wprowadził Naomi w osłupienie. Zwykle mężczyznom takie pomysły w ogóle nie

przychodziły do głowy, a jego czekała przecież jazda do domu. Pokręciła głową.

- Nie trzeba. Dziewczynki prawie wszystko zrobiły. Jedź już. Przez króciutką chwilę stali nieruchomo, jakby żadne z nich nie wiedziało, jak się teraz zachować. Naomi odniosła przedziwne wrażenie, że powinni coś jeszcze zrobić. Nie miała jednak pojęcia, co to mogłoby być.

- W takim razie widzimy się w czwartek - powiedziała, żeby pokryć ogarniające ją nagle zmieszanie. - Może uda nam się porozmawiać o drużynie, bo dziś nawet nie zaczęliśmy.

- No tak. Rzeczywiście. - Wydał się tym równie zdumiony. - W czwartek na pewno się tym zajmiemy, obiecuję.

- Może wpadniesz również na kolację? - Zaproszenie padło, nim zdążyła je porządnie sformułować w myślach.

Zaskoczyło ją, że przyjął propozycję bez chwili namysłu czy wahania.

- Bardzo chętnie - odparł. - Przyjdę z prawdziwą przyjemnością.

- Świetnie. Obiecuję, że nie zatrzymam cię tak długo.

Otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale widocznie rozmyślił się, bo tylko skinął głową

i w milczeniu ruszył w stronę drzwi. Po paru krokach ponownie odwrócił się do Naomi. Szła za nim zamyślona, ze wzrokiem wbitym w podłogę. Zauważyła, że się zatrzymał, dopiero gdy na niego wpadła i poczuła na swoich ramionach jego ręce.

Kiedy podniosła wzrok i napotkała spojrzenie Sloana, uświadomiła sobie, że do tej pory żaden mężczyzna nie patrzył na nią z góry, nigdy też nie musiała odchyłać głowy, by spojrzeć komuś w oczy. Przy Sloanie czuła się niespotykane drobna. Dziwne, nieznane jej dotychczas uczucie. I całkiem miłe...

- Prze... przepraszam - zająknęła się zmieszana. - Nie patrzyłam, gdzie idę.

Sądziła, że zabierze dłonie z jej ramion, ale tylko rozluźnił chwyt.

- Nic ci nie jest? - upewnił się.

Pokręciła głową. Bała się odezwać, czując, jak fala gorąca ogarnia całe jej ciało, nawet te partie, które od bardzo dawna pozostawały zimne. Od zbyt dawna.

- Nie, wszystko w porządku - zdołała wreszcie wykrztusić. Miała nadzieję, że Sloan nie zwrócił uwagi, jak cicho i słabo zabrzmiał jej głos.

Jeszcze chwilę ją podtrzymawał, aż wreszcie niechętnie zabrał ręce. Nie spuszczał wzroku z Naomi, cofnął się do drzwi.

- W czwartek bez wątpienia pomówimy

o koszykówce. Musisz mnie przecież wprowadzić w sprawy drużyny, przekazać informacje o słabych i mocnych stronach zawodniczek.

Sięgnął do klamki, otworzył drzwi, ale ciągle nie wychodził. Wydawało mu się, że ma jeszcze do powiedzenia coś niezmiernie ważnego. W końcu jednak tylko podniósł rękę w pożegnalnym geście.

- Dobranoc. Do zobaczenia w czwartek.

- Dobranoc - powtórzyła cicho Naomi. - Jedź ostrożnie.

Nie miała pojęcia, skąd przyszło jej do głowy, żeby to powiedzieć. Podobnie zwracała się do córek. „Uważaj na siebie”. Większość matek tak mówi do dzieci. Ale co ją obchodzi Sloan? Czyżby troszczyła się o niego tylko dlatego, że jest sympatyczny i No, jasne! - usprawiedliwiła się ochoczo w duchu. Musi przecież dbać o swojego nowego asystenta.

Ona również uniosła dłoń na pożegnanie. Stała niczym skamieniała, w milczeniu patrzyła, jak Sloan uśmiecha się, przekracza próg i zamyka za sobą drzwi.

Nie, pomyślała, moja troska nie ma nic wspólnego z koszykówką, nie powinnam się tak oszukiwać. Nagle ogarnął ją niewytłumaczalny strach. Co wyniknie z jej znajomości ze Sloanem? Bała się, tak jakby zbliżało się coś groźnego, co wpędzi ją w kłopoty.

Co za niezwykle spotkanie, zadumał się Sloan, wyprowadzając samochód spod domu Naomi Carmichael. Nie przestawał rozmyślać o minionym wieczorze, jadąc przez centrum miasteczka. Gdy zostawił za sobą przedmieścia Wisterii, otoczyła go ciemność. Chmury zasnuwające niebo nie przepuszczały światła księżyca ani gwiazd, a w reflektorach jaguara nie było widać nic poza czarną szosą wijącą się w mrokach jeszcze czarnej nocy.

Do domu w Buckhead miał niemal godzinę drogi, tym razem jednak nie przyszło mu do głowy, żeby umilić sobie jazdę muzyką. Wręcz z niechęcią myślał o zakłóceniu ciszy, która bardziej sprzyjała rozmyślaniom o wieczorze spędzonym z Naomi i jej córkami.

Przedziwny wieczór, niesamowity. Było kilka powodów, żeby tak określić dzisiejsze spotkanie. Po pierwsze zwykle nie odwiedzał ludzi, którzy mieli dzieci, w dodatku tak dużo i poniżej szesnastego roku życia. Spośród jego znajomych nieliczni tylko zawarli związki małżeńskie, a już na pewno nikt nie myślał o posiadaniu potomstwa. Nigdy nie obcował z dziećmi, dlatego też w ich towarzystwie czuł się nieco nieswojo. A jednak w domu Naomi te nieznane, a może nawet wrogie i niebezpieczne stworzenia wcale go nie krępowały, wręcz przeciwnie, wydały

mu się pełnymi wdzięku istotami, z którymi łatwo się dogadać. Stało się to również za sprawą Naomi, albowiem bardzo różniła się od kobiet, z jakimi dotychczas miał do czynienia.

To kolejny powód, dlaczego dzisiejsze spotkanie uznał za interesujące i niezwykle. Oczywiście, zdarzało się, że spędzał w damskim towarzystwie wiele godzin, ale zazwyczaj zajmowali się wtedy zupełnie czymś innym. Owszem, czasami również zapominał wówczas o upływającym czasie. Długie rozmowy natomiast prowadził jedynie ze swoimi współpracownicami, ale wtedy nigdy nie tracił poczucia rzeczywistości, jak zdarzyło mu się to dzisiaj... Zresztą z tamtymi kobietami nie miałby ochoty robić nic poza rozmową. A przecież również Naomi Carmichael w pewnym sensie była jego współpracownicą...

Dlaczego więc dziś wieczór, chociaż nie potrafiłby określić, w którym momencie, uświadomił sobie nagle, że nie miałby nic przeciwko temu, żeby robić z nią zupełnie co innego?

Równie zastanawiająca była jeszcze jedna sprawa. Nie interesowały go kobiety w typie Naomi, wysokie, wysportowane, ubrane w dresy, pracujące w okropnych miejscach jak szkoła Stonewall Jackson, a przede wszystkim takie, które dbały o niego mniej niż o zeszłoroczny śnieg. Te, z którymi się umawiał, zarabiałały równie dobrze,

jak on, dbały o swój wygląd, były świadome swojej urody i oczywiście niezwykle zainteresowane jego osobą.

Naomi Carmichael ani razu, nawet najmniejszym gestem nie zachęciła go do zbliżenia, a mimo to przez cały czas aż nazbyt wyraźnie był świadomy jej kobiecości, chociaż ona sama chyba w ogóle nie zdawała sobie sprawy ze swej atrakcyjności. Uznał ją za niezwykle pociągającą, mimo że miała na sobie stary dres, a jej dochód stanowił zaledwie niewielki ułamek jego zarobków. Nie odstraszał go nawet fakt, że była matką aż czterech córek.

To niesamowite, jak wiele opowiedziała mu o swoim osobistym życiu. Sam ją do tego nakłonił i, o dziwo, słuchał jej bez cienia zażenowania.

No i wreszcie ostatnia sprawa. Komfort psychiczny, który cenił sobie ponad wszystko i do którego uparcie dążył. W domu Naomi, z jej rodziną, czuł się swobodnie, jak nigdy i nigdzie dotąd. Teraz dopiero uświadomił sobie, że bardzo brakowało mu takiego luzu, takiej nieskrępowanej atmosfery w jego własnym życiu, ba, w jego własnym domu.

Po zaledwie kilku godzinach znajomości gotów był obwieścić całemu światu, że bardzo polubił Naomi i jej córki. Dziwny człowiek z tego Sama Carmichaela! Jak można porzucić taką wspaniałą rodzinę? A właściwie... Czy Sloan miał prawo

oceniać innych, skoro nie potrafił urządzić własnego życia?
Szykuje się ciekawy miesiąc, pomyślał. Nagle spodobało mu się uczestnictwo w akcji i wylosowane zadanie. Chętnie poda
Walecznym Dzikuskom pomocną dłoń. Oby tylko skończyło się na dłoni! Szczególnie teraz, kiedy tyle innych części jego ciała ożywiało się na myśl o pani trener.
Nie ma co, zapowiada się naprawdę interesujący miesiąc.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Wieczór czwartkowy nie różnił się od spotkania wtorkowego. Najpierw Sophie postanowiła przedstawić Sloanowi pozostałych przyjaciół Thomasa. Sloan od dzieciństwa nie brał do ręki zabawek i dawno zapomniał, jak wspaniale jest czasami uruchomić wyobraźnię. Powinien przecież pamiętać, że zabawa w udawanie to istotna część życia każdego szkraba. Szkoda, że ludzie z tego wyrastają. Sophie na szczęście wiedziała, jak ponownie wprowadzić go w ten zaczarowany świat. Zapach Ewy i Katie do koszykówki przypomniał mu z kolei jego młodzińcze lata. On też wyznaczał sobie wówczas cele, których osiągnięcie uważał za najważniejszą sprawę w życiu. Po studiach jednak nie potrafił już wykrzesać z siebie równie żywiołowego entuzjazmu. Cele zmieniały

się z dnia na dzień, wiele pozostawało niezrealizowanych, bo każdy następny wydawał się ważniejszy od poprzedniego. Najsmutniejsze było to, że zupełnie zapomniał o sprawach, które w czasach szkolnych jawiły mu się jako najistotniejsze. Albo Ginny. Jej fascynacja chłopcami przywodziła mu na myśl pierwszą miłość. A także drugą i następne, z których każda była oczywiście najgorętsza i najprawdziwsza.

W czwartek Sloan poczuł się u nich jak stały domownik. Po kolacji obserwował, jak dziewczynki, niczym dobrze zgrany zespół, przystępują do codziennych domowych obowiązków, sprzątają ze stołu, zmywają, doprowadzają kuchnię do porządku. Kiedy już udały się do swoich zajęć, Sloan przeszedł z Naomi do salonu. Tak samo jak we wtorek usiadł w przytulnym i ciepłym pokoju z sympatyczną, uroczą gospodynią, lecz tym razem to on mówił o swojej przeszłości. Wieczór upływał, kawa już dawno została wypita, a oni całkiem zapomnieli o zasadniczym celu spotkania i znów osobiste zwierzenia odsunęły na bok przygotowania do turnieju.

W swojej opowieści Sloan celowo pominął temat rodziny. Nie dlatego, oczywiście, że wstydził się rodziców czy młodszego brata. Wręcz przeciwnie, był dumny z ich osiągnięć i pozycji. Jednak mówienie przy Naomi, która walczyła

o byt, o dobrobycie, w jakim żyli jego najbliżsi, wydało mu się posunięciem nietaktownym i niezręcznym. Uznał zresztą, że sprawy jego rodziny nie są na tyle interesujące, aby mogły stanowić temat rozmowy. Skupił się więc na dzieciństwie i wieku szkolnym, trochę mniej szczegółowo potraktował studia prawnicze, natomiast długo rozwodził się na temat obecnej pracy. Ku swojemu zadowoleniu dowiedział się też trochę więcej o Naomi. Wychowywała się z trzema starszymi braćmi w małym miasteczku w Karolinie Południowej. Kiedy skończyła sześć lat, jej matka zmarła na raka. To właśnie śmierć matki skłoniła ją do uprawiania sportu i prowadzenia możliwie zdrowego trybu życia. Nie chciała w przyszłości osierocać swoich nieletnich dzieci, nie chciała, by przeżywały takie trudne chwile, jakie stały się jej udziałem.

Słuchając Naomi, Sloan odkrył interesującą cechę jej charakteru. Lubiła działać i każde zadanie doprowadzała do końca. Polegała wyłącznie na sobie, nie czekała na pomoc, bezzwłocznie brała sprawy we własne ręce. Niezwykła, fascynująca kobieta, pomyślał z uznaniem. Ni z tego ni z owego zaczęło go nurtować pragnienie, żeby jakoś jej pomóc. Nie, nie miało to nic wspólnego z trenowaniem szkolnej drużyny dziewczęcej. Kusiło go, by zdjąć z jej barków chociaż malutką

część odpowiedzialności, wesprzeć ją, podać jej pomocną dłoń. Co za nonsens, skarcił się w duchu. Przede wszystkim Naomi z pewnością nie życzyłaby sobie, by wtrącał się w jej sprawy. Poza tym świetnie przecież wiedział, że fascynacja, którą odczuwał, musi być tylko chwilowa. Nie, kobieta z czwórką dzieci, a do tego zupełnie nie w jego typie, nie mogła wydać mu się atrakcyjna i pociągająca.

Gdyby pozwolił sobie na zaangażowanie, skomplikowałby wszystko. Nie mówiąc już o tym, że utrudniłoby to obojgu pracę nad przygotowaniem Dzikusek do międzyszkolnych mistrzostw. Za miesiąc skończą się wszelkie kontakty z Naomi i jej drużyną. Kiedy Sloan przestanie bywać w Wisterii, fascynacja minie bez śladu.

Doskonale zdawał sobie z tego sprawę, a jednak... Nie było sensu dłużej się oszukiwać - między nim i Naomi coś iskrzyło, i to coraz mocniej. Ze spojrzeń, które czasami mu rzucała, poznał, że i ona to wyczuwa. Oczywiście żadne z nich nie zamierzało rozwodzić się nad tym faktem ani ulegać wzajemnemu pożądaniu. Sloan na przykład dokładał wszelkich starań, żeby najmniejszym gestem nie zdradzić, jak bardzo Naomi go zauroczyła.

Jednakże jakoś tak wyszło, że w każdy wtorek

i czwartek po treningu zostawał u niej na kolacji. Jak nietrudno się domyślić, im więcej czasu spędzał z Naomi, tym bardziej był nią zafascynowany. Nie potrafił wytłumaczyć, dlaczego tak się dzieje, próbował sobie nawet wmówić, że cała ta fascynacja jest wytworem jego wyobraźni, lecz kiedy już prawie udało mu się w to uwierzyć, nadchodził kolejny wtorkowy lub czwartkowy wieczór i wszystko zaczynało się od początku.

Cała ta sytuacja była zupełnie pozbawiona sensu. Widywał Naomi przede wszystkim podczas sportowych zajęć, kiedy oboje ubrani byli w wymięte dresy, darli się jak opętani, oblewali potem, a mimo to po każdym spotkaniu jego pociąg do Naomi stawał się coraz bardziej naglący. Podziwiał jej siłę, zrównowagę, wdzięk. Na pewno bez trudu mogłaby oczarować każdego faceta. Cóż, on jednak postanowił nie ulegać jej urokowi, po prostu nie mógł sobie pozwolić na żaden związek. Wreszcie nadszedł ostatni wieczór ich wspólnych zajęć. W przyszłym tygodniu wracał do pracy Lou Melton. W samą porę, bo rozgrywki rozpoczynały się lada moment. Sloan uświadomił sobie, że wkrótce przestanie widywać Naomi. Nie będzie żadnego powodu, żeby wracać do Wisterii, chociaż miał szczerzy zamiar przyjeżdżać na każdy mecz Dzikusek, aby dopingować dziewczyny

i patrzeć, jak sobie radzą. Powód powzięcia takiego postanowienia nie powinien chyba nikogo dziwić. Wszyscy wiedzieli, że był przecież żywo zainteresowany grą i osiągnięciami drużyny. No, a poza tym z kilkoma zawodniczkami czuł się szczególnie związany. Konkretnie z dwiema pannami Carmichael.

Jak w każdy wtorek i czwartek minionego miesiąca, także tego wieczoru Sloan Sullivan zasiedział się u Naomi. I tym razem nie miał ochoty rezygnować z ciepłej, domowej atmosfery, rozmowy z Naomi i jej towarzystwa. Wreszcie, bardzo niechętnie, podniósł się z sofy, szykując się do wyjścia. Wpierw jednak postanowił zrealizować niezwykle istotne dla nich obojga plany.

- Co robisz w czasie weekendu - spytał, otwierając drzwi.

Naomi, zaskoczona nieoczekiwanym pytaniem ściągnęła ciemne brwi.

- W czasie tego weekendu - powtórzyła niepewnie.

Przytaknął.

- Właśnie. Pomyślałem, że moglibyśmy spotkać się i pogadać o rozgrywkach. Wiem, że w przyszłym tygodniu wraca twój asystent, ale przecież powinienem dokończyć swoje zadanie.

- No, tak... - Nadal wyglądała na zdziwioną. I zanim Sloan zdążył zaproponować miejsce

ewentualnego spotkania, dodała szybko: - Ale ja... mam... no, pewną sprawę...

Patrzył na nią uważnie zdumiony jej nagłym zdenerwowaniem. Nigdy jej takiej nie widział. Przez cały miesiąc zawsze była chłodna, spokojna i opanowana. No, może z wyjątkiem tych chwil, kiedy łapał jej ukradkowe spojrzenia: ciepłe, figlarne, trochę tęskne. Czemu jednak teraz zaczęła się czerwienić, jąkać, czemu nagle ucieka wzrokiem i nie chce spojrzeć mu w oczy? - Sprawę? - spytał niedowierzająco. Pokiwała głową, jego zdaniem trochę zbyt energicznie.

- No właśnie. Muszę coś załatwić. Akurat w czasie tego weekendu. To bardzo ważne, w żadnym wypadku nie mogę tego odwołać. - Po chwili zastanowienia dodała: - Przepraszam. Postanowił nie brać sobie tej odmowy do serca. Naomi w oczywisty sposób próbowała się wykręcić i na oczekaniu zmyśliła tę „istotną sprawę”. Cóż, widać nie miała ochoty na spotkanie się z nim poza salą gimnastyczną. Już zamierzał udać, że wierzy w jej wymówkę, ale po chwili coś go podkusiło, by brnąć dalej.

Nagle jak niesforny uczeń nabrał ochoty, żeby zakpić z Naomi. Dawno nie był w tak psotnym nastroju.

- A co to za sprawa? - spytał.

Dostrzegł panikę w jej oczach.

- Hm... no, wiesz... - jąkała się coraz bardziej zmieszana.

- No tak, mówiłaś przecież, że ważna. - Powstrzymał uśmiech.

Zdaje się, że zapędził ją w kozi róg. Szykuje się zabawa, jakiej dawno nie miał. Zaraz, zaraz, czy przypadkiem nie przesadzam? - pomyślał. Od miesiąca przecież świetnie się bawię ze wszystkimi bez wyjątku paniami Carmichael.

- Zgadza się. Niezmiernie ważna, naprawdę.

- A gdzie masz ją załatwić? Tu, w Wisterii? Przez kilka sekund zastanawiała się nad odpowiedzią, w końcu pokręciła głową.

- Nie, zupełnie gdzie indziej.

- To znaczy gdzie? - nalegał. Była coraz bardziej zdenerwowana.

- Hm, właściwie bardzo daleko. W Atlancie. Widział, jak gwałtownie zaciska powieki.

Z pewnością zdała sobie sprawę, że palnęła głupstwo.

Uśmiechnął się z satysfakcją.

- Coś takiego! Znakomicie, w takim razie możemy umówić się na kolację - ucieszył się. - Właśnie sobie przypomniałem, że też mam coś do załatwienia. Może nawet w tym samym miejscu, co ty.

Popatrzyła na niego podejrzliwie. W tym momencie Sloan postanowił, że w czasie weekendu

rzeczywiście załatwi bardzo ważną sprawę. Nie chciał kłamać bardziej, niż to było konieczne.

- Którego dnia masz tę swoją sprawę? - spytał.

- W sobotę - odparła po chwili namysłu.

- To zupełnie jak ja! - wykrzyknął zdziwiony, **starając** się, by zabrzmiało to możliwie szczerze.

- Co za zbieg okoliczności! A gdzie dokładnie będziesz w Atlancie?

Zaczęła otwierać usta, ale widocznie nie potrafiła wymyślić nic na poczekaniu, bo odpowied**ziała** pytaniem:

- A ty? Gdzie ty idziesz?

- Do hotelu „Cztery Pory Roku” - zaryzykował po namyśle.

Czyżby mu się zdawało, że odetchnęła z ulgą?

- No, to mamy problem, bo ja będę w „San Moritz”, a to na przeciwległym końcu miasta.

Miał nadzieję, że jego historyjka nie jest szyta zbyt grubymi nićmi. Otwartą dłonią palnął się w czoło i wykrzyknął z entuzjazmem:

- Oczywiście, wiedziałem, że chodzi o „San Moritz”! To właśnie chciałem powiedzieć. Zawsze myślę te dwa hotele. - Uśmiechnął się.

- Wkrótce się okaże, że mamy do załatwienia tę **samą** sprawę.

Nie spuszczała z niego podejrzliwego spojrzenia, ale nie odezwała się. Już, już otwierała usta, **ale** nie wyszło z nich ani jedno słowo.

- Co masz właściwie do załatwienia? - spytał podstępnie.

Uśmiechnęła się złośliwie.

- Zjazd absolwentów uniwersytetu Clemson. - Była wyraźnie zadowolona z siebie. - Chyba jednak są to dwie różne sprawy, bo ty przecież kończyłeś Vanderbilt.

Nie zamierzał tak łatwo się poddawać.

- Skoro jednak oboje będziemy w sobotę w „San Moritz”, możemy się przecież spotkać. Na zjeździe na pewno nie dadzą wam jeść, a w hotelu jest znakomita restauracja. Zarezerwuję stolik na siódmą, co ty na to?

- Nie powiedziałaś jeszcze, co ty masz do załatwienia - spytała, nie zwracając uwagi na jego propozycję.

Przez chwilę milczał, gwałtownie usiłując znaleźć odpowiedź.

Minęło kilka kłopotliwych sekund, nim odparł:

- To również coś w rodzaju zjazdu. Niezobowiązujące spotkanie starych kolegów ze szkoły średniej. - I nim Naomi zdążyła odpowiedzieć, pośpiesznie zakończył rozmowę: - W takim razie do zobaczenia w sobotę w hotelu „San Moritz”. Pamiętaj, o siódmej.

Bał się, że Naomi przejrzy jego podstęp i zdąży odmówić, więc zdecydowanie przekroczył próg i szybkim krokiem ruszył do samochodu. Prze-

mknęło mu przez głowę, że sam również mógłby się jeszcze wycofać. Ale nie, wcale tego nie chciał. Na dobrą sprawę już teraz nie mógł doczekać się spotkania z Naomi Carmichael. Zwłaszcza że tym razem miało się odbyć na jego terenie.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

- Wyglądasz zabójczo, mamo!

Naomi przyglądała się odbiciu w wysokim lustrze ustawionym w kącie sypialni. Czemu się na to zgodziła? Miała wrażenie, że przyjmując zaproszenie na kolację, nie była sobą, tylko tą całkiem obcą kobietą, która w tej chwili patrzyła na nią z lustra.

Zamiast dzinsów i sportowej bluzy miała na sobie dawno zapomnianą prostą sukienkę do kolan z długimi rękawami i niewielkim dekoltem. Nogi obciagnięte cienkimi rajstopami wsunęła w czarne pantofle na niskim obcasie, w uszy wpięła kolczyki z pereł, które podarowała jej ciotka Margery w dniu ukończenia z wyróżnieniem szkoły średniej.

Gdybyż to było wszystko! Ginny jednak uparła się przy makijażu. Naomi obawiała się co prawda,

że będzie wyglądać jak chodząca reklama firmy kosmetycznej, lecz ku jej zdumieniu zabiegi Ginny sprawiły, że jej cera wypiękniała, rysy złagodniały, oczy stały się większe i ciemniejsze, rzęsy dłuższe, usta pełniejsze, a kości policzkowe bardziej wyraziste.

Ginny, niemal jak zawodowa stylistka, pomogła matce także w doborze garderoby. Wzdychając i mrużąc pod nosem, oglądała każdy ciuch, aż wreszcie z głębi szafy wygrzebała czarną sukienkę. Ucieszyła się ogromnie, gdy jeszcze udało jej się dokopać do kolczyków z perełkami, choć trudno powiedzieć, czy jej radości nie potęgowała nadzieja, że będzie je mogła pożyczyć na szkolną zabawę.

Jednak to nie Ginny, lecz Evelyn najmocniej obstawała przy tym, żeby matka pojechała do Atlanty. W czwartek podsłuchiwała rozmowę ze Sloanem i kiedy tylko za gościem zamknęły się drzwi, przybiegła do salonu. Naomi usiłowała ostudzić zapał córki. Prawdę mówiąc, zamierzała zadzwonić do Sloana nazajutrz rano i odwołać randkę. Ułożyła sobie już nawet plan rozmowy.

Natychmiast po rozstaniu ze Sloanem wiedziała, że popełniła fatalny błąd. Przez minione cztery tygodnie obserwowała go podczas zajęć i coraz bardziej jej się podobał. To śmieszne, ale czuła się podekscytowana niemal jak nastolatka przed randką

z wymarzoną chłopcem. Chciała się podobać, wzbudzić w nim zainteresowanie i ogromnie żałowała, że Sloan widuje ją wyłącznie w stroju sportowym.

Jednakże nie była to tylko kwestia pociągu fizycznego. Cały miesiąc przyglądała się, z jaką łatwością Sloan nawiązuje kontakt z jej córkami, jakim świetnym potrafi być kompanem.

Dziewczynki również przywiązały się do niego, a szczególnie malutka Sophie, której poświęcał tyle uwagi. Naomi uświadamiała sobie, że każda z nich pragnęła znaleźć uznanie w jego oczach.

Nie mogła pozwolić, aby Sloan jeszcze głębiej wkroczył w ich życie. Już w tej chwili pozostawił po sobie ogromną pustkę, która tylko powiększyłaby się, gdyby przywiązały się do niego jeszcze bardziej.

Nie była w stanie wyjaśnić tego wszystkiego córce, gdy Evelyn namawiała ją gorąco na randkę ze Sloanem.

- Mamo, naprawdę dobrze ci to zrobi. W ogóle nigdzie nie wychodzisz. A przecież tak znakomicie dogadujecie się z panem Sullivanem.

- Ewy, nie mogę jechać taki kawał tylko po to, żeby zjeść kolację z jakimś facetem - protestowała Naomi.

- Niby dlaczego nie? - upierała się córka.

- Moim zdaniem to wręcz wymarzona okazja, by się trochę zrelaksować. Będiesz własnym samochodem, więc w każdej chwili możesz wrócić do domu. A pan Sullivan to świetny gość. Wiem, że go lubisz. Zresztą, on ciebie też. Zafunduj sobie choć czasem odrobinę przyjemności i rozrywki.

Rzeczywiście, wyjątkowo kuszący argument, pomyślała Naomi. Brakowało jej rozrywki, a przecież Sloan bez wątpienia zasługiwał na miano świetnego faceta. Musiała się też zgodzić z tym, że się lubią, bała się tylko, co może wyniknąć z tej wzajemnej sympatii.

W gruncie rzeczy do Atlanty nie było tak daleko. I w końcu to przecież tylko kolacja, za którą zapłaci z nim po połowie, żeby nie zaciągnąć u Sloana żadnego długu wdzięczności. To spotkanie będzie miłym akcentem na zakończenie ich znajomości i związku.

Miała oczywiście na myśli związek dwojga współpracujących trenerów, choć przecież istniał także inny, stworzony w jej głupiej wyobraźni, którą przez cały miesiąc syciła marzeniami. Nie były to wyłącznie erotyczne fantazje, jednak w niektórych ona i Sloan... no, na pewno nie zajmowali się koszykówką. Zresztą, czy ma to jakieś znaczenie? Co prawda, kilka razy pochwyciła jego spojrzenie,

niepewne, jakby pytające, ale przecież nigdy nie dał jej do zrozumienia, że interesuje go coś więcej niż koleżeństwo.

Jej fantazje nie są groźne, póki będzie panować nad pożądaniem i nie zrobi nic, czego mogłaby później żałować. A oczywiście była pewna, że nie rzuci się bezwstydnie na Sloana.

- No, dobra, dzieciaki. - Evelyn przerwała zadumę matki, zwracając się do młodszych sióstr.

- Muszę z mamą chwilę pogadać, jak kobieta z kobietą.

Zabrzmiało to dość złowieszczo, pomyślała Naomi, wrzucając niezbędne drobiazgi do pożyczonej od Ginny maleńkiej torebki.

Dziewczynki zaprotestowały, ale Evelyn była nieprzejednana.

- No już, wynocha - powtórzyła. - W porządku

- oznajmiła, zamykając za siostrami drzwi. Kiedy stanęła oparta o nie plecami, w dzinsach, zbyt obszernej flanelowej koszuli, uczesana w koński ogon, trudno byłoby zgadnąć, że skończyła szesnaście lat. Świadczył o tym wyłącznie jej wzrost i... słowa, które wprawiły Naomi w osłupienie.

- Mam nadzieję, że w torebce znajdziesz trochę miejsca na prezerwatywę? - spytała Evy, patrząc spokojnie na matkę.

Naomi oniemiała. To chyba ostatnia rzecz, jaką spodziewała się usłyszeć od własnej córki.

- Co takiego?

Evy oderwała się od drzwi, przeszła przez pokój i stanęła przed matką, opierając dłonie na biodrach. Westchnęła.

- Mamo, świat się zmienił od czasu, kiedy ty chodziłaś na randki - zaczęła poważnie. - Obecnie dużą wagę przywiązuje się do bezpiecznego seksu. Możesz być pewna, że jeśli postanowisz nie wracać na noc...

- Evelyn! - Naomi zerwała się z łóżka i popatrzyła z góry na córkę, od której ciągle była trochę wyższa. - Oczywiście, że wrócę na noc! I na miłość boską, niepotrzebne mi w torebce miejsce na prezerwatywę!

Mój Boże! Pamiętała, jak ciotka Margery pouczała ją, że dziewczyna zawsze powinna mieć w torebce kilka centów na wypadek, gdyby chłopak jej nie odprowadził i trzeba było dzwonić po pomoc do rodziców. A teraz jej własna córka przypominała jej o konieczności noszenia prezerwatywy! Co za czasy!

W odpowiedzi na okrzyk matki Evelyn z uśmiechem wzruszyła ramionami.

- Jeżeli jednak w trakcie wieczoru zdecydujesz inaczej, nie ma sprawy, obiecuję, że zajmę się wszystkim w domu. Daj spokój, mamo, przecież **to** normalka, nic nadzwyczajnego.

Tak może mówić tylko szesnastoletnia dziewcz-

czyna, która z pewnością nie miała jeszcze żadnych doświadczeń erotycznych. Pasją Evelyn była koszykówka. Od dawna żyła sportem, ale widać rzadkie kontakty z płcią przeciwną nie wpłynęły na ograniczenie jej wiedzy w tym zakresie. Czasami tylko Naomi obawiała się, czy córka w pełni uświadamia sobie, jak skomplikowane mogą być męsko-damskie stosunki.

Evy sięgnęła do tylnej kieszeni dżinsów i wyciągnęła do matki rękę, w której trzymała jakiś mały, płaski, opakowany w plastik przedmiot.

- Uważam, że powinnaś to wziąć na wszelki wypadek. Nigdy nic nie wiadomo. Moim zdaniem niepotrzebnie tak się wściekasz i oburzasz.

Naomi wpatrywała się w dłoń córki jak zahipnotyzowana.

- Skąd to masz?

- Od takiej jednej.

Naomi zagryzła wargi. Wiedziała, że będą musiały kiedyś porozmawiać o seksie, jednak odkładała to na później. Ciągłe jej się zdawało, że jeszcze jest za wcześnie.

- Twoje koleżanki zaczęły już... współżycie seksualne? - spytała, starając się mówić możliwie zdawkowym tonem, choć w rzeczywistości bliska była zamknięcia córki w szafie i złożenia ekspresowego zamówienia na pas cnoty.

- Może jedna albo dwie - odparła Evy.

Przynajmniej jest uczciwa, pomyślała Naomi.

- I co o tym sądzisz?

Znów jedno ramię Evelyn uniosło się lekceważąco i po chwili rozległo się prychnięcie:

- Ja? Myślę, że to głupota. Dzięki Bogu!

- Chociaż znam jednego świetnego chłopaka. Chodzi ze mną na chemię - ciągnęła Evy, nie dostrzegając popłochu w oczach matki.

O rany...

- Wiesz, mamó, ja chyba też mu się podobam. Tylko nie to!

- Jednak prawdopodobnie chyba nie dojrzałam jeszcze do związku fizycznego - zakończyła Evy.

Naomi spadł kamień z serca, ale nie dawała za wygraną.

- Zaraz, ale przed chwilą powiedziałaś, że to nic nadzwyczajnego.

- Myślałam o tobie - odparła Evy. - Masz przecież cztery córki.

Zakładam, że robiłaś to co najmniej cztery razy.

Naomi uśmiechnęła się i ujęła w dłonie buzię córki.

- To zawsze jest coś nadzwyczajnego, Evy - powiedziała ciepło. - Pamiętaj o tym. Ważne jest, żeby kochać osobę, z którą zamierza się to zrobić.

- Zapamiętam - obiecała córka z uśmiechem.

- Mam nadzieję.

- W takim razie, pewno nie będzie ci potrzebna? - Evelyn rzuciła okiem na prezerwatywę, którą nadal trzymała w ręku.

Nie wiedziała, czemu nie potrafi udzielić córce stanowczej odpowiedzi. Widocznie jednak jej milczenie było wystarczająco wymowne, bo Evelyn ponownie wetknęła płaską paczuszkę do kieszeni.

- Zamierzasz oddać ją swojej koleżance? - z nadzieją spytała Naomi.

- Może zatrzymam ją na pamiątkę dzisiejszej rozmowy - odpowiedziała Ewy. - Na razie nie będę jej potrzebowała.

- Mam nadzieję, że jeszcze dość długo. Evelyn roześmiała się.

- Na pewno. Póki co muszę skoncentrować się na treningach.

Dzięki Bogu, pomyślała Naomi. Gdyby sama skupiła się na koszykówce, nie wpakowałyby się w taką idiotyczną sytuację. Od razu w czwartek należało przyznać się Sloanowi, że skłamała i po prostu nie chce go widywać. Musiał zresztą przejrzeć jej nieudolne wykręty i zwyczajnie z niej zakpił, zrećźnie kierując rozmową. Co gorsza, sama mu ułatwiła taką manipulację.

Tylko dlaczego? Od dwóch dni dręczyło ją to

pytanie. Czemu wyraziła zgodę na randkę? Oczywiście, Sloan był miły, czarujący, inteligentny, no i niesamowicie atrakcyjny. Może odpowiedzi należało szukać w tym, że przy nim znów poczuła się kobietą¹? Czy może chodziło o to, że od kiedy go poznała, nie umiała przestać o nim myśleć?

W porządku. Możliwe, że potrafiłaby wytłumaczyć, czemu ma ochotę pojechać do Atlanty. Jednak nawet przed samą sobą nie mogła udawać, że to dobry pomysł. Ich znajomość nie doprowadzi donikąd. Sloan mieszkał w innym mieście i z pewnością bardziej pasjonowała go gra na giełdzie niż rodzina. To pracoholik, który cały swój czas poświęca firmie. Dał jej to zresztą bardzo wyraźnie do zrozumienia już pierwszego wieczoru.

Cóż, świetnie zdawała sobie z tego sprawę, jednak miała ochotę zjeść z nim kolację w miłym lokalu. Zabrała wyszywaną koralikami czarną torebkę, przyglądała elegancką sukienkę i po raz ostatni rzuciła okiem na swoje odbicie w lustrze. To tylko kolacja, niezobowiązująca, lekka rozmowa, nic więcej. Po prostu jeszcze jeden wspólny wieczór, chociaż w bardziej romantycznym otoczeniu. No i bez towarzystwa czterech nieletnich panna. Tym razem będą całkiem sami. Kolacja, powtórzyła sobie. Tylko. I rozmowa.

A potem powrót do domu. Więcej już nie zobaczy się ze Sloanem. A wówczas...

Westchnęła ciężko. Nie wiedziała, co zrobi później. Na razie jednak postanowiła się nad tym nie zastanawiać.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Z początku w ogóle jej nie poznał. Podejrzewał chyba zresztą, że Naomi stchórzy w ostatniej chwili i wcale się dziś nie pojawi. A kiedy już ją dostrzegł, wyglądała... o, rety...

No, właśnie, świetnie, a nawet o niebo lepiej!

Zupełnie inaczej niż zwykle... Czarne włosy zaciesała za uszy, przez co uwydatniły się rysy jej twarzy, która nagle wydała mu się niezwykle piękna. Duże, szare oczy stały się większe, ciemniejsze i bardziej zmysłowe, pełne usta wyglądały bardziej zachęcająco i zdawały się zapraszać do pocałunku. No i ubranie... Oczywiście nie miała na sobie dresu i choć jej strój właściwie nic nie odsłaniał i nie był ani trochę prowokacyjny, to jednak czarna krótka sukienka znakomicie podkreślała ponętne kształty. Wszystko w jej postaci zdawało się dziś

krzycząc: „Hej, tam! Popatrzcie na mnie! Czyż nie wyglądam wspaniale?”. Wyglądała rewelacyjnie, wręcz bajecznie.

Pomyślał, że powinien się z tego cieszyć. To przyjemność sięść do stołu z tak piękną towarzyszką. Zrozumiał wreszcie, skąd wzięło się jego zainteresowanie Naomi. Pod jej sportowymi, wilgotnymi od potu ciuchami po prostu kryła się najbardziej pociągająca ze wszystkich znanych mu kobiet. To dlatego nie mógł przestać o niej myśleć.

Wypełniała jego myśli - te świadome i te podświadome - przez cały miesiąc, od pierwszego spotkania. Jednak dopiero teraz zauważył, że jest oszałamiająco piękna. A dziś miał ją tylko dla siebie, na własnym terenie, wszystko więc może się zdarzyć... Sloan podniósł się zza stolika i ruszył w stronę wejścia, gdzie ciągle stała Naomi. Chyba wyczuła jego obecność, bo natychmiast odwróciła głowę. Domyślił się, że uśmiechem próbuje pokryć zdenerwowanie.

Tylko czemu sam był niespokojny? Przecież Sloan Sullivan nigdy nie tracił zimnej krwi, a już szczególnie w towarzystwie kobiet. Poza tym mieli przecież wyłącznie zjeść kolację i porozmawiać o udziale drużyny w turnieju.

No, właśnie, Sullivan! - przypomniał sobie. Koszykówka. Strategia. Mistrzostwa.

Przecież jedynie z tego powodu włożył tyle wysiłku w przekonanie Naomi, że powinni się dziś spotkać. Tylko z powodu koszykówki przez dwie godziny przygotowywał się do wyjścia. Dlatego również zarezerwował stolik w najcichszym kącie sali. Dlatego wreszcie przed wyjściem z domu wsunął do kieszeni prezerwatywę.

Właściwie sam nie wiedział, skąd ten pomysł. Nie miał żadnych podstaw, aby oczekiwać czegoś więcej niż rozmowy przy kolacji. Naomi nie była kobietą, która zgodziłaby się na przelotny romans. A poza tym, przypominał sobie, przecież wcale nie była w jego typie. A mimo to, prezerwatywa została w kieszeni.

Tak na wszelki wypadek.

Czyżby pobożne życzenia? - zastanawiał się. Tylko czego właściwie chciał? Przecież to nie w jego stylu... Wykorzystywać kobietę, żeby zaspokoić żądze? A już z całą pewnością nie wykorzystalby Naomi. Jego dziadek miał specjalne określenie dla tego typu kobiet. To damy, mówił. Z nimi należy się żenić. Odgonił kłopotliwe myśli, koncentrując uwagę na cudownej, zjawiskowo pięknej istocie, która się do niego zbliżała.

- Wyglądasz naprawdę smakowicie... to jest, znakomicie - poprawił się szybko.

Widział, że jego potknięcie - czego właściwie:

języka czy zmysłów? - wzmogło zdenerwowanie Naomi. Nie tylko zresztą jej. Zmierzyła go spojrzeniem od stóp do głów, oceniając ciemny garnitur, elegancką białą koszulę i jedwabny krawat od Hermesa. Swoją drogą, na dobranie tego krawata poświęcił cały kwadrans. Kiwnęła głową z aprobatą.

- Ty też wyglądasz smakowicie... to znaczy, znakomicie - zażartowała, powtarzając jego przejęzyczenie. - Czy to twoje prawdziwe oblicze?

- O co ci chodzi? - spytał podejrzliwie. - Jak to: prawdziwe?

- Pytam po prostu, czy zwykle tak wyglądasz?- wyjaśniła. - Ubierasz się w takie rzeczy na co dzień? To znaczy do pracy i w ogóle?

- No, tak. Na pewno częściej mam na sobie garnitur niż dres. Dziś chyba jestem prawdziwszy niż facet, którego widywałeś przez ten miesiąc.

Przez chwilę zastanowiła się nad tym, co powiedział. Pokiwała głową ze zrozumieniem, po czym palcem dotknęła sukienki.

- Bo to nie jestem prawdziwa ja. Nigdy tak się nie ubieram.

Znacznie częściej wyglądam tak, jak w czasie treningów. Tamta osoba jest prawdziwa.

Odniosł wrażenie, że chciała to szczególnie podkreślić.

- Rozumiem - odparł. - Cóż, mnie się podobają oba twoje oblicza.

Na chwilę zapadła cisza. Ciekawe, o czym myśli Naomi, zastanawiał się. Czy ma jakieś oczekiwania związane z dzisiejszym spotkaniem? A może w jej torebce też jest prezerwatywa? Nie, to chyba niemożliwe. Chociaż... Na pewno nie wyglądała na osobę, która zamierza cały wieczór mówić o koszykówce.

Rozmawiając zdawkowo, przeszli do stolika. Sloan z galanterią odsunął krzesło, pomagając jej usiąść. Celowo wybrał dla niej miejsce tuż obok siebie. Jakoś nie wyobrażał sobie, że cały wieczór miałby spędzić naprzeciwko Naomi, po drugiej stronie stołu. W końcu też usiadł i... właściwie nie wiedział, co powiedzieć. Na szczęście pojawił się kelner.

Kiedy Sloan spojrzał na Naomi, dostrzegł, że była... zażenowana. Otworzyła usta, ale po chwili znów je zamknęła. Najwyraźniej peszył ją fakt, że nie wie, jaki alkohol powinna wybrać.

Czym prędzej wybawił ją z kłopotu.

- Pani proszę podać koktajl z szampana, a dla mnie whisky z wodą - zdecydował.

- Dziękuję - uśmiechnęła się, kiedy kelner już odszedł. - Dawno już nie byłam w tak eleganckim lokalu i nie miałam pojęcia, co zamówić. Zwykle **gdy** wychodzimy z przyjaciółmi, biorę margaritę albo colę z lodem, ale wydawało mi się, że tutaj to niezbyt wypada.

- Jednym słowem dzisiaj powinnaś wiele nadrobić - uśmiechnął się w odpowiedzi. Zdał sobie sprawę, że nie zabrzmiało to, jakby miał na myśli wyłącznie dobór trunków i wykwinnych smakołyków.

Naomi chyba również przyszło to do głowy, bo zaczerwieniła się gwałtownie, chociaż nie wyglądała na obrażoną. Nagle odniósł wrażenie, że mała paczuszka w górnej kieszeni marynarki zaczęła go parzyć. Postanowił zignorować, przynajmniej do czasu, to niesamowite i zapewne złudne doznanie.

- Pewno powinienem teraz grzecznie zapytać, jak przebiegł zjazd absolwentów? Chyba że od razu przyznasz się do kłamstwa? Wydała cichy okrzyk.

- O rety, czy to znaczy, że mi nie uwierzyłeś? - spytała rozbawiona.

- A powinienem? Przyjrzała mu się z namysłem.

- Cóż, nie będę obstawać przy tym, że mówiłam prawdę. Pokręcił głową.

- Z równym skutkiem ja mógłbym starać się przekonywać cię, że moje spotkanie nie było zmyślane.

Udała zaskoczenie.

- A było? Niesamowite!

Westchnęła zrezygnowana, oparła ręce na stoliku i pochyliła się do Sloana.

- Przepraszam za to kłamstwo - powiedziała cicho.

Sloan powtórzył gest Naomi. Kiedy pochylił się w jej stronę, ich czoła prawie się zetknęły.

- Czemu nie powiedziałaś prawdy?

- Nie wiem. Zdawało mi się, że nasze spotkanie to kiepski pomysł.

- Jak to? - zdziwił się. - Twoim zdaniem rozmowa o przygotowaniu do mistrzostw jest niepotrzebna? Co z ciebie za trener?

Patrzyła na niego spod rzęs.

- Może to, co powiem, zabrzmi zbyt obcesowo, ale jakoś wierzyć mi się nie chce, że spotkaliśmy się w tym celu.

- A niby w jakim? - spytał, nie odwracając wzroku. Zaczął się obawiać, że jej oczy całkiem go pochłoną. Może zresztą nie miałby nic przeciwko **temu**, przecież patrzyła na niego cudowna Naomi Carmichael. - Powiedz, czemu w takim razie przyszłaś? Zawahała się przez moment.

- A ty?

- Ja spytałem cię pierwszy - uśmiechnął się.

- A ja druga.

Przez chwilę patrzył na nią w milczeniu. Nagle **z** sąsiedniej sali dotarły do niego dźwięki muzyki.

- Przyszedłem potańczyć. Naomi ściągnęła brwi.
- Co takiego? - spytała zaskoczona.
- Potańczyć - powtórzył. Kiwnął głową w stronę sali, skąd dobiegały tony jego ulubionej melodii. - Właśnie grają naszą piosenkę
- uśmiechnął się zachęcająco.
- Nie wiedziałam, że mamy jakąś piosenkę
- zdziwiła się.
- Teraz już tak.
- I tą piosenką ma być „Mglisty dzień”? - spytała z powątpiewaniem.
- Równie dobra, jak każda inna. No, chodź. Zatańcz ze mną, Naomi - poprosił.
- Ale... - Wyglądała na przestraszoną. Niestety nie przyszło jej do głowy żadne inne słowo.
- Ale...

Sloan podniósł się z miejsca. Z uczuciem ulgi spostrzegła kelnera, który zbliżał się do ich stolika.

- Są nasze drinki. - Z pewnym patosem pomyślała, że czuje się jak pasażerka „Titanica”, której udało się zdobyć miejsce w szalupie ratunkowej. Uniosła swój kieliszek. - Na zdrowie! Przez moment zastanawiał się, czy nie powinien jeszcze trochę powalczyć. Mógłby powiedzieć na przykład, że taniec bardzo pobudza apetyt. Kiedy jednak spojrzał na przerażoną Naomi, zrobiło mu się jej żal.

Na razie jej daruje.

Niechętnie wrócił na miejsce i sięgnął po swojego drinka.

- Na zdrowie! - powtórzył bez entuzjazmu. - Za nasz taniec po kolacji, dobrze? - dokończył toast.

I zanim zdążyła odpowiedzieć, uniósł szklaneczkę do ust.

Zaklepane, pomyślał. Zatańczą natychmiast po kolacji. A być może nie skończy się na tańcu?

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Naomi nie pamiętała, kiedy ostatnio jadła tak wytworną kolację w tak eleganckiej restauracji, w dodatku z tak atrakcyjnym mężczyzną. Chyba jeszcze nigdy nie spędziłam równie uroczego wieczoru, myślała leniwie, obserwując Sloana spod opuszczonych rzęs.

Westchnęła z zadowoleniem, sypiąc cukier do kawy. Spojrzała z żalem na resztki tortu czekoladowego, który zamówili na deser. Naprawdę nie da rady już nic zjeść, chociaż z przykrością myślała, że zmarnuje się tyle pysznej czekolady. Najpierw koktajl, potem cztery - tak, aż tyle - dania, do których wypili butelkę wspaniałego wina, a na koniec wielki kawał tortu. Bawiła się świetnie. O takim spędzaniu czasu mogła do tej pory tylko marzyć, ale prawdę mówiąc, chyba nie starczyłoby jej wyobraźni,

żeby wymyślić taki wieczór. Zwykle jej marzenia dotyczyły kilku spokojnych chwil, kiedy nie będzie słycać ciągłego: „Mamo, ona znów się mnie czepia!” albo „Nie rozumiem tego ćwiczenia. Po co nam w ogóle ta gramatyka?”, czy też „Nie mogę dziś ćwiczyć, proszę pani. Jestem niedysponowana”. Och, choćby kwadrans absolutnej ciszy! Tylko takie życzenia zaprzętały jej wyobraźnię na co dzień. A dziś...

Sloan był taki przystojny, uroczy, błyskotliwy, uprzejmy... Brakowało jej słów. Przez miesiąc przekonywała siebie, że nie jest w jej typie. Zbyt ułożony, wytworny, bogaty. Wtedy również nie wystarczało jej określić. Światowiec, który zbyt cenil sobie wielkowiejskie życie, kawalerski stan i wieczorne wyjścia do eleganckich lokali, żeby mogło mu odpowiadać spędzanie czasu w domowych pieleszach.

A jednak... Przypomniała sobie kolacje i rozmowy, które prowadzili po treningach. Musiała przyznać, że Sloan był uroczy. Po prostu doskonały. Jednak to tylko utwierdziło ją w przekonaniu, że zniknie z jej życia, gdy tylko skończy się akcja Pomocna Dłoń. Czyli dzisiaj...

- Jesteś mi winna taniec - odezwał się nagle, przerywając jej rozmyślenia. - Taniec - powtórzył, widząc jej zaskoczenie. - Mieliliśmy zatańczyć przed kolacją.

- Ale...

- No chodź. Trochę ruchu dobrze nam zrobi.

Natychmiast przyszedł jej do głowy inny sposób na rozruszanie się po kolacji. Co jest, znowu zaczyna fantazjować. W czasie minionego miesiąca zdarzyło jej się myśleć o Sloane i sobie w sytuacjach, nazwijmy to, niezbyt przyzwoitych. No właśnie. Dyskutowali nad... strategią. Nadzy... Po zastanowieniu doszła do przekonania, że fantazje erotyczne nie są niczym nadzwyczajnym u kobiet w jej wieku, szczególnie jeśli zbyt długo nie miały okazji ich zrealizować.

- Przecież sama tego chcesz. - Głos Sloana przywołał ją do rzeczywistości.

- Ja? Czego chcę... - zaczęła niepewnie.

- Zatańczyć - uśmiechnął się pobłaźliwie. - Ze mną. Prawda?

- Oj, nie wiem, czy po takim jedzeniu mogę tańczyć - broniła się.

- Możesz, możesz - zapewnił ją. - Musimy odzyskać energię.

Miała wrażenie, że Sloan nie mówi wyłącznie o tańcu. Boże, pomóż! - pomyślała, wiedząc, że nie ma dość siły, żeby oprzeć się obietnicy widocznej w jego niebieskich oczach.

Kiedy ujęła dłoń Sloana, jej ciało oblała fala ciepła.

Sloan już wcześniej podpisał rachunek, wy-

śmiewając przy tym pomysł płacenia po połowie. Wzięła więc torebkę i pozwoliła poprowadzić się do salki przeznaczonej dla tańczących, gdzie kilka par wirowało leniwie w rytm powolnej, rzewnej melodii. Sloan bez słowa wprowadził ją na środek, otoczył ciasno ramionami, kładąc jej głowę na swoim ramieniu. Nigdy jeszcze nie miała okazji przytulić głowy do ramienia mężczyzny. W najlepszym wypadku oczy jej i partnera znajdowały się na tym samym poziomie, a raz zdarzyło się nawet, że tańczący z nią chłopak złożył głowę na jej biuście. Przy większości kolegów w szkole i na studiach czuła się jak Guliwer wśród Liliputów. Nawet jej mąż był wyższy zaledwie o jakiś centymetr. Tylko przy Sloane nagle ubywało jej wzrostu. To zbyt piękne, żeby mogło trwać. Tacy mężczyźni nie trafiali się zapracowanym samotnym matkom, które zbliżały się do czterdziestki, zaczynały siwieć i ledwo wiązały koniec z końcem. Pamiętała o tym wszystkim, splatając dłonie na karku Sloana. Starła się o tym myśleć i wtedy, gdy objął ją w pasie i przyciągnął do swojego muskularnego ciała. Jednak... Trudno ciągle słuchać głosu rozsądku, pomyślała, przytulając się do niego trochę mocniej, wdychając wspaniałą woń jego wody toaletowej, czując bicie jego serca.

Ich ciała ocierały się o siebie w rytm muzyki. Miała wrażenie, że Sloan otulił ją sobą, a jej było tak wygodnie, tak ciepło.

Kiedy muzyka zmieniła tempo, dostosowali się do niego oboje, jak gdyby stanowili jedność. Bez słowa, bez żadnego porozumienia jakimkolwiek gestem, wyrażali swoje pragnienie.

Od czasu do czasu Naomi myślała w popłochu, że wkrótce powinna wracać do domu. Za każdym razem jednak postanawiała odłożyć tę decyzję na później, może po następnej piosence...

Nie zauważyli, że inne pary zeszły już z parkietu, również zespół zwolniono na przerwę, włączając muzykę z taśmy. Nie potrzebowali muzyków ani innych tańczących, żeby cieszyć się swoją obecnością.

Poruszali się w milczeniu, ich ciała kołysały się zgodnie w przód i w tył, w przód i w tył... Z każdym ruchem czuli się ze sobą lepiej. Ich dłonie przesuwały się po ramionach, szyi, plecach, rękach i z powrotem, kawałek po kawałku poznawali swoje ciała.

Naomi czuła pragnienie, żeby sięgnąć dalej, a niewinny zdawało się dotyk palców Sloana sprawiał, że krew wrzała w jej żyłach.

Jej ramiona, plecy, ręce ogarniał płomień. Po raz pierwszy od wielu lat naprawdę pragnęła jakiegoś mężczyzny.

Nagle uświadomiła sobie, że Sloan ją całuje. A może to ona całowała Sloana? Nie był to wcale delikatny pocałunek, jakiego należałoby się spodziewać na początku znajomości, lecz na tyle żarliwy i gwałtowny, że poczuła skurcz w piersiach. Pocałunek, który wyrażał pytanie. Nie mogła pozostawić go bez odpowiedzi. A kiedy to zrobiła... Sloan porwał ją gdzieś w otchłań. Ich ciała przestały się kołysać. Stali pośrodku pustej sali, splątani, wczepieni w siebie, rozpaleni pożądaniem.

Nie potrafiła już myśleć, mogła tylko skoncentrować się na swoich doznaniach: szumie krwi w uszach, biciu serca w piersi, pożądaniu, które domagało się spełnienia. Na Boga, pragnęła, żeby to trwało wiecznie, żeby mogła zostać przy Sloanie Sullivanie na zawsze.

- Od dawna tego pragnęłam - westchnął, nim znów przycisnął wargi do jej ust.

Nie dowierzała swojemu głosowi, kiwnęła więc tylko głową. Miała nadzieję, że Sloan odebrał jej gest właściwie, jako pełną aprobatę. Ona również tego pragnęła, chyba od pierwszego wieczoru, który spędzili na długiej rozmowie. Gdy wyszedł z jej domu, czuła, że zabrakło jej czegoś niezmiernie ważnego. Teraz już wiedziała, o co jej wtedy chodziło. Nie pocałowała go ani nie przytuliła, ani nawet nie dotknęła...

- Pragnę cię, Naomi - szepnął, odrywając się od jej ust. Pociemniałymi z pożądania oczami patrzył na jej uniesioną twarz. - Zdaję sobie sprawę, jak to brzmi, ale chcę się z tobą kochać. Pragnę tego od chwili naszego pierwszego spotkania. Cały miesiąc... Patrząc na ciebie... Rozmawiając... Wydawało się, że nie potrafi skleić jednego pełnego zdania. Nie dziwiło jej to, ona nie zdołałaby nawet zacząć... Przymknęła oczy z nadzieją, że kiedy nie będzie na niego patrzeć, odzyska zdrowy rozsądek i uda jej się powiedzieć to, co powinna. Cóż z tego jednak, że nie widziała twarzy Sloana. Ze wzmożoną siłą czuła jego zapach, ciepło, dotyk. Wiedziała już, że słowa, które powinna wymówić, z pewnością nie padną. Ponownie pochylił głowę i ustami musnął jej szyję.

- Mogę wynająć pokój - szepnął. W jego głosie słyszała niepewność. - Proszę, Naomi. Pozwól mi wziąć dla nas pokój. Mój Boże, jak bardzo pragnęła się zgodzić.

- Nie posuniemy się dalej, niż pozwolisz - obiecał, całując ją gorączkowo. - Tylko... musimy zostać sami. Chociaż na chwilę. Proszę.

Kiwnęła przyzwalająco głową, nim zdążyła się zastanowić. Sloan nie czekał, jakby obawiając się, że Naomi zmieni zdanie.

- Poczekaj tu. Zaraz wracam.

Miała wrażenie, że minęło zaledwie kilka sekund do jego powrotu. W rękę trzymał kartę magnetyczną.

Naomi zaschło w gardle. Kiedy napotkała spojrzenie Sloana, dostrzegła, że jest równie jak ona zmieszany. Wziął ją za rękę i poprowadził powoli do windy.

Naomi w milczeniu przyglądała się migającym numerom mijanych pięter. Wyszli z windy i trzymając się za ręce, ruszyli do pokoju na końcu korytarza. Kiedy Sloan otworzył drzwi i weszli do środka, jej wzrok padł na ogromne łóżce z przygotowaną pościelą i bombonierką ułożoną na poduszce. Zupełnie, jak gdyby ich tu oczekiwano.

Ciszę przerwał dopiero trzask drzwi zamykanych przez Sloana.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Stał oparty o drzwi. Wzrok utkwiał w twarzy Naomi, jakby nie mógł uwierzyć, że to zrobili. Po jego minie poznała, że nie jest pewien jej reakcji.

Nagle poczuła się jak nastolatka, którą czeka pierwsze intymne zbliżenie z ukochanym chłopcem. Nie wiedziała, czego oczekiwać, ale nie chciała też dłużej zwlekać z odkryciem tej magicznej tajemnicy.

Pracujące samotne matki, przedstawicielki kia sy średniej nie zachowują się w ten sposób, ganiła się w duchu. Nie mają zwyczaju spotykać się z mężczyznami w hotelowych pokojach. Nic śmiałyby tego robić...

Sloan nie odrywał od niej wzroku, zupełnie jak gdyby czekał na jakąś wskazówkę. Odsunęła niepokojące myśli, a po chwili wahania odrzuciła na krzesło torebkę. A niech tam! Właśnie, że ona się odważy.

Po raz pierwszy chyba nie chciała zastanawiać się nad konsekwencjami, a wyłącznie poddać się zmysłom. Jakie to podniecające, pomyślała, i tak zupełnie do niej niepodobne. Przez tyle lat zanieczyliwała siebie, zawsze przede wszystkim myśląc o innych. O córkach, uczniach, drużynie, nigdy o sobie. Dziś wreszcie zrobi coś dla siebie. Po prostu będzie kobietą.

Sloan widać uznał odłożenie torebki za pozytywny sygnał, bo sięgnął do krawata. Naomi z wyschniętym gardłem patrzyła, jak Sloan rozsupłuje węzeł, wyciąga pasek jedwabiu spod kołnierzyka i rzuca obok jej torebki. Po chwili na krześle leżała też marynarka. Kolejno odpinał guziki koszuli, posuwając się przy każdym o krok do Naomi, aż znalazł się zaledwie kilka centymetrów od niej.

Patrzyła na jego szeroki, owłosiony tors. W ustach miała sucho, gardło ściśnięte. Dziwne, pomyślała, chyba jeszcze nigdy nie byłam taka podniecona. Niemal bezwiednie włożyła ręce pod jego koszulę i zsunęła mu ją z ramion. Uśmiechnął się, przyciągnął ją blisko i przykrył jej usta swoimi. Naomi zanurzyła dłonie w ciemnych włosach na piersi Sloana. Pod palcami czuła jego twarde mięśnie.

Westchnął z rozkoszy, kiedy mocniej przycisnęła dłonie do jego ciała. Sięgnął do zamka sukienki i pociągnął go w dół, aż poczuła powiew

chłodu na plecach. Opuściła ręce i po chwili sukienka leżała u jej stóp. Zrzuciła pantofle i wsunęła kciuki pod gumkę rajstop. Stała teraz przed Sloanem w prostych białych figach i praktycznym biustonoszu.

Bielizna dla mam w średnim wieku, przeleciało jej przez głowę. Czemu nie przewidziała, że powinna ubrać się w seksowne, czarne koronkowe majteczki i odpowiedni staniczek*? Nic z tego, przecież nie miała takich rzeczy w swojej komodzie i nigdy nie wpadłaby na pomysł, żeby coś takiego kupić. Nigdy, aż do dzisiaj. Jednak Sloan, zajęty odpinaniem stanika, chyba w ogóle nie zwrócił uwagi na jej bieliznę.

To zadziwiające, lecz nie czuła się onieśmielona, kiedy ją rozbierał. Wręcz przeciwnie, poczuła przyływ pewności siebie, gdy Sloan przerwał na chwilę pocałunki i wpatrywał się w nią z zachwytem.

Wiedziała oczywiście, że jak na kobietę w jej wieku i po czterech porodach trzyma się zupełnie dobrze. Jednak jej figurze daleko było do doskonałości. Przez jeden straszny moment pomyślała, że dla Sloana jest to równie oczywiste, jak dla niej. Jednak jego pożądliwy, zachłanny uśmiech przywrócił jej nadzieję. Może Sloan wcale nie pragnął idealnie zgrabnej nastolatki, lecz zmysłowej, dojrzałej kobiety.

Otworzył usta, ale Naomi nie chciała teraz rozmawiać. Pragnęła dotykać, czuć, przeżywać. Zanim się odezwał, przycisnęła wargi do jego ust i sięgnęła do paska spodni.

Nagle cofnęła ręce i odsunęła się o krok, gdy poczuła dłoń Sloana na swojej piersi. Objął ją ręką, głaskał i masował, drażniąc najpierw kciukiem, a potem językiem nabrzmiały sutek. Kiedy zaczął namiętnie ssać jej pierś, z okrzykiem wpiła palce w jego włosy. Nie była pewna, czy chce, żeby przerwał pieszczotę, czy raczej stara się go nakłonić, żeby został tak na zawsze. Wiedziała tylko, że pożądanie ogarnia jej ciało, każdą komórkę, każdy nerw.

- Jeszcze - jęknęła, nim zdała sobie sprawę, że w ogóle otwiera usta. - Mocniej, Sloan. Proszę...

Nie miała pewności, czy faktycznie zaśmiał się w odpowiedzi na jej żądanie. A może w ogóle jej nie usłyszał? Nie zmieniając tempa, nadal ssał tę samą pierś, jednocześnie ręką pieszcząc drugą brodawkę.

Teraz jednak popychał ją powoli w stronę łóżka. Po chwili leżeli na materacu. Poczwała, jak gorący i twardy przyciska się do jej uda. Sięgnęła ręką do jego spodni.

- Och, Naomi - wyszeptał zduszonym głosem. - O, Boże! Naomi...

Uśmiechnęła się, dumna z władzy, jaką nad

nim miała. Popchnęła go, aż przetoczył się na plecy i uniósł biodra, pomagając jej ściągnąć spodnie i bokserki. W tym momencie skończyła się jej przewaga, bo teraz Sloan ułożył ją na plecach i wsunął nogę między jej uda. Instynktownie zaczęła poruszać biodrami, czując narastającą żądzę. Z każdym ruchem jej ciało stawało się gorętsze i bardziej wilgotne. Z gardła Naomi wyrwał się jęk zawodu, kiedy stwierdziła, że tak nie osiągnie zaspokożenia.

Sloan widocznie zrozumiał jej potrzeby, bo poczuła, że sięga do jej majteczek. Już po chwili położył rękę tam, gdzie przedtem było jego udo, a palcami zaczął niespiesznie i delikatnie pieścić najwrażliwsze miejsce ciała. Wychodząc naprzeciw pieszczocie, uniosła biodra, a Sloan wsunął palec głębiej. Wzmagał jej podniecenie, aż wydała triumfalny okrzyk spełnienia. Przez chwilę leżała wyczerpana, drżąc i pojękując z rozkoszy. Nigdy nie zaznała takiej przyjemności, nigdy też nie osiągnęła pełnego zaspokożenia.

Nie zdążyła jeszcze wrócić do siebie, kiedy Sloan usiadł na brzegu łóżka, a ją posadził sobie na kolanach. Ciągłe oszołomiona, oparła ręce na jego ramionach, wczepiając palce w gorącą skórę. Instynktownie wiedziała, że będzie musiała mocno się trzymać. Kiedy zauważyła, że Sloan wyjął prezerwatywę, przez jeden krótki moment za-

stanawiała się, czy powinna obrazić się za taką przezorność. Po chwili jednak przestała myśleć w ogóle. Odrzuciła głowę, kolana wbiła w materac, otwierając się szeroko, żeby mógł zatopić się w niej jak najgłębiej.

Kiedy w nią wszedł, wplątała palce w jego jedwabiste włosy i przyciągnęła bliżej. Wpierw ukrył twarz w jej piersiach, a już po chwili ponownie objął jej sutek ustami. Naomi przeleciało przez głowę, że teraz stali się nierozłączni. Ona jest w nim, on w niej. Często zmieniali pozycję. Leżała na plecach, z uniesionymi biodrami i nogami opartymi o ramiona Sloana, który przed nią ukląkł. Później ułożył ją tyłem do siebie, obejmując ją mocno w talii, w końcu przekreślił ją twarzą do siebie... Nie potrafiłaby powiedzieć, ile czasu to trwało, wiedziała tylko, że z każdym ruchem daje Sloanowi więcej z siebie, więcej też od niego dostaje.

Czując nadchodzący orgazm, objął dłońmi pośladki Naomi i przysunął bliżej do siebie, wchodząc w nią coraz mocniej i głębiej. Jego ruchy stały się szybsze, a Naomi dopasowała się do rytmu jego ciała. Wreszcie w ostatnim spazmie wydał głośny okrzyk spełnienia.

Znów znalazła się na plecach. Sloan całował ją gwałtownie, zaborczo. Naomi oddała mu pocałunek z taką samą pasją i żarem. Leżeli teraz, łapiąc

oddech, patrząc sobie w oczy i próbując zebrać myśli. Oboje byli oszołomieni tym, co się przed chwilą wydarzyło.

Sloan uśmiechnął się lekko.

- Zaraz wracam - powiedział, podnosząc się.

Została sama w łóżku, zastanawiając się, czemu wyszedł.

Prezerwatywa, uświadomiła sobie. Musiał się jej pozbyć.

Współczesny środek bezpieczeństwa, który chronił ich przed niechcianą ciążą i chorobami.

Nie potrafiła pozbyć się myśli, że prezerwatywa zabezpieczała także przed wymianą emocji, nie tylko płynów ustrojowych. Czy można więc zakładać, że ochroni ją przed największym zagrożeniem?

Teraz, kiedy całkiem wróciła do rzeczywistości, uświadomiła sobie nagle, co zrobiła. Właśnie uprawiała miłość z mężczyzną, który tylko na chwilę pojawił się w jej życiu. Ona, prawie czterdziestoletnia kobieta, matka czterech córek! Zawsze uważała się za osobę zrównoważoną i odpowiedzialną, a oto zrobiła coś tak niesamowicie głupiego. W całym swoim życiu spała z jednym tylko mężczyzną, a dziś poszła do łóżka z kimś, kto miał kochanek na pęczki. Była pewna, że Sloan nie zrozumiałby ani jej obiekcji, ani tego, ile dla niej znaczy to, co robili. Dla niego seks to normalka. Z pewnością zawsze miał pod ręką prezerwatywę, natomiast rzadko - jakiegokolwiek wątpliwości.

No i dobrze. Jej wątpliwości wystarczało dla nich obojga. Słowa, które powiedziała do córki zaledwie kilka godzin temu, wróciły teraz ze zdwojoną mocą. „To zawsze jest coś nadzwyczajnego”. Bo dla niej seks był nadzwyczaj ważny. Dlatego pozostała dziewicą, póki nie spotkała mężczyzny, który stał się jej mężem. Także dlatego nie była z nikim od czasu, gdy Sam od niej odszedł. Czemu dzisiaj sprzeniewierzyła się swoim zasadom?

Nie miała ochoty zastanawiać się nad odpowiedzią. Nie tu i nie teraz. Musiała być sama, żeby zrozumieć to, co się stało. Dzisiaj i w ciągu minionego miesiąca. Obawiała się, że nie spodoba się jej odpowiedź, której właściwie nie trzeba było szukać.

Pozbierała rozrzucone części garderoby, ubrała się pospiesznie i palcami przegarnęła włosy, choć niewiele mogło im to pomóc. Domyślała się, że wygląda tak, jak się czuje: jak kobieta, która spędziła noc na uprawianiu gorącego, banalnego seksu. No, może nie całą noc. A seks również nie był banalny, w każdym razie nie dla niej.

Musiała znaleźć się sama i daleko od miejsca, gdzie popełniła ten straszny błąd. Chyba największy w życiu. Sloan ciągle był w łazience. Zaczęła podejrzewać, że nie wychodzi, bo nie ma pojęcia, CO zrobić z tym, co się między nimi wydarzyło.

Być może on również wolałby znaleźć się sam i do tego daleko stąd.

Jednak skoro Sloan wynajął pokój, to ona powinna się stąd wynieść. Wyświadczy mu w ten sposób uprzejmość, przynajmniej tak sobie wmawiała. Nie miała doświadczenia i nie wiedziała, jak się postępuje w takich sytuacjach, jednak wydawało jej się, że najrozsądniej będzie czym prędzej się oddalić. Im dłużej będzie zwlekała, tym większe istniało niebezpieczeństwo, że zrobi coś jeszcze głupszego, na przykład rozplacze się. Albo, co gorsza, poprosi Sloana, żeby znów się z nią kochał.

Zabrała z krzesła torebkę i ponownie przygładziła włosy. Może powinna zostać i doprowadzić sprawę do końca? Czy uciekając, nie popełni jeszcze większego błędu?- Jednak w sytuacjach zagrożenia była przecież tylko jedna pewna metoda ratunku. Tylko jedna właściwa strategia.

Uciekać.

I tak też zrobiła.

Sloan stał w łazience ogarnięty paniką. Dłonie zacisnął kurczowo na umywalce i patrzył na mężczyznę w lustrze. Nie poznawał siebie. Jak mógł tak postąpić? Nie leżało to zupełnie w jego charakterze, żeby tak całkiem stracić nad sobą kontrolę. Tak go oszołomiło pragnienie, pożąda-

nie i wreszcie zbliżenie z Naomi, że zupełnie się zapomniał. Przestał myśleć, dał się ponieść zmysłom... A przecież Naomi zasługiwała na znacznie więcej niż zdawkowy, banalny seks. Czy rzeczywiście zdawkowy? Nie tak to odczuł. W ich zbliżeniu nie było nic trywialnego. To było niesamowite, niepowtarzalne wręcz przeżycie. Od chwili, gdy ją objął na parkiecie, miał wrażenie, że znalazł się w innym świecie, innej rzeczywistości. Potem ją pocałował... A może to Naomi pocałowała mnie? - zastanowił się. Nie mógł sobie tego przypomnieć. Kiedy więc pocałowali się i poczuł słodycz jej ust i ciepło ciała, zawładnęło nim bez reszty pożądanie.

Ogarnął go pusty śmiech. Co za pomysł! Nie było na świecie takiej siły, która potrafiłaby aż tak nim zawładnąć. Sloana Sullivana, pragmatycznego pracoholika i zaprzysiężonego kawalera nic nie było w stanie oszołomić, a już z pewnością nie kobieta z czwórką dzieci, mieszkająca w małym domku i jeżdżąca mikrobusem!

A jednak... Przez cztery tygodnie ta właśnie kobieta sprawiała, że czuł się stuprocentowym mężczyzną. Powabna, kusząca, seksowna.

Dobry Boże! On naprawdę stracił dla niej głowę!

Ponownie spojrzął na swoje odbicie. Zdawało mu się, że zmienił się również fizycznie. Może to

kwestia oświetlenia, ale odniósł wrażenie, że jego oczy nabrały blasku, zmarszczki zniknęły, nawet cera wydawała się promienieć. Tak jakby seks z Naomi ujął mu kilka lat. Już dawno nie czuł się taki pełen życia, wręcz naładowany energią.

Co właściwie powinien teraz zrobić? Kobieta w pokoju oczekuje odpowiedzi, a on na razie wiedział tylko, że znów jej pragnie i już nigdy nie pozbędzie się tego uczucia. Nigdy się nią nie nasyci.

Przeraziła go ta świadomość.

To nic, uspokajał się. To tylko reakcja po czarownych chwilach, które z nią przeżył. Trudno się dziwić, że ma ochotę powtórzyć wszystko wiele, wiele razy. Jednak to pragnienie niedługo przycichnie i za dzień czy dwa przestanie pożądać Naomi.

Wziął głęboki oddech. Do diabła! Przecież nie pierwszy raz przeżywał podobny stan. Naomi nie różniła się wiele od tych wszystkich kobiet, z którymi szedł do łóżka. Nieprawda, poprawił się natychmiast. Była zupełnie inna.

Otworzył drzwi łazienki. Starał się wejść do pokoju możliwie nonszalancko, choć trochę peszył go fakt, że był goły jak święty turecki.

Bardziej wyczuł niż zobaczył, że Naomi wyszła. Pustka w pokoju była tak przytłaczająca, jakby nigdy nikt tu nie mieszkał.

Natychmiast zrozumiał, że Naomi odeszła na dobre. Właściwie

jej decyzja wcale go nie dziwiła, a mimo to odczuwał bolesny ucisk w żołądku. Chciał się pozbyć tego głupiego uczucia, ale nie potrafił.

Świetnie, pomyślał, uśmiechając się drwiąco. Po prostu znakomicie. I co teraz?

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Sala gimnastyczna, gdzie rozgrywano mecz finałowy międzyszkolnych mistrzostw w koszykówce dziewcząt, różniła się zasadniczo od boiska w Stonewall Jackson, na którym trenowały Waleczne Dzikuski. Szkoła East Central w Atlancie najwyraźniej nie cierpiała na brak funduszy. W przeciwieństwie do Stonewall Jackson, gdzie jedyna lampa była wiecznie albo przepalona, albo rozbita, tutejsze oświetlenie działało bez zarzutu. Czerwone krzesła na trybunach wyglądały, jakby je dopiero zakupiono, a supernowoczesna elektroniczna tablica pokazywała aktualny wynik dokładnie w tym samym momencie, kiedy zespół ze Stonewall Jackson z werwą wygrywał zwycięskie tony „Rock Around the Clock”.

Przeciwniczki Dzikusek, drużyna Wojowniczych Sokolic ze szkoły Dorman z Augusty,

również wydawały się dość zasobne. Sprane, wyblakłe, biało-niebieskie stroje Dzikusek rażąco kontrastowały z nowymi, profesjonalnie zaprojektowanymi czerwono-złotymi kostiumami reprezentantek Augusty.

Naomi nie mogła oprzeć się wrażeniu, że przewaga tamtejszej drużyny nie leży tylko w wyposażeniu, ale przede wszystkim w liczności przybyłych rodziców i kolegów. Ławki bowiem pełne były ich kibiców przezornie zaopatrzonych w czerwono-złote chorągiewki. Wśród widzów z rzadka tylko pojawiały się barwy Stonewall Jackson, wskazujące, że i Dzikuski mają swoich fanów. Pozostawało mieć nadzieję, że waleczność i opracowana strategia wystarczą dziewczynom do odniesienia zwycięstwa.

W ciągu dwóch tygodni drużyna wspierana przez Naomi i Lou Meltona pokonała wszystkie przeciwniczki, można więc było założyć, że Dzikuski stać na to, aby zawieźć dziś do domu pierwszy w historii Wisterii puchar stanowych mistrzostw. Ponownie rzuciła okiem na trybuny, gdzie dostrzegła największego wielbiciela swojej drużyny. Sloan Sullivan nie opuścił żadnego meczu, a w dopingowanie dziewczyn wkładał więcej serca niż niejeden rodzic. Zawsze znalazł sposób, żeby przedostać się do ich ławki, przywitać

z zawodniczkami, rzucić parę cennych uwag. Przy tych okazjach za każdym razem pozdrawiał Naomi kiwnięciem głowy, czasami rzucił ciche „cześć”, ale nigdy nie próbował nawiązać z nią rozmowy. Wmawiała sobie, że ją to cieszy. I tak nie miała pojęcia, co mogłaby mu powiedzieć.

Czasami zdawało jej się, że wieczór w Atlancie musiał jej się przyśnić, chociaż jak na sen zbyt żywo pamiętała dotyk rąk Sloana, pocałunki, pieszczoty, słowa, które w chwili najwyższego uniesienia szeptał jej do ucha.

Twarz ją paliła na wspomnienie cudownej rozkoszy, którą ją obdarował.

Odwróciła się szybko, żeby Sloan nie pochwycił jej spojrzenia. Nawet nie zadzwonił do niej ani razu od tamtej soboty. Prawdę mówiąc, sama też nie próbowała się z nim skontaktować, chociaż to przecież ona wówczas uciekła bez żadnych wyjaśnień, nawet bez pożegnania. Sloan musiał podejrzewać, że nie chce go więcej widzieć. Pewnie czuł się podobnie jak ona zażenowany i równie trudno było mu zrobić pierwszy krok.

Prawdopodobnie nie tylko ona uważała, że umawiając się na randkę, popełnili wielki błąd i pod żadnym pozorem nie wolno im dopuścić, żeby sytuacja się powtórzyła.

Właściwie powinna się cieszyć, bo udało im się osiągnąć porozumienie w tej sprawie, tymczasem

jednak nie czuła ani ulgi, ani zadowolenia. Wręcz przeciwnie, pragnęła Sloana tak samo, a może nawet mocniej niż tamtej nocy w hotelu „San Moritz”. A jeszcze bardziej brakowało jej wieczorów, które spędzali na rozmowach.

Od chwili, gdy Sloan zniknął z jej życia, mały i zawsze dotąd ciasny domek wydawał się nienaturalnie opustoszały.

Dziewczęta, a przede wszystkim Sophie, również dopytywały się, kiedy pan Sullivan odwiedzi je ponownie. Naomi nie miała pojęcia, co im odpowiedzieć. Chyba tylko Evy, najdoroślej sza z nich, doskonale rozumiała, co się dzieje. Po późnym powrocie matki do domu nie próbowała wydobyć z niej żadnych szczegółów spotkania, ale z pewnością domyślała się wszystkiego.

Naomi potrząsnęła z niechęcią głową. Dość! Wystarczy na razie tego rozpamiętywania. Dzisiaj musi skupić się na drużynie, która właśnie zmierza do zwycięstwa. Może potem...

Przez dwa tygodnie turniej koszykówki pozwalał jej przynajmniej na trochę oderwać myśli od Sloana. Jednak kiedy skończy się dzisiejszy mecz, trudno będzie znaleźć równie absorbującą sprawę.

Później będę się tym martwić, postanowiła. W tej chwili trzeba wygrać mecz.

Jeszcze kilkadziesiąt minut trwały te katusze. Pot, krzyk, obgryzanie paznokci, potem dwie upiorne dogrywki i wreszcie... Dwie sekundy przed upływem czasu po rzucie Ewy za trzy punkty Waleczne Dzikuski pokonały Wojownicze Sokolice. Naomi ochrypła od krzyku, ale w takiej chwili nieważny był ból gardła. Dziewczyny udowodniły, że są najlepsze w całej Georgii i wreszcie mogły świętować!

Przejęta sukcesem nie zauważyła w szatni gościa, póki Ewy nie klepnęła jej w ramię.

- Mamo, spójrz, kogo znalazłam - zwróciła się do matki.

Naomi odwróciła się na pięcie. Zrobiło się jej gorąco, gdy obok córki dostrzegła Sloana. Nie była przygotowana na spotkanie z nim, tym bardziej, że wyglądał zupełnie inaczej niż każdy z tych Sloanów, których znała i - chyba czas najwyższy to przyznać - kochała. Zamiast garnituru czy dresu dziś miał na sobie sprane dżinsy i obcisły granatowy golf, który uwydatniał muskularny tors i wspaniale podkreślał głęboki błękit oczu.

Nie miała pojęcia, co powiedzieć, na szczęście jednak Ewy wybawiła ją z kłopotu. Przynajmniej w jakiejś części...

- Próbuję zmusić pana Sullivana do złożenia obietnicy, że przyłączy się do nas, kiedy pój-

dziemy czić zwycięstwo - oznajmiła. - *jeszcze* nie wyraził zgody, ale może tobie się uda go namówić, kiedy pogadasz z nim jak trener z trenerem...

Evelyn zamilkła nagle, jak gdyby doskonale wiedziała, że w ich wzajemnych kontaktach nie chodzi wcale o koszykówkę.

Delikatnie popchnęła Sloana ku Naomi i udając, że dostrzegła coś za plecami matki, zawołała koleżankę z drużyny, a po chwili zostawiła ich samych.

Naomi nie posiadała się ze szczęścia. Bliskość Sloana sprawiła, że znów czuła się lekko i radośnie. Tak, jego oczy rzeczywiście są tak niebieskie, jak je zapamiętała, i faktycznie jest bardzo wysoki i świetnie zbudowany. **Zaczynała** już podejrzewać, że upiększyła go we wspomnieniach, ale nie, pamięć jej nie **zawiodła**. Żałowała, że brak jej odwagi, aby wyciągnąć **rękę** i go dotknąć.

- Oczywiście, powinieneś razem z nami świętować zwycięstwo - powiedziała z uśmiechem, **kiedy** już odzyskała głos. Zdołała opanować **jąkanie**, udało jej się nawet nie zaczerwienić, nie **potrafiła** tylko ujarzmić serca, które waliło w piersi **jak** młotem. Boże, kręciło jej się w głowie od **lamego** patrzenia na tego mężczyznę. - Przecież **należysz** do drużyny.

- Raczej nie - zaprzeczył. - Właściwie przez ten miesiąc tylko się koło was kręciłem.

- Mimo wszystko udało ci się sporo zrobić. Niby tylko jeden miesiąc, a ile zmian wprowadziłeś. - Zbyt późno zdała sobie sprawę, że można to różnie rozumieć. Przecież mówiąc to, sama nie miała na myśli szkolnej drużyny.

Sloan uniósł brwi.

- Czyżby? - spytał z niepewnym uśmiechem. Wahala się tylko przez moment.

- Oczywiście, że tak - przytaknęła. Spojrzał na nią uważnie.

- Myślisz o drużynie, prawda? Zastanowiła się. Raz kozie śmierć, pomyślała

w końcu. Pora już chyba wszystko wyjaśnić.

- Tak, również o drużynie.

Uśmiech Sloana stał się odrobinę pewniejszy.

- Chciałem do ciebie zadzwonić - powiedział cicho. - Po tamtej nocy, kiedy... - Ponad jej ramieniem spojrział z wahaniem na dziewczyny, które jednak w najmniejszym stopniu nie wydawały się interesować rozmową trenerki z jej byłym asystentem. Mimo wszystko jeszcze bardziej ściszył głos. - Po tamtej nocy nie mogłem przestać o tobie myśleć. Tak bardzo pragnąłem znów się z tobą kochać, zobaczyć cię, po prostu z tobą być. - Przysunął się bliżej, jakby zamierzał ją dotknąć, lecz natychmiast się opanował i opuś-

cił ręce. - Potwornie za tobą tęsknię, Naomi. Od dwóch tygodni mam wrażenie, że jakaś część mnie umarła.

Serce Naomi było mocniej z każdym słowem Sloana, choć bała się jeszcze pokładać nadzieję w tym, co mówił. Kiedy jednak zajrzała mu w oczy, dostrzegła w nich ten sam ogień, który i ją spalał.

- To czemu nie zadzwoniłeś? - spytała.

- A ty? - z wyrzutem odpowiedział pytaniem na pytanie.

Przymknęła oczy.

- Gdybyś wiedział, jak bardzo chciałam... - przerwała nagle.

- Czemu wtedy odeszłaś? - Potrząsnęła głową.

- Spanikowałam. Nie wiedziałam, co robić. Pierwszy raz w życiu znalazłam się w takiej sytuacji. Uświadomiłam sobie, że dla ciebie to przecież nic nowego i...

- Dla mnie to również było całkiem nowe doznanie, Naomi - zapewnił ją gorąco. - Po raz pierwszy przeżyłem coś takiego.

Uśmiechnęła się niedowierzająco.

- Raczej nie zachowywałeś się jak nowicjusz.

- Wiesz przecież, o czym mówię.

- Tak czy inaczej, masz znacznie większe doświadczenie ode mnie.

- Tak sądzisz?

- Ja miałam w swoim życiu tylko jednego mężczyznę.
- A ja nigdy nie kochałem się z taką kobietą jak ty. Nigdy; Naomi
- powtórzył z naciskiem.

Wzięła głęboki oddech.

- W takim razie, czemu nie zadzwoniłeś? Sloan westchnął ciężko.
- Chciałem,, nawet bardzo. Doszedłem jednak do wniosku, że masz teraz co innego na głowie. Nie mogłem rozpraszać cię w czasie turnieju...
- Chyba żartujesz? - zaśmiała się. Słuchając go, poczuła się znacznie pewniej. - Przecież rozpraszasz mnie bez ustanku, od naszego pierwszego spotkania.
- Chcesz powiedzieć, że zdobyłyście puchar mimo mojej działalności w Wisterii?

Pokręciła głową.

- Wręcz przeciwnie. Zdobyliśmy go dzięki tobie. Pojawiłeś się w chwili, gdy byłeś nam najbardziej potrzebny.
- Nam? - powtórzył.
- Mnie - poprawiła się. - Ja ciebie potrzebowałam. Bez ciebie nie osiągnęłabym tego. - Zatoczyła krąg ręką. Wzięła głęboki oddech, który miał dodać jej sił, postanowiła bowiem pójść na całość. - Nadal uważam, że sobie bez ciebie nie poradzę. Chyba zresztą nie chcę.

Zastanawiał się przez chwilę.

- Co z tym świętowaniem zwycięstwa?
 - Razem z Lou obiecaliśmy dziewczynom, że przed odjazdem do Wisterii pójdziemy na pizzę czy co tam będą chciały - odparła. Sloan pokiwał głową z namysłem.
 - Ty też wracasz do Wisterii?
 - Przynajmniej taki miałam zamiar.
 - A dałabyś się namówić do pozostania w Atlancie na noc? - spytał, patrząc na nią z nadzieją.
- Naomi uśmiechnęła się. Rzuciła okiem na Evy.
- Cóż, chyba mogę polegać na mojej najstarszej córce, na pewno zajmie się domem. Jest bardzo odpowiedzialna. Mam nadzieję, że dziś woda sodowa nie uderzyła jej do głowy.
 - Może pojedziemy do mnie? - zaproponował Sloan. - Co prawda nie mam tak przytulnego lokum jak ty, ale jest znacznie bliżej.
 - Moglibyśmy spotykać się w pół drogi między Atlantą a Wisterią, nie uważasz?
- Uśmiechnął się szeroko.
- Pewnie. No, to jak robimy dzisiaj? Jedziemy **do** ciebie czy do mnie?
 - Mam lepszy pomysł. Co powiesz na nasz pokój w „San Moritz”?
- To było niesamowite, pomyślał Sloan, kiedy leżeli wyczerpani miłością w wielkim łóżu

w pokoju hotelowym. Przytulił mocno rozgrzane, wilgotne ciało Naomi i naciągnął prześcieradło na jej plecy. „Nasz pokój”. Tak nazwała to miejsce kilka godzin temu. Jak to ładnie brzmi. Może powinni wprowadzić taki zwyczaj, żeby wracać tu co roku, na przykład w rocznicę ślubu...

Wstrzymał oddech, nie kończąc myśli. Co roku w rocznicę ślubu Co też mu chodzi po głowie!

Czekał, aż na myśl o małżeństwie pojawi się fala przerażenia. Pięć sekund, dziesięć, piętnaście... Zastanawiające... Ta niespodziewana myśl o poślubieniu Naomi sprawiła, że zamiast strachu pojawiło się miłe, pełne nadziei uczucie ciepła i oczekiwania.

- Naomi? - odezwał się, głaszcząc delikatnie jej ramię.

- Hmm? - zamruczała, wtulając głowę w jego szyję. Ułożyła się wygodniej, opierając udo o nogę Sloana.

- Tak sobie myślałem... - zaczął.

- Jakim cudem udaje ci się myśleć? - przerwała mu. - Ja nie potrafiłabym przypomnieć sobie, jak się nazywam.

Uśmiechnął się dumny i szczęśliwy. Każdy mężczyzna chciałby usłyszeć takie wyznanie. Szczególnie od takiej kobiety jak Naomi.

- Nie myślałem w chwili, gdy się kochaliśmy

- sprostował. - Zbyt mnie podniecasz, żebym mógł zebrać myśli.
- Cudownie - szepnęła. - Każda kobieta chciałaby słyszeć takie wyznanie, szczególnie od takiego mężczyzny...

Spojrzał podejrzliwie na jej ciemną głowę przytuloną do jego piersi. Jak to się dzieje, że chociaż nie są małżeństwem, Naomi już czyta w jego myślach?

- No więc o czym myślałeś? - Jej ciepły oddech pieścił mu szyję.
- Przyszło mi do głowy, że jako trenerzy stanowiliśmy całkiem zgrany zespół. Zastanawiałem się, czy bylibyśmy równie dobrzy w innych dziedzinach.

Podniosła wzrok i uśmiechnęła się zalotnie, kusząco.

- Nie miałem na myśli wyłącznie seksu - zastrzegł się.
- Ach tak! - zaśmiała się, mrugając kokieteryjnie rzęsami.
- W tej dziedzinie bez wątpienia jesteście mistrzami - zgodził się.
- Uważam, że równie dobrze mogłaby nam wyjść jeszcze inna zabawa.
- A mianowicie?
- Moglibyśmy pobawić się w dom - odrzekł.
- Jestem pewien, że bylibyśmy w tym dobrzy.
- W dom? - Zakłopotana zmarszczyła czoło.

- Nawet w dzieciństwie nie bawiłam się w dom. O co właściwie...
- W porządku - przerwał jej Sloan. - Nie musimy się bawić.

Zróbmy to naprawdę.

Uniosła brwi.

- Co masz na myśli? - zdziwiła się.

- Po prostu pragnę zamieszkać z tobą i twoimi córkami. Kocham was i chciałbym, żebyśmy stali się najprawdziwszą rodziną. -

Patrzyła na niego w osłupieniu, więc dodał pospiesznie: - Jeśli tego chcesz, oczywiście.

- Chcesz z nami wszystkimi mieszkać?- Kochasz nas? - w zdumieniu powtarzała jego słowa.

Pokiwał głową. Nagle poczuł potworne zdenerwowanie. Na miłość boską, chyba jej tak bardzo nie zaskoczyła. Musiała się przecież tego spodziewać. Chociaż, prawdę mówiąc, jeszcze kilka godzin temu nie był wcale pewien, czy Naomi w ogóle zechce z nim rozmawiać.

- No, nie wiem - zaczęła poważnym tonem.

- Chyba nie mogę zamieszkać z mężczyzną bez ślubu. Cóż, da się załatwić, bo bardzo cię kocham

- zakończyła z szerokim uśmiechem.

- Świetnie - odparł. - W takim razie ożenię się z tobą. - Zawahał się na moment. - A poza tym zapomnieliśmy dziś o dość istotnej sprawie.

Przyglądała mu się przez chwilę w milczeniu, nim zrozumiała.

- Prezerwatywa. Zapomnieliśmy o prezerwatywie. No nie...
 - Właśnie, moja ukochana przyszła żono i być może także przyszła matko.
 - O, nie! - pokręciła gwałtownie głową. - Nie, nie i jeszcze raz nie.
 - O, tak! Tak, tak i jeszcze raz tak - roześmiał się Sloan.
- Naomi przygryzła wargę.
- Co prawda podczas ostatnich świąt Bożego Narodzenia Sophie prosiła świętego Mikołaja o małego braciszka, ale...
 - Myślisz, że zadowoliliby się małą siostrzyczką? - uśmiechnął się Sloan.
 - Kolejna dziewczyna? Mówisz poważnie? Naprawdę wytrzymałbyś z taką dawką estrogeny? - spytała zdziwona, wspominając słowa byłego męża.
 - Żartujesz sobie? - odparł, przedrzeźniając jej przerażenie. - Z takimi dziewczynami jak Evy i Katie, które ogrywają mnie na boisku, jak chcą? Albo z Sophie, która ma kolejkę, o jakiej zawsze marzyłem? Toż to kaszka z mlekiem.
 - Cóż, w takim razie zgadzam się. Skoro ma pan takie podejście do spraw rodziny, panie Sullivan, możemy pobawić się w dom - zdecydowała Naomi.
- Sloan westchnął z zadowoleniem.

- No, to możemy zaczynać. - Ułożył się wygodniej. - Ty będziesz mamusią, a ja tatusiem. Naomi, Sloan i ich córki. Jak to pięknie brzmi. - Uśmiechnął się, słysząc jej cichy śmiech. - Wiesz co? - spytał, przytulając ją jeszcze mocniej. - Lepiej już chyba być nie może.